FUNDUSZ NIEZGODY
Dlaczego Lewica pomaga PiS-owi

NIEWIDZIALNE
Jak znikają siostry zakonne

NIEMCY ZIELONYCH
Cała Europa patrzy na Berlin

PISARZ OBAMA
Proza władzy i inne nauki

ZMYSŁY
Miłosne samogłoski

Kraków 9 maja 2021 nr 19 (3748) cena 9 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne www.TygodnikPowszechny.pl

Odmień swoją pracę

Związki zawodowe, jakich nie znacie

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

Premiera!

TP Historia: WIŚLNA 12

Opowieść o „Tygodniku Powszechnym”, czyli wszystkie światy pod jednym adresem

- Co się wydarzyło w ostatnim pokoju na lewo
- Zbyt krótka sofa dla Herberta
- Zebrania pod Najjaśniejszym Panem
- Obiady czwartkowe i redakcyjna drużyna piłkarska
- Sensacje historyczne: autor, który został papieżem
- Uroki Ziuty i różdżka asystenta kościelnego
- Ks. Boniecki w kuchni

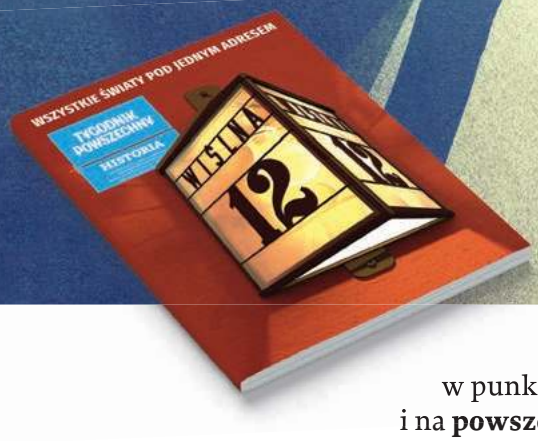

weź, czytaj!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY / RYS. JOANNA RUSINEK

Już w sprzedaży w punktach z dobrą prasą i na **powszech.net/wislna12**

TYGODNIK POWSZECHNY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

WYDANIE WSPIERA

zaiks sprzyjamy wyobraźni

PARTNERZY WYDANIA:

Kraków · KONRAD ADENAUER STIFTUNG · ECS europejskie centrum solidarności · PRZEKRÓJ Fundacja · znak · Polska Rada Biznesu · Copernicus Center · Fundusz Obywatelski im. Henryka Wujca · Walstead

KS. ADAM

Boniecki: *Watykańskie związki*

System wynagrodzeń w Stolicy Apostolskiej długo był, delikatnie mówiąc, nieuporządkowany. Świecki personel zarabiał mało. Nie było zresztą w tej materii jasnych zasad. Jan Paweł II podwyższył te zarobki, a co ważniejsze, wprowadził zasady dotyczące wynagrodzeń, uwzględniające wysługę lat i charakter pracy. Kiedy zacząłem tam pracować (1979 r.), ludzie zarabiali godnie, m.in. dzięki temu, że w Watykanie poza składką emerytalną nie płaci się żadnych podatków. W przypadku wcześniejszego odejścia z pracy zebrane pieniądze zwraca się pracownikowi.

Nie znaczy to, że w relacjach z pracodawcą nie było żadnych problemów. Pamiętam, jak w połowie stycznia 1981 r., zainspirowani wizytą delegacji Solidarności z Lechem Wałęsą u Jana Pawła II, świeccy pracownicy Stolicy Apostolskiej postanowili założyć związek. Organizowali go z entuzjazmem. Nazwali Stowarzyszeniem Świeckich Pracowników Watykanu (ADLV). Moment był sprzyjający. Jan Paweł II nie ukrywał swojej fascynacji naszym NSZZ. Wkrótce związek otrzymał lokal (dość skromny, w bramie prowadzącej na Cortile del Belvedere), rozpoczął działalność, m.in. wydawanie biuletynu. Został też przyjęty do Międzynarodowej Konfederacji Związków Zawodowych. Na jakiej zasadzie działał, nie wiem, bo teraz, szukając dokładniejszych informacji, przeczytałem, że formalnie został uznany przez Watykan dopiero w roku 1993. Widocznie wtedy został uznany nieformalnie.

Znalazłem artykuł o zapowiedzi strajku w 1988 r. określonego przez ADLV jako „generalny i aktywny". Protestowali przeciw przesuwaniu przez administrację wypłat na coraz późniejsze dni miesiąca. Strajk miał polegać na tym, że pracownicy nie przyjmą wynagrodzenia za trzy godziny. Te pieniądze mieli przekazać papieżowi na pomoc dla głodujących. Mówili: strajkujemy jako pracownicy, a jako wierzący szanujemy papieża i Stolicę Apostolską. O zapowiedzi strajku napisał 25 lutego w „La Repubblica" watykanista Domenico Del Rio. Śladu po realizacji strajku nie udało mi się znaleźć.

Kiedy w późniejszych latach pytałem o Stowarzyszenie jego działaczy, z rezygnacją machali ręką. Z tego, co mówili, wynikało, że choć formalnie ono istnieje, to faktycznie jakby go nie było.

Jego rolę praktycznie przejęło (przynajmniej powinno) powołane w 1989 r. L'Ufficio del Lavoro della Sede Apostolica (Urząd Pracy Stolicy Apostolskiej – ULSA). Jego zadaniem jest „promowanie i umacnianie upragnionej wspólnoty pracy, przykład chrześcijańskiej współodpowiedzialności i solidarności" (tak Jan Paweł II napisał w dokumencie powołującym ULSA). Odejście od idei związku jakoś łagodzi powstanie 1 września 2016 r. Stowarzyszenia Kobiet w Watykanie (L'Associazione Donne in Vaticano) zrzeszającego kobiety, świeckie i zakonne, aktualnie pracujące w Watykanie i emerytki. Stowarzyszenie widzi swój cel w prowadzeniu dialogu i rozwiązywaniu sporów z administracją w duchu szacunku i współpracy oraz realne reprezentowanie pracownic Stolicy Apostolskiej.

Papież Franciszek kilkakrotnie mówił o zobowiązaniu, które nakłada na Stolicę Apostolską głoszenie społecznej nauki Kościoła. Mówił np. o tym, iż jest skandalem, że w Watykanie przetrwały jeszcze pozostałości prekariatu.

Cóż, Państwo Kościelne (istniejące od około 755 do 1870 r.) nie przeszło do historii jako *exemplum* katolickiej nauki społecznej. Kościelne majątki także nie. Dobrze, że dziś wysiłki Państwa-Miasta Watykan (bądź co bądź monarchii absolutnej) świadczą o jakimś staraniu. ©℗

Wejdź do świata dźwięków Wiślnej 12

Słuchowisko „Miniatura na parkiet, ekspres do kawy i pogłosy"

FOT. PETER ŁYCZKOWSKI

Realizacja: Agnieszka Rasmus i Peter Łyczkowski

Już na powszech.net/miniatura

weź, słuchaj!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

20 Odbudowa w przybudówce
KAROLINA LEWICKA
Zanim na jesieni zdąży zrobić kolejny krok ku zjednoczeniu, parlamentarna lewica może ulec jeszcze większemu rozbiciu. To dlatego zdecydowała się pomóc PiS-owi.

40 Następczyni Merkel
ŁUKASZ GRAJEWSKI
Zieloni i ich liderka mają szansę na historyczne zwycięstwo we wrześniowych wyborach w Niemczech.

62 Proza rządzi
MARCIN NAPIÓRKOWSKI
Ograniczenia wielkiej władzy, czyli co można wyczytać w nowej książce Baracka Obamy.

30 Zachowania niezakonne
ANNA GOC
W zgromadzeniu nie ma kar. Źle zachowująca się siostra jest po prostu niewierną.

52 Blizny
ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK
Wojna wraca do nich w snach, choć urodzili się już po jej zakończeniu. Na czym polega transgeneracyjny przekaz traumy?

76 Miłosne samogłoski
ROZMOWA Z JOANNĄ BRAUN, SCENOGRAFKĄ
Nie miałam pojęcia, jak się gotuje. Ale od czasu do czasu widziałam, że mu smakuje. W tym sensie czułam erotykę.

TOMASZ PACZOŚ / FOTONOVA // OSCAR DEL POZO / AFP / EAST NEWS // MAREK GÓRSKI // GRAŻYNA MAKARA // ALYSSA POINTER / ZUMA PRESS / FORUM // FILIP SINGER / EPA / PAP

6 Opozycjo, nie idź tą drogą
PAWEŁ BRAVO

7-11 Obraz tygodnia

18-19 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
PIOTR SIKORA

KRAJ

20 Odbudowa w przybudówce
KAROLINA LEWICKA

24 Awantura o Astrę
MAŁGORZATA SOLECKA: *Dlaczego preparat, który z racji niższej ceny miał być podstawą programu szczepień, popadł w niełaskę*

26 Pamiętajcie o mnie
MARIUSZ SEPIOŁO: *Prawdziwy życiorys bohatera „Prime Time'u"*

WIARA

30 Zachowania niezakonne
ANNA GOC

35 Bitwa na słowa
MARTA ZDZIEBORSKA: *W amerykańskim Kościele trwa spór o prawa mniejszości seksualnych*

37 Na tej samej łodzi
BARTOSZ HLEBOWICZ: *Czy apele papieża o pomoc dla migrantów przynoszą skutki*

ŚWIAT

40 Następczyni Merkel
ŁUKASZ GRAJEWSKI

44 Rozwiązać problem wraz z państwem
KAMIL CAŁUS: *Coraz więcej Mołdawian nie miałoby nic przeciwko temu, żeby ich kraj stał się częścią Rumunii i Unii Europejskiej*

TEMAT TYGODNIKA

CEZARY ASZKIEŁOWICZ / AGENCJA GAZETA

12 Opony nie muszą płonąć
MAREK RABIJ
Związki zawodowe w Polsce przez lata pracowały na wizerunek upolitycznionych molochów. Ale teraz wracają na rynek pracy – i to z rosnącym kredytem społecznego zaufania.

FELIETONY
29 DOROTA MASŁOWSKA **39** ZUZANNA RADZIK
57 ANDRZEJ STASIUK
74 JAN KLATA **75** PAWEŁ BRAVO
82 STANISŁAW MANCEWICZ
82 BARTOSZ MINKIEWICZ

OKŁADKA: TP-ONLINE
FOT.: PRZEMYSŁAW KOCH / ADOBESTOCK.COM
Redaktor prowadzący: MICHAŁ OKOŃSKI

46 Korytarz strachu
PAWEŁ PIENIĄŻEK: *Armenia liże rany po przegranej wojnie*

49 Nie przyjeżdżajcie
MARTA ZDZIEBORSKA: *Wobec kryzysu na granicy z Meksykiem Biden działa podobnie jak Trump*

HISTORIA

52 Blizny
ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK

NAUKA

58 Koszty skrupułów
KATARZYNA DZIADOWICZ: *Na stres i traumę wojenną przedstawiciele różnych kultur reagują inaczej*

60 Migracja genów
MARIUSZ GOGÓL: *Jak pewien uciążliwy owad uodpornił się na działanie toksyn*

KULTURA

62 Proza rządzi
MARCIN NAPIÓRKOWSKI

66 Kompas z ciszy
JAN BŁASZCZAK: *Havlovie od violi da gamba: od grania na ulicy do zachwytu gwiazd rocka*

68 W stanie podejrzenia
MACIEJ TOPOLSKI: *Co mówią zdjęcia z archiwum IPN*

72 Bariera dźwięku
ANITA PIOTROWSKA: *„Sound of Metal" to zapis psychologii głuchnięcia, która kojarzy się z procesem żałoby*

74 Mały język, świetne wiersze
LEKTOR *o książce „Cierń głogu" Nuali Ní Dhomhnaill*

ZMYSŁY

76 Miłosne samogłoski
ROZMOWA Z JOANNĄ BRAUN, SCENOGRAFKĄ

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Strona świata
Po dwudziestu latach partyzanckiej wojny afgańscy talibowie przymierzają się do powrotu do Kabulu i odzyskania władzy – pisze **WOJCIECH JAGIELSKI**.
tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata

Przeprowadzka (Podkast Powszechny)
Z końcem kwietnia opuściliśmy nasze historyczne wnętrza. Posłuchajcie Państwo kilku wspomnień pracowniczek i pracowników „TP" o **WIŚLNEJ 12**.
tygodnikpowszechny.pl/podkast

/TYGODNIKPOWSZECHNY ▪ /TYGODNIK ▪ /TYGODNIK ▪ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

OPOZYCJO, NIE IDŹ TĄ DROGĄ

Poparcie dla Funduszu Odbudowy to sprawa oczywista i godna poparcia przez każdego, z wyjątkiem skrajnych eurosceptyków.

PAWEŁ BRAVO

Przygotowania do konferencji prasowej wojewody śląskiego Jarosława Wieczorka na temat Funduszu Odbudowy. Katowice, 28 kwietnia 2021 r.

Posłowie Lewicy zdecydowali się poprzeć ratyfikację tzw. Funduszu Odbudowy. Kiedy składaliśmy ten numer do druku, było jeszcze przed głosowaniem w Sejmie, jednak racjonalne przesłanki wskazywały, że do zatwierdzenia dojdzie – nagłe wyznaczenie dodatkowej sesji parlamentu to zresztą oznaka, jak bardzo Jarosław Kaczyński był świadom kruchości zawartego układu.

Cały pomysł manewru z wymianą większości mógł się wziąć z tego, że przeciwko Funduszowi opowiedzieli się politycy „suwerennościowego" skrzydła Zjednoczonej Prawicy. Paradoksalnie w sensie prawnym mają swoje racje. To krok w stronę federalizmu Unii zapewne dalszy, niż pozwalają literalnie czytane traktaty. Faktycznie: „nie na to się umawialiśmy". Sytuacja pandemiczna stała się impulsem do zmiany, która, jak to często bywa, odbywa się z pogwałceniem procedur pisanych na inne czasy. Na czarne konto władzy PiS zapiszemy, że polski głos w tej uprawnionej,

ostrożnościowej narracji dają osoby pokroju obecnego ministra sprawiedliwości albo sędzi nazywającej europejską flagę „szmatą".

To czarne konto liczy wiele pozycji i jest wiele powodów, by życzyć sobie zmiany, skoro obóz władzy okazał się niereformowalny. Ale akurat sprawa FO do tego się nie nadaje. To zbyt ważna stawka dla Polski w perspektywie długofalowej (wykraczającej przecież poza obecną kadencję – spora część pieniędzy spłynie dopiero po 2023 r.), żeby ryzykować ją dla skleconej na łapu-capu heterogenicznej układanki z Gowinem i Zandbergiem w jednej łódce, sterowanej przez premiera Kosiniaka-Kamysza. Chciano mu dać tę rolę, bo ma słabą partię – ale nie wzięto chyba pod uwagę jego ambicji i utrwalonej w genach PSL zdolności rozgrywania środkowej pozycji obrotowego... To wyglądało na publicystyczne chciejstwo, a nie polityczną propozycję na rządzenie krajem w głębokim kryzysie przez co najmniej rok – z wrogim prezydentem i totalną opozycją.

O słabości koncepcji świadczy też dziurawa argumentacja osłonowa. Tych pieniędzy PiS łatwo nie rozkradnie, nawet jeśli nieco obłowią się na tym spółki krewnych i znajomych. Nie chodzi nawet o to, że Lewicy udało się narzucić ciało monitorujące (nominowane m.in. przez Radę Dialogu Społecznego). Główny bezpiecznik jest w samej Unii: to specjalne procedury zatwierdzania i kontroli przez Komisję i Radę oraz dodatkowe blokady wstawione na życzenie klubu północnych „skąpców".

Inny z kolei argument, skądinąd sprzeczny z wizją „kradzieży": że PiS zyska potężny fundusz wyborczy. W tym sensie każdy coroczny budżet państwa jest funduszem wyborczym partii będącej akurat u władzy. Ale te pieniądze się po prostu należą Polakom, a za zły sposób gospodarowania nimi przegrywa się w kolejnych wyborach. O ile ktoś te złe wydatki umie wytknąć – w Polsce opozycja i wolne media nie mają z tym problemu.

W 2019 r. obecna opozycja była bliska wygrania wyborów. Nic zatem nie stoi na przeszkodzie, żeby dalej dbała o wewnętrzną spójność przekazu i podjęła walkę w następnym głosowaniu. Być może nastąpi ono wcześniej niż za dwa lata – ale odrzucanie Funduszu Odbudowy to niewłaściwa droga na skróty. ©℗

GRZEGORZ CELEJEWSKI / AGENCJA GAZETA

Blaski i cienie akcji szczepień

MACIEJ MÜLLER

W MEDIACH SPOŁECZNOŚCIOWYCH młodzi licytują się, komu mniej sekund zajęła rejestracja. Najwyżsi urzędnicy chwalą się przyjęciem dawki, minister zdrowia dał się nawet sfotografować. Premier Morawiecki zapewnia, że każdy chętny będzie mógł zaszczepić się do końca lipca.

Wszystko to ma sprawić wrażenie, że akcja szczepień idzie jak burza. Diabeł tkwi jednak w szczegółach. Data podana przez premiera świadczy nie tylko o tym, że Polacy garną się do szczepień, ale przede wszystkim o ogromnej liczbie wolnych terminów. Czy grupa chętnych wyczerpie się w połowie lata? Już teraz się kurczy – spośród tych, którzy do tej pory się nie zaszczepili, chce to zrobić 53 proc. (sondaż Inquiry). Wskaźnik ten będzie coraz wyższy, „gdyż osoby negatywnie nastawione będą stanowić coraz większą część grupy niezaszczepionych" – zauważają badacze.

Entuzjazm 30-, 40-latków wobec sprawnego systemu zapisów też ma swój rewers: to wykluczeni technologicznie najstarsi seniorzy (i nie mówimy tu o umiejętnościach rejestrowania się online, część z nich nie ma nawet dostępu do telefonu). Według ECDC Polska zaszczepiła tylko 56 proc. osób powyżej 80. roku życia.

Tymczasem w związku z tym, że trzecia fala opada – maleją zarówno wskaźniki nowych infekcji, jak i liczba pacjentów w szpitalach – rząd przedstawił program odmrażania gospodarki i edukacji. Minister Niedzielski chce zachować ostrożność: „największe grupy poluzowania" mają następować w odstępach dwutygodniowych, tak by móc odpowiednio zareagować w razie skoku infekcji.

Optymizm studzi ekspert samorządu lekarskiego dr Paweł Grzesiowski: „Jeżeli otworzymy równocześnie różne strumienie transmisji wirusa, to niestety możemy za 2-3 tygodnie zaobserwować niekorzystny zwrot sytuacji". Epidemiolodzy z niepokojem patrzą na otwarcie szkół i umożliwienie organizacji imprez. Przede wszystkim obawiają się jednak fałszywego przekonania, że koronawirus jest w odwrocie i nie trzeba się go bać. Może ono skłaniać do porzucenia podstawowych zasad sanitarnych. Zagrożenie stanowią też coraz to nowe warianty SARS-CoV-2: niektóre potrafią częściowo przełamywać odporność. Wirus mutuje przy dużych liczbach zachorowań, więc ewentualna czwarta fala – która może nastąpić, jeśli do końca wakacji nie osiągniemy odporności zbiorowej – grozi tym, że w końcu dorobimy się wariantu polskiego. ©℗

Raport o stanie państwa

MOŻE NAJCIEKAWSZE w opublikowanym przez Onet końcowym raporcie Najwyższej Izby Kontroli dotyczącym organizacji niedoszłych wyborów korespondencyjnych z wiosny 2020 r. jest nie proste stwierdzenie faktu, że instytucje i politycy zaangażowani w przygotowywanie tego przedsięwzięcia – z premierem i kilkoma ministrami na czele – wielokrotnie złamali prawo. I że decyzje o wydaniu ponad 76 milionów zł podejmowano bez podstawy prawnej oraz mimo opinii rządowych ekspertów, przestrzegających swojego szefa przed odpowiedzialnością konstytucyjną, karną i majątkową (a doliczając kwotę rekompensaty dla Poczty Polskiej i Polskiej Wytwórni Papierów Wartościowych cała operacja kosztowała podatników niemal 133 mln zł).

Najciekawsze jest to, że... nikogo to nie obchodzi. Opozycja, zajęta konfliktami wewnętrznymi związanymi z głosowaniem nad Funduszem Odbudowy, nie stawia sprawy na forum parlamentu, nie zgłasza wniosków o wotum nieufności, nie wnosi o powołanie komisji śledczej. Media opisują sprawę jako jedną z wielu; można odnieść wrażenie, że majątkiem prezesa Orlenu zajmują się z większą ekscytacją niż raportem przedstawionym przez najważniejszą w państwie instytucję kontrolną, punkt po punkcie przedstawiającym proces decyzyjny, obieg dokumentów, umieszczone na nich podpisy i ich brak (wbrew wcześniejszym doniesieniom ministrowie Sasin i Kamiński sprytnie uniknęli żyrowania faktu za koszty nieprzeprowadzonych ostatecznie wyborów), w efekcie zaś: złamanie pięciu przepisów w dwóch ustawach.

To też jest element diagnozy o stanie polskiego państwa: przymiotniki zużywane na błahostki i obojętność wobec bezprawia.

©℗ MICHAŁ OKOŃSKI

Test wyboru

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Ten postulat, jak każdy tyleż słuszny, co w kółko powtarzany, zdążył się już wytrzeć niczym parkiet nieremontowanej od dekad sali gimnastycznej: w trudnych czasach pandemii i nauczania zdalnego zatroszczmy się o psychikę dzieci, a niekoniecznie o idealne obliczenie ułamka piętrowego czy przyswojenie treści „W pustyni i w puszczy".

Tylko powiedzcie to nauczycielowi pierwszej lepszej szkoły – z Warszawy lub z Komańczy. To przecież wbrew nienaruszalnej logice tego systemu. Także w pandemii, podczas której oświatowa władza tylko przyparta do muru potrafiła zrobić pół kroku wstecz (nieznaczne zmniejszenie wymagań egzaminacyjnych, retusze w rozdętych ponad granice podstawach programowych, rezygnacja z rozszerzenia wymagań na egzaminie ósmoklasisty od 2022 r.). A i to poniewczasie. Testy, punkty, rekrutacja, ranking. Sztorm nie sztorm, cała naprzód, a jeśli ktoś wypadnie za burtę, jego problem – tak ten system działa.

To będzie test dla nauczycieli. Przywitają wkrótce wszystkich uczniów w szkołach – na ledwie kilka tygodni, co zwiększy jeszcze pokusę „dokręcenia śruby" obluzowanej siłą rzeczy podczas nauki online. Test wyboru: oświatowy stachanowiec wpatrzony w podstawę programową jak w święty obrazek – czy nauczyciel. Edukacyjny urzędnik – czy pedagog. ©℗

Frankowy klincz potrwa

KOLEJNY WYROK Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej w sprawie kredytów walutowych nie przyniósł przełomu, którego oczekiwali frankowicze. Banki też mogą czuć niedosyt. To pokazuje, z jak trudną materią przyszło się zmierzyć sędziom.

TSUE stwierdził, że sądy mogą unieważniać umowy z klauzulami abuzywnymi od daty ich zawarcia – to jasna wskazówka w kwestii przedawnienia roszczeń frankowiczów. Odrzucił też argumentację banków, które stały na stanowisku, że zastąpienie klauzuli indeksacyjnej tabelą kursów NBP pozwala zachować ważność umów kredytowych. W bodaj najważniejszej dla obu stron kwestii ewentualnej opłaty za korzystanie z kapitału w razie stwierdzenia nieważności umowy TSUE nie zajął jednak stanowiska, bo nie został o to zapytany. Na ten temat wypowie się wkrótce Sąd Najwyższy. ©℗ MR

KRAJ W SKRÓCIE

PORZĄDKI
W przejętych przez PKN Orlen mediach należących dotąd do koncernu Polska Press ruszyły zmiany personalne: pracę stracili m.in. redaktorzy naczelni „Gazety Krakowskiej", „Dziennika Zachodniego" i „Gazety Codziennej Nowiny". Dwa tygodnie wcześniej Daniel Obajtek deklarował wprawdzie, że zwolnienia nie są planowane, dziś mówi jednak, że każdy ma prawo kreować zarząd spółki, której jest właścicielem.

PRZESUNIĘCIA
Nowego prezesa ma mieć również IPN: kolegium tej instytucji na miejsce nieubiegającego się o kolejną kadencję Jarosława Szarka zarekomendowała dr. Karola Nawrockiego,

ŁUKASZ DEJNAROWICZ / FORUM

który w ostatnich latach zarządzał wyrwanym z rąk Pawła Machcewicza Muzeum II Wojny Światowej.

PRZESZUKANIA
Zupełnie bez związku z raportem NIK o nielegalności wyborów korespondencyjnych (patrz str. 7) CBA przeszukało mieszkanie syna prezesa Izby Mariana Banasia – choć sam zainteresowany widzi związek i mówi, że sytuacja przypomina mu czasy bolszewickie.

POZWY
Fundacja ClientEarth Prawnicy dla Ziemi złożyła pozew przeciwko dystrybutorowi produktu węglowego zwanego „ekogroszkiem". Żąda zmiany jego nazwy i zaprzestania praktyk promocyjnych sugerujących, że jest przyjazny dla środowiska.

WAWRZYNIEC SMOCZYŃSKI, UNIWERSYTET SWPS:

Młodzi kontestują

MARCIN ŻYŁA: Uniwersytet, na którym kieruje Pan programem nauk społecznych, ogłosił rekrutację na kierunek „życie publiczne". Czemu trzeba tego uczyć?

JACEK DOMIŃSKI / REPORTER

WAWRZYNIEC SMOCZYŃSKI: Ponieważ wszyscy funkcjonujemy w życiu publicznym – nie tylko poprzez politykę, także przez pracę czy relacje sąsiedzkie. To studia dla ludzi, którzy chcą działać na rzecz innych. Pomagają wyjść z bezsilności w stronę konstruktywnego zaangażowania.

W jakiej sytuacji są dziś młodzi?
To pokolenie obciążone lękiem – przed zmianami politycznymi, kryzysem klimatycznym, ale też wskutek pandemii, która zamknęła ich w domach w okresie intensywnej socjalizacji. Mają większe niż poprzednie pokolenia kapitał intelektualny i społeczny. Wielu młodych uczestniczyło w protestach ostatnich miesięcy, przez co szybciej zyskali polityczną samoświadomość. Są zmobilizowani, ale jest ich mało – to efekt demografii.

A może tylko nawzajem się „nie widzą"?
Ich aktywizm jest sieciowy, jego cechą jest różnorodność i naprzemienność zaangażowań. Spotykam się z kandydatami i jestem pod wrażeniem dzisiejszych dziewiętnastolatków. Ich dojrzałości, ale też tego, że potrafią śmiało kontestować to, co było, są gotowi do działania.

Kiedyś na uczelniach czytano „Wywieranie wpływu na ludzi" Roberta B. Cialdiniego. A teraz?
Na naszych studiach nie będzie psychologii instrumentalizującej relacje społeczne. Świat, jaki ukształtują absolwenci, będzie zależał od nich. Dostaną narzędzia do tego, żeby prowadzić badania społeczne, rozumieć mechanizmy władzy – nie tylko instytucjonalnej, ale też nieformalnej – i aby rozumieć człowieka w relacjach społecznych. To wszystko, czego potrzeba na czasy wielkiej zmiany. ©℗

WAWRZYNIEC SMOCZYŃSKI *jest analitykiem i dyrektorem Programu Nauk Społecznych na Uniwersytecie SWPS.*

OLGA MALTSEVA / AFP

Graffiti „Bohater nowych czasów” pojawiło się w centrum Petersburga w środę 28 kwietnia 2021 r. o szóstej rano. Już kilka godzin później zostało zamalowane.

Wasz car jest nagi

PO PRZEŁAMANIU sytuacji związanej z głodówką Aleksieja Nawalnego, reżim zabrał się do wypalania rozpalonym żelazem jego Fundacji Walki z Korupcją (FWK). Prokuratura zawnioskowała o uznanie jej za organizację ekstremistyczną. FWK publikowała kolejne materiały antykorupcyjne, kompromitujące wierchuszkę polityczno-biznesową, w tym Putina, co uświadomiło władzom, że fundacja może działać nawet pod nieobecność więzionego lidera. Status organizacji ekstremistycznej jest równoznaczny z delegalizacją. Sparaliżowanie struktur Nawalnego ma pozbawić go sprawnego zaplecza.

Z kolei w czwartek 29 kwietnia sąd odrzucił apelację obrony Nawalnego w sprawie o zniesławienie weterana i utrzymał wyrok skazujący. Więzień uczestniczył w rozprawie w formie wideokonferencji. W ostatnim słowie mówił: „Wysoki sądzie, wasz król jest nagi. I krzyczy o tym nie tylko jeden mały chłopiec, a cały tłum”.

To nie koniec ciągania opozycjonisty po sądach: wszczęto wobec niego nową sprawę karną z artykułu o stworzenie organizacji, której działalność związana jest z przemocą lub może zaszkodzić zdrowiu obywateli.

Kreml chce jak najszybciej wymieść Nawalnego ze sceny politycznej i przynajmniej do wyborów parlamentarnych we wrześniu pozbyć się kłopotliwego krytyka. Jednak Putinowi ciągle nie udaje się złamać morale „więźnia numer jeden”. A stosowane szeroko represje nie są sposobem na obniżenie potencjału protestu w społeczeństwie, które dźwiga brzemię pogarszającej się sytuacji gospodarczej i coraz wyraźniej dostrzega, że car jest nagi. © ANNA ŁABUSZEWSKA

Więcej na blogu autorki:
labuszewska.blog.tygodnikpowszechny.pl

Tragedia na górze Meron

CO NAJMNIEJ 44 osoby zginęły wskutek paniki, która wybuchła w tłumie na górze Meron w północnym Izraelu; stało się to 30 kwietnia nad ranem. Dziesiątki tysięcy ortodoksyjnych Żydów zgromadziły się tam na modlitwę przy ogniskach z okazji święta Lag BaOmer. Meron to dla nich miejsce święte: jest tam grób rabina Szimona Bar Johai, przy którym przez całą noc modlą się, tańczą i śpiewają. Panika wybuchła, gdy kilku uczestników poślizgnęło się na schodach i zostało stratowanych, a dziesiątki kolejnych zaczęły na siebie upadać. Kilkuset ortodoksów starło się z policją po tym, jak odmówili opuszczenia miejsca katastrofy i nadal próbowali dostać się do grobu rabina.

Zgromadzeni zignorowali ostrzeżenia służby zdrowia w związku z epidemią, choć oficjalnego zakazu nie było. Już 10 lat temu władze ostrzegały, że warunki na górze mogą sprzyjać podobnym zdarzeniom. Teraz policja przygotowała teren, oczekując wielkiego zainteresowania – tym bardziej że w 2020 r. z powodu epidemii obchodów nie było.

To jedna z największych cywilnych tragedii w historii Izraela. Podobna sytuacja w tym samym miejscu i okolicznościach miała miejsce w 1911 r., zginęło wtedy 11 osób.

©℗ KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET Z IZRAELA

Biden: to było ludobójstwo

WOJCIECH KONOŃCZUK

Sto sześć lat temu, 24 kwietnia 1915 r., Turcy przeprowadzili w Stambule masowe aresztowania wśród inteligencji ormiańskiej; większość zatrzymanych została wkrótce wymordowana. Było to preludium do uderzenia w mniejszość ormiańską, którą przymusowo deportowano ze wschodnich obszarów państwa. Jak dziś wiemy, była to zaplanowana przez władze Imperium Osmańskiego zagłada, która kosztowała życie co najmniej milion Ormian. Wśród nietureckich historyków w zasadzie nie ma sporu w ocenie tego, co się wówczas wydarzyło. Wiele państw świata w specjalnych rezolucjach uznało ówczesne wydarzenia za akt ludobójstwa (także Sejm RP w 2005 r.). Współczesna Turcja pozostaje jednak nieugięta: nie uznaje historycznych faktów.

Prezydenci USA nie ośmielali się dotąd użyć słowa na „l” na określenie wydarzeń sprzed ponad stu lat. Nawet lobbing ponad miliona Amerykanów pochodzenia ormiańskiego nie przeważył strategicznego znaczenia stosunków z Ankarą. A jednak 24 kwietnia Joe Biden wydał oświadczenie, w którym pojawiło się „ludobójstwo”. Co się zmieniło? Przede wszystkim: relacje amerykańsko-tureckie od dłuższego czasu są w kryzysie i deklaracja „ormiańska” Białego Domu nie jest w nich największym problemem. Ankara się tego spodziewała, a USA liczą, że cena polityczna użycia tego słowa nie będzie zbyt dotkliwa.

W pierwszym zdaniu oświadczenia Bidena znalazły się również słowa o konieczności „zapobiegania powtarzaniu się podobnych okrucieństw w przyszłości”. Pamięć o tym, co stało się z Ormianami, powinna niezmiennie służyć jako przypomnienie i ostrzeżenie. Także dziś, gdy w chińskim Sinciangu w obozach przetrzymywanych jest przymusowo półtora miliona Ujgurów, co w powszechnej ocenie spełnia znamiona ludobójstwa. ©

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

REZYGNACJA Z WYRÓŻNIENIA
Metropolita Monachium kard. Reinhard Marx zrezygnował z przyjęcia Orderu Zasługi Republiki Federalnej Niemiec po tym, jak ofiary molestowania seksualnego przypomniały, że ciążą na nim zarzuty zaniedbań obowiązków w sprawach dotyczących nadużyć podległych mu księży, gdy sprawował funkcję biskupa Trewiru w latach 2002–2008.

SUMIENIE PONAD PRAWEM
Benedyktyn z bawarskiego opactwa Münsterschwarzach br. Abraham Sauer został uniewinniony przez sąd okręgowy w Kitzingen z zarzutu „pomagania w nielegalnym pobycie bez wymaganego pozwolenia". Sprawa dotyczy azylu udzielonego 25-letniemu mężczyźnie ze Strefy Gazy, który miał zostać deportowany do Rumunii. Sąd, powołując się na Ustawę Zasadniczą, uznał, że co prawda mnich popełnił przestępstwo, ale nie jest winny, ponieważ działał zgodnie ze swoim sumieniem i przekonaniami.

KARTA NA ZAKUPY
10 tys. seniorów w całej Polsce może co miesiąc – od kwietnia 2021 do stycznia 2022 – zrobić zakupy za 150 zł korzystając z karty wydanej w ramach akcji „Na codzienne zakupy" zorganizowanej przez Fundację Biedronka, Caritas Polska i Caritas diecezjalne. To największy niepubliczny program pomocy dla seniorów.

RDC POLSKIE RADIO **KATARZYNA DZIADOWICZ** opowie Grzegorzowi Chlaście o przeżywaniu traumy w różnych kulturach (tekst na s. 58) w środę 5 maja o godz. 7.30. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia.
Warszawa 101 FM
Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM
oraz na Mazowszu i w Warszawie – www.rdc.pl

Etyka w szkole nie jest świecką religią

PIOTR SIKORA

Obowiązek wyboru między lekcją religii a etyki, tj. likwidację możliwości rezygnacji z obu tych zajęć, zapowiedział minister edukacji i nauki Przemysław Czarnek. Jego zdaniem chodzi o to, „by do młodzieży docierał jakikolwiek przekaz o systemie wartości". Kontekstem wypowiedzi ministra był fakt, że młodzież, która ostatnio masowo rezygnuje z lekcji religii, licznie uczestniczyła w zeszłorocznych protestach związanych z decyzją Trybunału Konstytucyjnego w sprawie aborcji, uznanych przez Przemysława Czarnka za „zbiegowiska, które kompletnie bezrefleksyjnie podchodzą do życia". Widać tu ideologiczne motywy podjęcia tematu.

Propozycja ministra zgodna jest z postulatami polskich biskupów, co przypomniał koordynator Biura Programowania Katechezy KEP, ks. Piotr Tomasik. Religia i etyka mają sprawić, „by szkoła miała bardziej wychowawczy charakter". Ks. Tomasik stwierdził też, że etyka proponowana jest „bezwyznaniowcom".

Propozycja obowiązkowego wyboru między religią a etyką ujawnia niezrozumienie, czym jest ta druga. Etyka jest częścią filozofii. Warto rozważyć jej wprowadzenie do obowiązkowego programu nauczania, ale właśnie jako elementu filozofii. Przedmiot taki mógłby być ważny dla wszystkich uczniów. Wartość umiejętności filozofowania – krytycznego myślenia, formułowania własnych sądów i porozumiewania się z ludźmi o poglądach różnych od naszych, także w kwestiach etycznych – nie musi być związana z brakiem wiary (mam nadzieję, że ani minister, ani ks. Tomasik takiego związku nie widzą).

Jeśli jednak Przemysław Czarnek postrzega religię jako mniej uniwersalny, bo ograniczony do danej wspólnoty wyznaniowej odpowiednik etyki, bardziej uzasadniona byłaby propozycja wprowadzenia do programu szkoły po prostu lekcji filozofii. Konfesyjną katechezę należałoby wtedy przenieść do parafii. To byłoby optymalne rozwiązanie. ©

Msze w pandemii transmitowane masowo

AŻ CZTERY NA DZIESIĘĆ parafii prowadziło transmisje online mszy podczas pierwszej fali pandemii koronawirusa – wynika z badań przeprowadzonych przez naukowców z WSIiZ w Rzeszowie, UW oraz KUL. Autorzy zaznaczają, że parafie stanęły przed trudnym wyzwaniem z dnia na dzień.

W diecezjach, w których biskupi zachęcali do prowadzenia transmisji, ich odsetek był wyższy (46 proc.) niż w tych, w których takich zachęt zabrakło (38 proc.). Wśród największych polskich parafii ponad 75 proc. transmitowało niedzielne msze, a spośród najmniejszych 18 proc. Podobne różnice odnotowano między miejskimi a wiejskimi parafiami. Istotne było też położenie geograficzne – najmniej transmisji było w Polsce północno-wschodniej oraz północno-zachodniej, najwięcej zaś w regionie północno-centralnym oraz południowo-centralnym. Parafie zakonne transmitowały msze znacznie częściej niż diecezjalne (69 proc. i 39 proc.).

Jak podkreślają autorzy, tak duża skala transmisji jest przełomem w dotychczasowej praktyce Kościoła. Badanie, opublikowane na łamach czasopisma „Religions", przeprowadzono na reprezentatywnej próbie 1533 parafii z 41 diecezji.

©℗ ASK

Do kurii bez prezentu

SUROWE PRZEPISY antykorupcyjne wprowadził papież w Watykanie. Osoby na kierowniczych stanowiskach, jak i te podejmujące decyzje finansowe, sądowe i kontrolne, muszą zadeklarować, że nie były karane, nie toczy się przeciw nim postępowanie karne, że nie są powiązane – także pośrednio – z firmami działającymi w „rajach podatkowych" albo prowadzącymi działalność niezgodną ze społeczną nauką Kościoła, a ich majątek pochodzi z legalnych źródeł. Oświadczenia będą weryfikowane przez watykańskie służby.

Urzędnikom zabrania się też przyjmowania jakichkolwiek prezentów o wartości powyżej 40 euro.

To kolejny etap walki z przekrętami w Watykanie. Rok temu Franciszek zaostrzył przepisy dotyczące zamówień publicznych, a po głośnych aferach, w które zamieszany był nawet Sekretariat Stanu (m.in. zakup luksusowej nieruchomości w Londynie), pełną kontrolę nad wszystkimi finansami otrzymała Administracja Dóbr Stolicy Apostolskiej, kontrolowana przez sekretariat ekonomiczny i poddawana audytowi niezależnych agend.

©℗ EDWARD AUGUSTYN

NASA

Ten trzeci

„NAPISZCIE na moim nagrobku »farciarz«". Tak astronauta Michael Collins, pilot modułu dowodzenia misji Apollo 11, podsumował swoją karierę w 40. rocznicę pierwszego lądowania na Księżycu. Zmarł w ubiegłym tygodniu w wieku 90 lat.

„Od czasów Adama żaden człowiek nie znał takiej samotności jak Mike Collins" – stwierdzał nieco dramatycznie oficjalny zapis misji. Gdy Neil Armstrong i Buzz Aldrin chodzili po powierzchni Księżyca, on pozostał na jego orbicie i czekał na ich powrót. Gdy jego pojazd przelatywał nad odwróconą od Ziemi stroną satelity, był pozbawiony łączności. Po jednej stronie Księżyca była cała ludzkość. Po drugiej – on i pustka. Collins widział jednak jasną stronę sytuacji. „Fakt, że nie miałem łączności, zamiast strachu budził radość, bo przynajmniej Kontrola Misji musiała się na chwilę zamknąć" – wspominał. „No i miałem ciepłą kawę".

Nigdy nie stanął na Księżycu, choć NASA chciała zrobić go dowódcą jednej z misji. Wolał zostać na Ziemi z rodziną. „Byliśmy tam, żeby wykonać pracę. Zrobiliśmy to doskonale, ale za to nam płacono. Nie byliśmy żadnymi bohaterami" – mówił. „Najlepiej pamiętam widok Ziemi widzianej z wielkiej odległości" – pisał w autobiografii. „Maleńka, bardzo błyszcząca, niebiesko-biała. Jasna. Piękna. Spokojna i delikatna. Naprawdę wierzę, że gdyby politycy mogli zobaczyć naszą planetę z odległości stu tys. mil, ich postawa fundamentalnie by się zmieniła".

Ostatnim żyjącym członkiem misji Apollo 11 jest 91-letni Aldrin. Armstrong zmarł w 2012 r.

© WOJCIECH BRZEZIŃSKI

KULTURA W SKRÓCIE

TRUDNY WIEK
W wileńskim MO Museum trwa wystawa „Trudny wiek. Szapocznikow – Wajda – Wróblewski". Inspiracją dla nazwy był tytuł rzeźby Aliny Szapocznikow z 1956 r. (zwiedzający będą mieli okazję zobaczyć również tę pracę), przedstawiającej nastoletnią dziewczęcą postać. „Trudny wiek" odnosi się bowiem zarówno do tragicznego czasu historycznego, jak i do kluczowego okresu w życiu człowieka – dojrzewania.

TRUDNY ROK
Nowy film Tomasza Wolskiego „1970" otrzymał nagrodę specjalną jury na Międzynarodowym Festiwalu Filmów Dokumentalnych Visions du Réel w Nyonie. To animacja [kadr z niej poniżej] opowiadająca o protestach w komunistycznej Polsce z punktu widzenia ówczesnych władz. Krajową premierę zaplanowano na 61. Krakowskim Festiwalu Filmowym.

DOBRA DATA
61. KFF potrwa od 30 maja do 6 czerwca i odbędzie się równolegle online oraz w kinach, które – jak wynika z informacji podanych przez ministra zdrowia – będą mogły funkcjonować od 29 maja, zachowując limit do 50 proc. dostępnych miejsc. Wcześniej, bo już 15 maja, ruszą kina plenerowe, również z maksymalnym obłożeniem na poziomie 50 procent.

MATERIAŁY PRASOWE

Malaria: dobre wieści z testów szczepionki

MIĘDZYNARODOWY ZESPÓŁ badaczy z Wielkiej Brytanii, Burkina Faso, Kenii i Indii, w kooperacji z firmą Novavax, udostępnił raport z drugiej fazy testów klinicznych nowego wariantu (R21) szczepionki przeciw malarii – choroby zabijającej co roku 400 tys. osób, głównie dzieci. Autorzy dokumentu, którego proces recenzyjny w czasopiśmie „The Lancet" jeszcze się nie zakończył, donoszą o wysokiej, 77-procentowej skuteczności utrzymującej się przez rok i braku poważnych efektów ubocznych. Poprzednia wersja szczepionki zapewniała ochronę w 56 proc. przypadków w ciągu roku i w 36 proc. po czterech latach – czyli znacznie poniżej wymaganych przez Światową Organizację Zdrowia 75 proc.

W eksperymencie wzięło udział 450 dzieci z Burkina Faso w wieku od 7 do 15 miesięcy, spośród których 147 trafiło do grupy kontrolnej. Im podano inny preparat – na wściekliznę. Szczepienia przeprowadzono w regionie, w którym ryzyko zachorowania jest bardzo wysokie – aż 71,5 proc. dzieci z grupy kontrolnej rozwinęło kliniczne objawy malarii. Aby utrzymać odpowiednio wysoki poziom przeciwciał, dzieciom z grupy eksperymentalnej zaaplikowano cztery dawki szczepionki.

Jej głównym składnikiem jest białko, jakie patogen (zarodziec malarii) produkuje, gdy zmienia gospodarza – przenosi się z komara na człowieka.

©℗ ŁK/NATURE

Myszy wyczuwają stres

JEŚLI TROSZCZYMY SIĘ o zwierzęta, nie powinniśmy stresować się w obecności krów i samców myszy – wynika z badań opisanych w „Animal Cognition". Alexandra Destrez z zespołem obserwowali reakcje zwierząt na dwa zapachy – osoby odczuwającej stres i niezestresowanej.

Samce myszy umieszczano w pudełku. Gdy podano im próbkę potu osoby zestresowanej (studenta po egzaminie), defekowały częściej niż w drugim warunku (zapach studenta po zwykłym wykładzie). Wygląda na to, że nie tylko wyczuwały różnice pomiędzy sygnałami węchowymi dwóch stanów emocjonalnych, ale dodatkowo tylko na jeden z nich reagowały strachem. Krowy natomiast miały możliwość wyboru, do którego zapachu się zbliżą. Częściej i dłużej wąchały pojemnik, w którym znajdowały się tkaniny pochodzące od osób niezestresowanych.

Reakcje zwierząt na ludzkie sygnały chemiczne mogą być wrodzone, co ułatwiłoby im unikanie zagrożenia. Ale może być też tak, że po prostu nauczyły się kojarzyć określoną woń z bardziej agresywnym zachowaniem, którego się bały.

©℗ KATARZYNA DZIADOWICZ

amazon
amazon
amazon

TEMAT TYGODNIKA

OPONY NIE MUSZĄ PŁONĄĆ

Związki zawodowe długo pracowały na wizerunek upolitycznionych molochów, udających tylko zainteresowanie sprawami pracowniczymi. Teraz wracają – i to z rosnącym kredytem zaufania u Polaków.

MAREK RABIJ

CEZARY ASZKIEŁOWICZ / AGENCJA GAZETA

Amazon rekrutuje pracowników na żaglowcu „Tre Kronor Af Stockholm". Szczecin, sierpień 2017 r.

A może pan po prostu napisać, że pracuję w banku? – uśmiecha się łobuzersko do kamery Katarzyna Jóźwiak. – Tak będzie najłatwiej, bo na wywiad, w którym występuję jako pracownik, musiałabym dostać zgodę przełożonych. A imię i nazwisko mam pospolite. Nikt mnie nie rozpozna. Nawet moi bliscy.

Bo rodzina, zaznacza, ma do tego tematu stosunek raczej oschły. Sądząc po złośliwościach, na które pozwala sobie czasem jej ojciec, decyzji mojej rozmówczyni o przystąpieniu do związku zawodowego nie pozostawiłby bez prowokacyjnych pytań i uszczypliwości. Mama żartuje, że sprzedałby nawet piasek beduinom, bo faktycznie, całe życie kręcił jakieś biznesy. Ojciec wszystko zawdzięcza własnej pracy, ale bywa przez to nieznośnie apodyktyczny. A teraz trafiła mu się córka-związkowiec.

Deklarację członkowską Katarzyna Jóźwiak złożyła dwa miesiące temu, tuż po tym, gdy zarząd jej banku ogłosił kolejne zwolnienia grupowe, w ramach których chce zwolnić ponad tysiąc pracowników. W oddziale, w którym pracuje, jest drugą najmłodszą członkinią związku. – Jesienią kończę 28 lat, ale jest koleżanka tuż po studiach, która też się niedawno zapisała – wylicza Katarzyna. – O poglądy polityczne tamtej dziewczyny proszę mnie nie pytać, nie obchodzi mnie to. Ja się polityką nie interesuję. Wypełniłam deklarację członkowską, bo cztery lata temu skończyłam studia z bankowości i wygląda na to, że długo w tym zawodzie miejsca nie zagrzeję. Od związku oczekuję jedynie tego, żeby kupił mi jak najwięcej czasu na przebranżowienie. Ale mój ojciec tego oczywiście nie zrozumie.

Nieszczęsna kolebka

Możemy tylko zgadywać, ilu Polaków w ostatnim czasie dokonało podobnej kalkulacji plusów i minusów należenia do związku. Z danych GUS za 2018 r. (to najnowsze dostępne, urząd zbiera je co cztery lata) wynika, że w Polsce działa ok. 12,5 tys. związków zawodowych, zrzeszających 1,5 mln osób. W porównaniu z rokiem 2014, kiedy sprawdzano to po raz pierwszy, ich liczba właściwie nie uległa zmianie. Do przynajmniej jednego związku należy ok. 12 proc. pracujących Polaków.

↦

↦ Pod względem uzwiązkowienia ojczyzna NSZZ „Solidarność" nie plasuje się zatem nawet pośrodku stawki krajów europejskich, którą otwierają od lat Szwecja i Dania z blisko 80 proc. aktywnych zawodowo obywateli zapisanych do organizacji związkowej.

– Warto jednak pamiętać, że tamtejsze związki zawodowe przejmują na siebie część zadań, które w Polsce realizuje państwo, a głównie chodzi o ubezpieczenie od bezrobocia – podkreśla dr Piotr Ostrowski, wiceprzewodniczący OPPZ, do niedawna socjolog z Uniwersytetu Warszawskiego badający ruchy związkowe. – Zapytany o powody przynależności do takiej organizacji, Szwed wskaże zapewne na wysokość zasiłku dla bezrobotnych, który zwolnionym członkom wypłacają tam właśnie związki zawodowe.

W Polsce w wielu przypadkach nadal trudno jednak wyznaczyć granicę między robotą czysto związkową a działalnością polityczną.

Siła, z jaką dziedzictwo NSZZ „Solidarność" oddziaływało po 1989 r., sprawiła, że większość dużych organizacji skręciła w stronę polityki, jakby nie dostrzegając, że w wyniku przemian wolnorynkowych największym pracodawcą w Polsce przestało być państwo. Doprowadziło to do paradoksalnej sytuacji – w okresie szczytowych napięć towarzyszących transformacji z przełomu wieków, rządziły w Polsce kolejno dwie koalicje współtworzone przez centrale związków zawodowych: rząd pod egidą AWS, a następnie spowinowacony z OPZZ gabinet SLD-PSL.

Jak wytłumaczyć to, że rządy związkowców zbiegły się z kulminacyjną falą bezrobocia, które w niektórych powiatach przekraczało wtedy 30 proc.? Czym usprawiedliwić przyzwolenie na powszechne wówczas lekceważenie kodeksu pracy, wyrwanie zębów Państwowej Inspekcji Pracy i rozpad innych reliktów socjalistycznego państwa opiekuńczego, który w tamtym czasie nabrał przyspieszenia – tak jakby niezbędne było miejsce pod nowe instytucje za pieniądze z Unii, do której niebawem mieliśmy wstąpić?

Polacy nigdy nie doczekali się szczerej odpowiedzi na te pytania, także dlatego, że ich nie zadawali. Obywatele kraju będącego kolebką Solidarności stracili wiarę w związki zawodowe. A ci, którzy dali się ponownie uwieść związkowi o rzekomo nowej twarzy Andrzeja Leppera, szybko przekonali się, że mają do czynienia z tym, co już znali – organizacją zainteresowaną przede wszystkim wpływami politycznymi i czerpanymi zeń apanażami. W badaniu CBOS z 2013 r. aż 63 proc. respondentów uznała, że działalność związków zawodowych nie ma wpływu ani na sytuację na rynku pracy, ani na same jej warunki.

– Co ja o tym myślę? – Katarzyna Jóźwiak powtarza pytanie o badanie sprzed ośmiu lat. – Nic nie myślę. Byłam wtedy na pierwszym roku studiów. To, że kiedyś związki zawodowe nie robiły swojej roboty, nie musi oznaczać, że nie będą jej robić także teraz. Należę do małej organizacji, jest nas koło tysiąca. Jeśli ludzie, którzy mają mnie reprezentować przed pracodawcą, przestaną to robić skutecznie, zmienię sobie przedstawicieli.

Związek z rozsądku

– Czasem bywa ostro, ale nie jesteśmy od tego, żeby bić brawo prezesowi – rozkłada ręce Anna, szefowa związku zawodowego pracowników polskiego oddziału międzynarodowej korporacji. – Działamy dopiero półtora roku, ale udało nam się już wypracować z zarządem poprawne, czasem wręcz partnerskie relacje. Może dlatego,

Amazon: Po co wam związki, macie stołówkę

JESIENIĄ UBIEGŁEGO ROKU przez media przetoczyła się informacja, że australijski oddział największego sklepu internetowego świata Amazon poszukuje specjalistów do spraw bezpieczeństwa sieciowego. Nie byłoby w tym nic sensacyjnego, gdyby nie fakt, że według informatorów australijskich mediów zadaniem rekrutowanych informatyków miało być sprawdzanie, czy pracownicy nie chcą się zrzeszyć w związku zawodowym. Firma zaprzeczyła – i oczywiście mało kto jej uwierzył.

ZAŁOŻONY W LIPCU 1994 R. Amazon zatrudnia obecnie blisko 800 tys. osób w 58 krajach. Z jego usług korzysta co roku ok. 1,2 mld ludzi, którzy zostawiają w koszyku firmy niemal 300 mld dolarów. Model biznesowy firmy Jeffa Bezosa bazuje więc na efekcie skali oraz bezwzględnej kontroli kosztów. Mimo że przeciętne zarobki szeregowych pracowników firmy w USA są wyższe od minimalnej stawki federalnej, Amazon od lat zmaga się z zasłużonym wizerunkiem bezwzględnego pracodawcy. Warunki w jego centrach pod wieloma względami przypominają świat Orwella, który może stać się codziennością całego rynku pracy po czwartej rewolucji przemysłowej: personel poddany jest stałej presji na efektywność, rozliczany dosłownie z każdej minuty i zastępowany gdzie się da przez roboty.

1 STYCZNIA 2019 R. w magazynie w Eastvale w Kalifornii doszło do wycieku gazu. Zmianowi nie wyrazili zgody na ewakuację, mimo że pracownicy wymiotowali i mdleli: każdemu, kto próbował wyjść, oznajmiono, że nieobecność zostanie uznana za czas wolny i odliczona od dniówki.

KILKA MIESIĘCY TEMU w centrum logistycznym Amazonu w Bessemer w Alabamie pracownicy głosowali nad założeniem związku zawodowego. Byłaby to pierwsza taka organizacja w całym amerykańskim oddziale (w polskim działają dwa związki). W odpowiedzi zarząd firmy wszczął kampanię zniechęcającą pracowników do poparcia tej inicjatywy i zaatakował polityków, którzy kibicowali przyszłym związkowcom. W marcu do głosów wspierających dołączył jednak prezydent Joe Biden, który w wystąpieniu opublikowanym na Twitterze zaznaczył, że „pracownicy z Alabamy – i w całej Ameryce – głosują za tym, czy tworzyć u siebie związki zawodowe. (...) Każdy powinien móc to zrobić bez gróźb czy zastraszania przez pracodawców".

CO PAN NA TO, panie Bezos?

©℗ MR

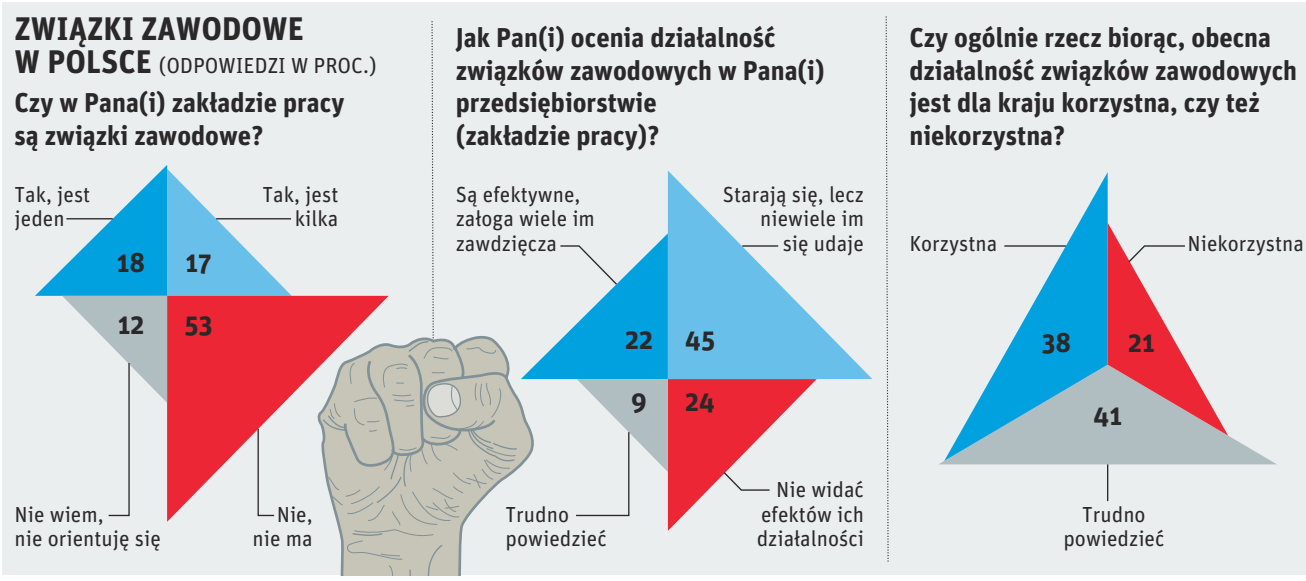

LECH MAZURCZYK

Jak postrzegamy związki zawodowe – badanie CBOS z 2019 r.

że początek był bardzo trudny. Jedną nogą weszliśmy w spór zbiorowy, który mógł poskutkować ogłoszeniem strajku.

Anna początkowo zgadza na publikację swojego nazwiska i wymienienie w tekście nazwy pracodawcy. Ostatecznie prosi o wykreślenie jednego i drugiego. Upublicznianie napięć między pracownikami i pracodawcą mogłoby, tłumaczy, zaszkodzić jej w dalszej karierze.

Trzy lata temu pracodawca Anny dostał zgodę na przejęcie głównego konkurenta. Rezultatem wielomiliardowej transakcji było nie tylko powstanie największego na świecie koncernu w tej branży, ale także zapowiedź zwolnienia 10 proc. personelu we wszystkich oddziałach firmy, w której pracowała Anna. W Polsce na jej listach płac widniało wówczas ok. 1,2 tys. osób.

– Tak się złożyło, że nieco reprezentowałam wtedy naszą spółkę na spotkaniu ludzi ze wszystkich oddziałów – wspomina Anna. – Temat redukcji etatów oczywiście również się pojawił, ale z opowieści koleżanek i kolegów wynikało, że wszędzie proponują zwalnianym odprawę w wysokości tylu pensji, ile lat przepracowali w spółce. Wszędzie poza Polską. Mnie, której w tym czasie stuknęły 22 lata w firmie, przysługiwałoby jedynie osiem pensji. Poczuliśmy się pracownikami drugiej kategorii,choć szefowie polskiego oddziału chwalili się przy każdej okazji, że spółka, którą kierują, należy do najbardziej rentownych w całej grupie.

Związek zawodowy założyło czterech pracowników. Pierwsze spotkanie z zarządem, jak wspomina Anna, zakończyło się po paru minutach: wysłuchawszy postulatów związkowców, prezes poczerwieniał na twarzy z oburzenia i po prostu wstał od stołu. – Wystosowaliśmy wówczas pismo, że jeśli zarząd nie siądzie ponownie do rozmów, wejdziemy w spór zbiorowy. Jednocześnie cały czas zapewnialiśmy, że nie domagamy się niczego ponad to, co reszcie pracowników korporacja zaoferowano bez żadnych negocjacji.

Kompromis okazał się możliwy. Wysokość odpraw w polskim oddziale nie doskoczyła wprawdzie do poziomu, który przysługiwał zwalnianym w innych krajach, ale ostatecznie zarząd niemal podwoił kwotę przeznaczoną na ten cel.

Anna: – Z dzisiejszej perspektywy, mając już za sobą kilka sprawnie przeprowadzonych negocjacji m.in. w sprawie pakietu socjalnego czy procedur antymobbingowych, wydaje mi się, że początkowa niechęć zarządu do nas mogła wynikać z obaw, czy będziemy grać fair. Związek zawodowy może być konstruktywnym krytykiem, ale może też ograniczyć działalność do hałaśliwych protestów i dezorganizowania firmy. My od początku mówimy, że żadnego palenia opon tutaj nie będzie. Podpisaliśmy nawet porozumienie, które określa, ile maili co miesiąc możemy wysłać do wszystkich pracowników i jak długie mogą być związkowe zebrania. W zamian dział HR informuje każdego zatrudnianego, że w firmie działa związek zawodowy, do którego można się zapisać bez narażania na szykany. Z blisko 1,5 tys. pracowników polskiego oddziału firmy do związku należy obecnie 450.

To chyba najważniejsza zmiana w polskim krajobrazie związkowym od karnawału Solidarności sprzed ponad 40 lat, choć nie wyłapuje jej jeszcze w skali makro filtr danych statystycznych: członkostwo w związku uwolniło się od zbędnych politycznych konotacji. Organizacje powstają zarówno w małych firmach, jak i molochach pokroju Amazona (patrz ramka na str. 14), zatrudniających tysiące ludzi, w spółkach skarbu państwa i spółkach pozostających w prywatnych rękach. Wreszcie – nie tylko w przemyśle i budżetówce, które tradycyjnie są w Polsce wysoko uzwiązkowione.

Jak wylicza Michał Lewandowski, przewodniczący Zarządu Krajowego OPZZ Konfederacja Pracy, do jego organizacji przyłączyły się w ostatnich miesiącach związki zarejestrowane m.in. w spółce obsługującej załadunek bagaży w portach lotniczych oraz w kancelarii Senatu RP. Własny związek mają krupierzy z Casino Poland oraz informatycy z Accenture Polska. Do niedawna – bo zarządowi udało się doprowadzić do rozwiązania organizacji – związek działał także w polskim oddziale firmy Pfizer. W kilku dużych bankach po związkach również nie ma już śladu, ale tylko dlatego, że rozwiązały ↦

↦ się same, wykonawszy swoje zadanie – wynegocjowanie odpowiednio wysokich odpraw.

Anna: – W ostatnich miesiącach dostałam kilkadziesiąt maili od osób z różnych firm i branż, zainteresowanych założeniem związku. Pytają, jak negocjować z zarządem, jak przekonywać do siebie zespół, wymieniają problemy, z jakimi stykają się w pracy. Kwestie światopoglądowe czy polityczne nie pojawiają się w ogóle.

Statystyczny polski związkowiec – to już badanie Instytutu Spraw Publicznych, przeprowadzone w grudniu 2018 r. w ramach międzynarodowego projektu „Future of Workplace Relations: Opportunities and Challenges for Trade Unions in Europe" – jest już sporo po trzydziestce i najczęściej mieszka w miejscowości liczącej do 20 tys. mieszkańców. Ma dyplom wyższej uczelni oraz – co najciekawsze – dochód w przeliczeniu na członka rodziny powyżej krajowej średniej. Składowe tego portretu, choć zgodne z tym, co widoczne na podobnych obrazkach z innych krajów, kłócą się więc z potocznym wyobrażeniem polskiego pracownika przemysłu, rolnika czy przedstawiciela budżetówki, który przed ministerstwem finansów domaga się podwyżek czy ulg właśnie jako związkowiec.

– Mówi się, że związki przyciągają tych, którzy mają coś do stracenia, i coś w tym jest, ale to mimo wszystko niekompletna diagnoza – komentuje Piotr Ostrowski. – Bez wątpienia istnieje również wyraźna korelacja między gotowością do członkostwa w związku zawodowym a aktywnością społeczną w ogóle.

W takich branżach jak górnictwo – kontynuuje socjolog – przynależność do organizacji związkowej jest rodzajem rytuału środowiskowego, ale poza nimi motywacje do złożenia deklaracji członkowskiej są najczęściej indywidualne: albo sami czujemy dyskomfort w miejscu pracy, albo dostrzegamy nieprawidłowości, które zagrażają innym, i czujemy się zobowiązani im pomóc. – Polscy pracownicy przez lata słyszeli, że jeśli im się nie podoba, mogą w każdej chwili zmienić pracę. Dziś coraz częściej mówią: nie, to niech moje otoczenie w miejscu pracy się zmieni. Instrumentem na rzecz tej zmiany jest właśnie związek zawodowy. Nic lepszego moim zdaniem nie istnieje – kwituje Ostrowski.

W skali społeczeństwa przekonanie o sile związków zawodowych pozostaje wprawdzie na niewysokim poziomie (patrz grafika na str. 15), ale katalizatorem zmiany jest najmłodsza generacja pracowników. Pokolenie, które dla headhunterów starej daty pozostaje enigmą – stawiające bardziej na szczęście i rozwój osobisty niż karierę zawodową.

We wspomnianym badaniu Instytutu Spraw Publicznych 78 proc. respondentów w wieku 18-24 i 80 proc. osób w wieku 25-34 uznało bilans działalności związków zawodowych za korzystny. Odsetek zwolenników związków poniżej średniej dla całej polskiej populacji (63 proc.) spada dopiero w grupie wiekowej 45-54 – czyli wśród tych, którzy zawodowe szlify zdobywali w otoczeniu dwucyfrowego bezrobocia. A przy okazji zaliczyli intensywną indoktrynację, która figurę związkowca uczyniła czarnym charakterem epoki transformacji.

Odejść z honorem

„Bolesne konsekwencje, jakie dla społeczeństwa miał plan Balcerowicza, zasmuciły wielu polskich liberałów – w odróżnieniu od współczesnych im zwolenników Thatcher i Reagana, nie uważali cierpienia za wartość moralną – byli jednak przekonani, że muszą ten ból zadawać" – pisze amerykański politolog David Ost w głośnej książce „Klęska Solidarności". Jego zdaniem neoliberałowie, sprawujący wówczas władzę, bez względu na formalne barwy polityczne i ideologiczne, pod którymi stawali do wyborów, uważali swój program gospodarczy za jedyny racjonalny. Jego krytyków – m.in. związkowców – zdegradowali zatem do rangi „pozbawionych właściwego rozeznania wyznawców błędnych poglądów".

Ost przywołuje jako przykład relację „Gazety Wyborczej" ze strajku w Wałbrzyskiem w styczniu 1990 r., w której uderza go „szyderczy ton, skwapliwość, z jaką przedstawia się strajkujących jako niezdyscyplinowanych i pozbawionych rozsądku osobników, z którymi nowocześni obywatele nie mają nic wspólnego". W świecie, w którym związki stały się synonimem warcholstwa, rację mogli mieć tylko ich oponenci, czyli przedsiębiorcy.

Piotr Ostrowski: – Sam to przerabiałem, bo jako student współtworzyłem w 2001 r. związek zawodowy w supermarkecie, w którym wtedy pracowałem. Mówiono nam, że porażki przedsiębiorców są niemal zawsze rezultatem czyichś błędów: złych regulacji, niechlujnych urzędników czy właśnie związkowców, którzy przeszkadzają, zamiast pomagać. Sami sobie winni byli jedynie pracownicy: gdy nie awansowaliśmy i nie zarabialiśmy więcej, to tylko dlatego, że niedostatecznie się staraliśmy. Teraz mamy wprawdzie rok 2021, ale w niektórych firmach czas jakby zatrzymał się 20 lat temu.

Dariusz nie chce ujawniać nazwiska ani firmy, w której kieruje dużym związkiem zawodowym. – Działamy w branży, którą czekają poważne zmiany regulacyjne. Wiele osób może przez nie stracić pracę, a cześć z nich ma już swoje lata i obawia się problemów z przebranżowieniem – wyjaśnia. – Wyciąganie firmowych brudów na zewnątrz może zaszko-

Coraz trudniej zwolnić

W KODEKSIE PRACY zaszła pod koniec 2019 r. ważna zmiana. Od tej pory już sąd pierwszej instancji może nakazać pozwanemu pracodawcy przywrócenie niesłusznie zwolnionego pracownika na listę płac – bez oczekiwania na uprawomocnienie wyroku w kolejnej instancji. To jedno z największych osiągnięć polskich związków zawodowych, które o taką nowelizację zabiegały od lat.

NOWE PRZEPISY znacząco skróciły czas oczekiwania na powrót do pracy po bezprawnym zwolnieniu. Wcześniej sądy nierzadko rezygnowały z przywracania zwolnionych do pracy, gdyż wskutek przewlekłości postępowania w niektórych przedsiębiorstwach często nie było już stanowisk, na które mogliby wrócić.
©℗ MR

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne
MARTA ZDZIEBORSKA opowie o polityce migracyjnej USA (czytaj tekst na s. 49) Agnieszce Lichnerowicz w „Światopodglądzie" Radia TOK FM, w czwartek 6 maja o godz. 16.00
95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław
96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź
97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
– www.tokfm.pl

dzić pracodawcy, ale mówiąc o działalności naszego związku, nie mogę o tych brudach nie wspomnieć. Od tego jesteśmy, żeby ujawniać to, co zarząd próbuje ukrywać.

Osią najostrzejszego sporu pomiędzy kierowanym przez Dariusza związkiem a szefami spółki jest zadaniowy czas pracy. W polskim kodeksie pracy to pojęcie w miarę dobrze zdefiniowane i na pewno nie oznacza tego, co rozumieją pod nim przełożeni – czyli prawa do stałego zwiększania celów sprzedażowych kosztem czasu wolnego podwładnych. – Zadaniowy czas pracy oznacza, że przełożony wyznacza termin realizacji jakiegoś celu, ale w ramach kodeksowego 40-godzinnego czasu pracy – wylicza. – U nas stał się worem, do którego wpycha się coraz więcej zadań. Menedżerowie doszli do wniosku, że mają prawo kontrolować podwładnych praktycznie przez całą dobę, nawet i siedem dni w tygodniu. A przeciętny pracownik nie zna kodeksu pracy i nie ma pojęcia, że to nadużycie.

Problemem wielu korporacji jest dziś, jak mówi Dariusz, dysproporcja sił pomiędzy pracodawcą a pracownikami, wynikająca z dostępu do informacji. W dziewiętnastowiecznej fabryce zamiary przełożonych wobec załogi były widoczne jak na dłoni. We współczesnych spółkach zatrudniających tysiące ludzi w dziesiątkach miast banalnie łatwo można rozgrywać jednych przeciw drugim – zanim Skierniewice dowiedzą się, co się dzieje w Rzeszowie, może być za późno. Rola związku zawodowego polega na zbieraniu sygnałów ostrzegawczych i umiejętności oddzielenia tego, co mało ważne, od oznak zwiastujących poważny problem.

PRZEMYSŁAW KOCH / ADOBESTOCK.COM

Członkostwo w związku zawodowym uwolniło się od balastu politycznych konotacji. To chyba najważniejsza zmiana w polskim krajobrazie związkowym od karnawału Solidarności sprzed ponad 40 lat.

– Jakiś czas temu centrala ogłosiła zwolnienia grupowe – opowiada Dariusz. – Część etatów faktycznie zredukowano, zwolnienia formalnie dobiegły końca, po czym z różnych części kraju zaczęły dochodzić do nas informacje, że menedżerowie regionów wzywają pracowników na rozmowy i sugerują, żeby najgorzej oceniani sami złożyli wypowiedzenie. Rozumie pan? Człowiek od 20 lat zasuwa po kilkanaście godzin na dobę, dzieci widuje na zdjęciach, a potem idzie na spotkanie, żeby usłyszeć, że jest jednak fatalnym pracownikiem, ale „zawsze może odejść z honorem". Ludzie biorą takie teksty do siebie, łapią epizody depresyjne, bo nie dostrzegają, że nie chodzi tu przecież o to, jak pracują, lecz o to, żeby ileś tam osób nakłonić do dobrowolnego odejścia, dzięki czemu firma zaoszczędzi na odprawach.

Sama obecność związku zawodowego w firmie, zaznacza Dariusz, nie daje oczywiście gwarancji, że firma będzie grać z pracownikami fair. – Ale z perspektywy moich przeszło 20 lat pracy dochodzę do wniosku, że ich brak to proszenie się o kłopoty. Po co zostawiać drzwi otwarte, jeśli wspólnie można je łatwo zamknąć?

©℗ MAREK RABIJ

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Drodzy Czytelnicy! 30 kwietnia opuściliśmy ulicę Wiślną. Już jesteśmy na ulicy Dworskiej 1C, 30-314 Kraków

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik),
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Okoński, Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska
TP Typografia: Marta Bogucka, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska, Maja Kuczmińska (kierownik), Mateusz Gawron, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Manager IT: Bartłomiej Swojak
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Jan Klata, Andrzej Stasiuk, Jacek Podsiadło, Dorota Masłowska, Zuzanna Radzik, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Hanna Krall
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA

S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Kapłan medykiem?

W starożytnym Izraelu koheni (kapłani – potomkowie Aarona po mieczu) nie tylko sprawują kult, zogniskowany wokół składania ofiar w Świątyni. Sądzą i nauczają Tory, objawiają Bożą wolę oraz zajmują się kwestiami dotyczącymi nieczystości rytualnej i chorób. Diagnozują oni *caraat* (tradycyjne tłumaczenie: trąd) atakujący ludzi, tkaniny i budynki mieszkalne, jednak nie pełniąc przy tym funkcji terapeutycznej, lecz religijno-prawną: wydają werdykt dotyczący stanu czystości rytualnej. Według proroka Ezechiela kapłani są równi w świętości Domowi Bożemu, i aby utrzymać swój status, podlegają przeróżnym ograniczeniom. Kohen, podobnie jak zwierzę ofiarne, ma być bez skazy, a jeśli jest obarczony jakąś niedoskonałością, nie może służyć w Świątyni. Nie wolno mu zanieczyścić się rytualnie przez kontakt ze zmarłym, wyłączając członków jego najbliższej rodziny: rodziców, dzieci, brata oraz niezamężną siostrę. Talmud dodaje do tej grupy żonę. Stąd zwyczaj chowania kapłanów na cmentarzu na końcu rzędu i przy szerokiej ścieżce, by mogli stać w odpowiedniej odległości od grobów. Nieczystość rytualną wywołuje styczność nawet z odciętym członkiem, krwią albo fragmentem ciała wielkości oliwki lub elementem kości rozmiarów ziarna jęczmienia (talmudyczne miary objętości), wystarczy też przebywanie pod tym samym dachem ze zmarłym.

Wielu starożytnych i średniowiecznych żydowskich mędrców, również kohenów, było lekarzami. Dlaczego w XVIII wieku studiowanie medycyny przez kapłanów stało się nagle problematyczne? Otóż zrewolucjonizowano wówczas zgłębianie tej dziedziny wiedzy, szkoląc odtąd w anatomii i patologii przy wykorzystaniu sekcji zwłok. Czy w obliczu takiego obrotu spraw kohen może zostać medykiem?

Większość rabinów wydających decyzje prawne mówi zdecydowanie „nie". Posłuchajmy zatem argumentacji wyłowionej z opinii mniejszościowych. Współcześni kapłani mają niepewne pochodzenie – skąd gwarancja, że to rzeczywiście potomkowie Aarona w linii męskiej? Koheni i tak są w stanie nieczystości rytualnej, wieki temu zarzucono potrzebną do oczyszczenia ceremonię z czerwoną jałówką (Lb 19, 1-10), a nie można być w stanie większej nieczystości rytualnej, niejako „dodając" do już istniejącej. Ratowanie życia ma pierwszeństwo przed zakazem nieczystości rytualnej – kontrargument: student medycyny jeszcze nie ratuje umierających, póki są inni lekarze. Jeśli kapłan się uparł i już studiuje, niektórzy twierdzą, że nie wolno mu wygłaszać błogosławieństwa kapłańskiego (zob. Lb 6, 22-27) i nie należy go wzywać do czytania Tory.

Dyskusja trwa, a tymczasem w religijnych szpitalach w przypadku czyjejś nagłej śmierci wystawia się ostrzeżenie przed drzwiami dla kohenów. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Bój się Boga!

Piotr Apostoł, zachwycony wiarą setnika Korneliusza, stwierdza: „Przekonuję się, że Bóg naprawdę nie ma względu na osoby. Ale w każdym narodzie miły jest Mu ten, kto się Go boi i postępuje sprawiedliwie". Bać się Boga?

W Pierwszym Liście św. Jana czytamy: „Tam, gdzie jest miłość, nie ma lęku, lecz doskonała miłość odrzuca lęk, ponieważ lęk wiąże się z karą". Jeśli więc czegoś mamy się bać, to strachu przed Bogiem, przed Jego bliskością, wtrącaniem się do naszych spraw, wreszcie karą. Boimy się Boga, gdyż instynktownie odczuwamy, że może On mocno namieszać w naszych pomysłach, planach na życie. Tenże Jan napisał: „Kto natomiast się lęka, nie osiągnie doskonałej miłości". Podszyci strachem przed Bogiem, bojąc się do tego przyznać nawet przed sobą, przed Bogiem i ludźmi, ugniatamy ten strach w sobie i usiłujemy wynaleźć jakieś sposoby, które by trzymały Boga w bezpiecznej odległości od nas. Staramy się więc Bogu przypochlebić, przypodobać, jakoś Go udobruchać, przeprosić, słowem: przeciągnąć na naszą stronę. Stąd mnożenie przeróżnych nabożeństw, niekończących się nowenn i koronek, egzorcyzmów i namaszczeń olejami, popijanie wody zmieszanej z czymś tam, uganianie się za cudotwórcami, wskrzesicielami czy wprawianie siebie i innych w ekstatyczne stany, a wszystko po to, żeby się nam żyło długo i miło. Zapominamy przy tym, że niczego podobnego Bóg nikomu nie obiecał.

Jezus radzi: „Gdy się modlicie, nie mówcie wielu słów, jak poganie. Wydaje się im, że dzięki gadulstwu będą wysłuchani. Nie naśladujcie ich, gdyż wasz Ojciec wie, czego potrzebujecie, zanim Go poprosicie". W dosłownym tłumaczeniu to zdanie brzmi: „Modląc się zaś, nie paplajcie jak poganie, zdaje się (im) bowiem, że w wielobóstwie ich wysłuchani zostaną". A „jeśli Chrystus jest naszą nadzieją tylko w ziemskim życiu, to jesteśmy bardziej godni pożałowania niż wszyscy ludzie", ostrzega Paweł. Ale to ostrzeżenie dotyczy nie tylko „ziemskiego życia".

Prorok Ozeasz mówi: „Pragnę miłości, a nie ofiary, poznania Boga bardziej niż całopaleń". Jeśli tak, to trzeba uważniej przyjrzeć się, jak mówi Karl Rahner, „teorii zadośćuczynienia (i) ofiarowania". Niedawno buddyjski mnich Thammakorn Wangpreecha z Tajlandii odciął sobie głowę gilotyną, bo wierzył, że złożenie ofiary Buddzie przyniesie mu szczęście w przyszłym życiu. Krajowe Biuro Buddyzmu oświadczyło, że buddyzm nie zachęca do takich praktyk. Oburzające! Oczywiście, ale trzeba pamiętać o naszej tradycji. Z pobudek religijnych zginęła córka Jeftego i omal nie zginął Izaak, syn Abrahama. Nie bez powodu Franciszek odróżnia logikę ofiary od logiki daru. Ta umiejętność odróżnienia przydałaby się zwolennikom różnych ofiarowań i ślubowań. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Przez Bramę

W DRUGI DZIEŃ TYGODNIA modlitw o powołania kapłańskie Liturgia postawiła nas wobec słów Pana Jezusa zapisanych u św. Jana: „Zaprawdę, zaprawdę, powiadam wam: kto nie wchodzi do owczarni przez bramę, ale wdziera się inną drogą, ten jest złodziejem i rozbójnikiem. Kto jednak wchodzi przez bramę, jest pasterzem owiec". To jasne – Jezus chce dla Kościoła pasterzy, nie złodziei i rozbójników. My również o to prosimy, modląc się o powołania. Prosimy też za pasterzy – by nie stawali się z czasem złodziejami i rozbójnikami (ja proszę o to dla siebie).

Słowa Jezusa objawiają fundamentalne kryterium odróżnienia pasterza od złodzieja i łotra: pasterz wchodzi do owczarni przez bramę. Tu pada objaśnienie: „Zaprawdę, zaprawdę, powiadam wam: Ja jestem bramą owiec (...). Ja jestem bramą, jeśli ktoś wejdzie przeze Mnie, będzie zbawiony" (J 10, 1nn). W tym objaśnieniu ukryte są przynajmniej dwie intuicje.

Po pierwsze, potencjalny pasterz musi wejść przez „bramę owiec". Pasterzem może być ten i tylko ten, kto najpierw chce być owcą. Tak jak Jezus, który – będąc Pasterzem – jest również Barankiem (śpiewamy o Nim w jednej z wielkanocnych prefacji, że „zawsze żyje jako Baranek zabity"). Dobrym nauczycielem może być tylko ten, kto nigdy nie przestał być zapalonym uczniem. Nie możesz prowadzić innych do wiary, jeśli sam jesteś niewierzący. Nie możesz kogokolwiek (np. swojego dziecka) nauczyć modlitwy inaczej, jak tylko zapraszając go najpierw do swojej własnej modlitwy. Dobrymi spowiednikami są jedynie ci, którzy sami się spowiadają.

Po drugie, skoro „bramą jest Jezus", to znaczy, że najważniejszą kwalifikacją pasterza jest znajomość Jezusa – komunia z Nim, wypełnianie swojej misji nie tylko z Nim, ale raczej w Nim (*in persona Christi*). Trzeba „nauczyć się Jezusa". To ważne, gdyż w dyskusjach na temat pożądanego modelu kapłaństwa lista tego, czego kandydaci powinni się nauczyć, nieustannie się wydłuża. Powinni np. uczyć się retoryki – bo cóż nam z księdza, który nie umie mówić. Powinni być dobrymi psychologami, no i pedagogami. Powinni zyskać kompetencje z zakresu przywództwa, ale i ekonomii (wszak mają być dobrymi gospodarzami) czy konserwacji zabytków (zawierzone są im przecież nierzadko wielkie dobra kultury). Bez znajomości nowoczesnych środków komunikacji nie dotrą do młodego pokolenia. Jedni każą się im uczyć kultury klasycznej i filozofii – by mogli poznać odwieczne ludzkie pytania; inni – przeciwnie – zapraszają ich do studiów kosmologii i nauk ścisłych – by mogli wejść w dialog ze współczesną nauką. A co dopiero mówić o bioetyce? No a wcześniej poważne studium teologii! Żeby było jasne – wszystko to jest ważne (choć nie wszystko „równie ważne"), lecz bez „nauczenia się Jezusa" uczyni nas jedynie jeszcze sprawniejszymi złodziejami i rozbójnikami. Zaprawdę, zaprawdę. ©

Sposobu życia strzeże poznanie.

EWAGRIUSZ Z PONTU

Etyka nie ma nic wspólnego z karą i nagrodą. (...) Musi mianowicie istnieć swego rodzaju etyczna nagroda i kara, ale zawarta w samym czynie.

LUDWIG WITTGENSTEIN

Wybrał PIOTR SIKORA

CZYTANIA LITURGICZNE (9 – 16 V)

6. niedziela wielkanocna: Dz 10, 25-26. 34-35. 44-48; Ps 98; 1 J 4, 7-10; J 15, 9-17;
Poniedziałek: Dz 16, 11-15; Ps 149; J 15, 26 – 16, 4a;
Wtorek: Dz 16, 22-34; Ps 138; J 16, 5-11;
Środa: Dz 17, 15. 22 – 18, 1; Ps 148; J 16, 12-15;
Czwartek: Dz 18, 1-8; Ps 98; J 16, 16-20;
Piątek: Dz 1, 15-17. 20-26; Ps 113; J 15, 9-17;
Sobota: Dz 18, 23-28; Ps 47; J 16, 23b-28;
Niedziela, uroczystość Wniebowstąpienia Pańskiego: Dz 1, 1-11; Ps 47; Ef 4, 1-13; Mk 16, 15-20.

ODBUDOWA W PRZYBUDÓWCE

Zanim na jesieni zdąży zrobić kolejny krok ku zjednoczeniu, parlamentarna lewica może ulec jeszcze większemu rozbiciu. To dlatego zdecydowała się pomóc PiS-owi.

KAROLINA LEWICKA

Zawrót głowy od sukcesów na razie Lewicy nie grozi. Sondaże ustabilizowały się na poziomie 9 proc., niższym niż ostatni wynik wyborczy. Żadnej premii nie przyniosły protesty po zaostrzeniu prawa aborcyjnego, choć lewicowi politycy byli w ich awangardzie. Słupki nie drgnęły, mimo że wahadło społecznych nastrojów ewidentnie odchyliło się w lewą stronę. Nie wiadomo też, czy doniesienia CBOS-u, że odsetek młodzieży o poglądach lewicowych wzrósł rok do roku niemal dwukrotnie – aż do 30 proc., są tylko elektryzujące, czy mogą przełożyć się na realne poparcie przy urnie. Na razie lewica obnosi na sztandarach sondaż IBRiS-u dający jej wśród najmłodszych obywateli poparcie na poziomie 49 proc. Tyle że w wielu innych badaniach taki polityczny wybór deklaruje zaledwie co szósty młody człowiek.

Lewicy zatem wiatr powiał w żagle, ale prędkość statku wciąż jest ta sama. Na pytanie, dlaczego nie płyną szybciej, lewicowi parlamentarzyści bezradnie rozkładają ręce.

– Brakuje im wyraźnej twarzy, zarówno osobistej, jak i instytucjonalnej – mówi mi prof. Andrzej Rychard. – Nie uruchamiają żadnych jednoznacznych ze sobą skojarzeń. Nie wiedząc, czym ta lewica z Wiejskiej tak naprawdę jest, potencjalny wyborca nie uzna jej za wiarygodnego reprezentanta swoich poglądów.

Na pewno nie pomaga też ostra konkurencja o lewicowego wyborcę. Nie bez powodu Polska 2050 rozpoczęła programową ofensywę od kwestii rozdziału Kościoła od państwa, a Platforma wyraźnie opowiedziała się za liberalizacją prawa aborcyjnego, pacyfikując przy okazji swe konserwatywne skrzydło. PiS zaś wciąż ma potencjał, by efektywnie zagospodarowywać tzw. lewicę żołądka, czyli wyborcę socjalnego.

Konwencja programowa Lewicy „Przyszłość jest teraz". Warszawa, 20 lutego 2021 r.

TOMASZ PACZOŚ / FOTONOVA

Likwidator kontra Stańczyk

Włodzimierz Czarzasty zachowuje wobec takiego stanu rzeczy urzędowy optymizm: – Musieliśmy się odbudować po wyborach prezydenckich, bo słaby wynik Roberta Biedronia nie pomógł parlamentarnym notowaniom Lewicy. Teraz jesteśmy w przededniu politycznego przełomu. PiS, Platforma i ludowcy słabną, a Konfederacja i Hołownia idą w górę. My wciąż jesteśmy na tym samym poziomie, mamy stabilną, około 10-procentową bazę. Oby nam nie spadło; jeśli wzrośnie, to będziemy się cieszyć.

Duże nadzieje są pokładane w planowanym na październik kongresie zjednoczeniowym byłego SLD i Wiosny. Ten proces trwa zresztą od końca 2019 r. Sojusz w tym czasie zmienił nazwę, od marca to już oficjalnie Nowa Lewica. Wiosna zostanie wkrótce wygaszona, a jej działacze mają się zapisywać do NL. Nowa marka ma w założeniu skuteczniej przyciągać wyborców, zwłaszcza młodszych, których do tej pory odstręczał zapach naftaliny, czyli pezetpeerowskie tradycje Sojuszu.

Ale są i problemy, które zaczęły się wraz z odejściem z partii Leszka Millera, bo byłemu premierowi nie spodobała się zmiana szyldu i tym samym odesłanie SLD na śmietnik historii. Nazwał Czarzastego „wielkim likwidatorem" oraz „błaznem, który myśli, że jest Stańczykiem", na co wywołany do tablicy odpowiedział, że „właśnie takiej starości się boi".

– Kłótnia Włodka i Leszka, toczona w mediach, wywołała lawinę – mówi mi jeden z posłów dawnego Sojuszu. – Wielu starych działaczy SLD poczuło się zagrożonych w swych włościach. Po prostu boją się utraty dobrego miejsca na liście wyborczej na rzecz młodszych i bardziej energicznych działaczy od Biedronia. Opowiadają, że Wiosna jest już tylko masą upadłościową i stąd nie powinniśmy rozdzielać stanowisk w Nowej Lewicy po równo. Toczy się taka wewnętrzna, partyjna polityka i zjada nam energię.

↦

Działacze Wiosny też robią dobrą minę do złej gry. Czarzasty publicznie mówi o „zjednoczeniu", ponieważ to pozwala Biedroniowi wyjść z twarzą z tej sytuacji, ale, jak mówi mi jeden z lewicowych polityków, choć dziś poza lewicowym klubem: – To żadne łączenie się, tylko wchłanianie Wiosny, bo Biedroń koncertowo przegrał szansę na własną partię. Kiedy ją tworzył, otaczało go grono zaufanych ludzi, ale potem brał na pokład każdego chętnego. To normalne, gdy dopiero buduje się partyjną masę. Wśród przypadkowych ludzi szybko pojawiają się konflikty. Jeśli lider ma autorytet, to je przecina, ale Robert po zdobyciu posady w Brukseli w ogóle przestał zajmować się strukturami, a te się skłóciły i rozpierzchły. Przy okazji zdążył też stracić autorytet, bo przecież obiecał, że zrzeknie się mandatu europosła, ale ostatecznie było mu szkoda. Zwieńczeniem tych katastrof była dotkliwa porażka w wyborach prezydenckich, bo lewicowi wyborcy już w I turze postawili na Rafała Trzaskowskiego.

Jednak na oficjalnej stronie Wiosny czas się jakby zatrzymał, Robert Biedroń wciąż uśmiecha się do wiwatujących tłumów, tonie w morzu flag i konfetti. Nadal można dołączyć do partii, choć wkrótce wkroczy do niej likwidator. Nie ma za to żadnych informacji o Nowej Lewicy. Koleżeństwo z opozycji przewiduje, że Wiosna wkrótce rozpuści się w nowym bycie partyjnym, a na plan pierwszy wybije się stary, dobry Sojusz.

Poseł Krzysztof Śmiszek, działacz Wiosny, reaguje na te docinki wzruszeniem ramion: – Równie dobrze można byłoby założyć, że mniejsza, ale świeższa Wiosna zdominuje większe SLD. Tyle że takie stawianie sprawy nie jest fair. To była nasza wspólna i partnerska decyzja, by połączyć siły, bo wiemy, że wyborcy dają nam premię za jedność. Liczymy na dobrą współpracę.

Zabezpieczeniem przed zwasalizowaniem jednej strony przez drugą ma być konstrukcja ugrupowania: będzie się składać z dwóch frakcji, wiosennej i sojuszowej, oraz mieć dwóch współprzewodniczących – Czarzastego i Biedronia. Otwarte pozostaje pytanie, czy oba samce alfa zgodzą się na jednym podwórku.

> Zjednoczenie dwóch podmiotów lewicowej koalicji uwypukliło jeszcze legendarną osobność trzeciego partnera. **Razem tak konsekwentnie trzyma się na uboczu,** że nie wiadomo, w jakiej konfiguracji wystartuje w wyborach.

Razem razem z kim?

Zjednoczenie dwóch podmiotów lewicowej koalicji uwypukliło jeszcze, od dawna legendarną, osobność trzeciego partnera. Razem tak konsekwentnie trzyma się na uboczu, że w sumie nie wiadomo, w jakiej konfiguracji wystartuje w następnych wyborach. – Mamy z tyłu głowy, że mogą się niespodziewanie odłączyć – mówi mi członek kierownictwa klubu parlamentarnego – zwłaszcza jeśli po opozycyjnej stronie trzeba będzie formować większe koalicje. Gdybyśmy chcieli pójść z Platformą Obywatelską, to nie ma co liczyć na Razem. Bo dla nich liberałowie to wróg większy niż PiS.

Kiedy pytam o taki scenariusz jedną z liderek Razem Marcelinę Zawiszę, odpowiada krótko: – Decyzję podejmie Rada Krajowa partii, ale osobiście nie wyobrażam sobie wspólnego startu z PO.

Nowa Lewica i Razem nie szczędzą też sobie słów wzajemnej krytyki, wygłaszanej anonimowo. Dla członków byłego SLD Razem to odklejeni od rzeczywistości „komuniści", których postulaty ekonomiczno-socjalne są dla większości wyborców albo nie do przyjęcia, albo nie do uwierzenia. Z kolei Razem niechętne jest antyklerykalizmowi Wiosny. – To klimaty Janusza Palikota, ale nie nasze – mówi mi jedna z działaczek. Żeby było ciekawiej, Razem od pewnego czasu przyjaźnie zerka w stronę Szymona Hołowni. Słyszę, że może być im po drodze, jeśli chodzi o wrażliwość społeczną, koncentrację na pomocy słabym i wykluczonym. Jak na razie, bacznie śledzona jest polityka transferowa Polski 2050, bo pozwala domniemywać, w jakim kierunku ideowym Hołownia zmierza. Jeśli otoczy się kolejnymi liberałami, takimi jak ostatni nabytek, Mirosław Suchoń z Nowoczesnej, to rzecz jasna Razem natychmiast straci do Hołowni serce.

Lewica zatem, po triumfalnym powrocie na Wiejską po czteroletniej banicji, nie przeszła do natychmiastowej ofensywy, tylko od dwóch lat układa się wewnętrznie – sporo w niej pęknięć i napięć.

Stąd problemem dla całej formacji okazała się też polityczna gra o Fundusz Odbudowy. Ponieważ rząd – ze względu na weto Solidarnej Polski – nie miał potrzebnej do ratyfikacji Funduszu większości w Sejmie, musiał liczyć na głosy opozycji. Borys Budka i Władysław Kosiniak-Kamysz od razu uzależnili swoje poparcie od tego, czy PiS zgodzi się dystrybuować pieniądze przy współudziale i pod kontrolą samorządów. Włodzimierza Czarzastego z nimi nie było, choć namawiano go do tej współpracy. Wkrótce potem zwołał własną konferencję, na której ogłosił, że Lewica poprze Fundusz bezwarunkowo. „Dlatego że nie jest winny naród polski, że ma głupi rząd" – argumentował.

Szybko przyszło mu się z tych słów, których zresztą nawet nie skonsultował z całym swym zapleczem politycznym, wycofać. – Na posiedzeniu klubu obyło się bez awantury, ale zdania były podzielone – mówi mi poseł byłego SLD. Lewica zaczęła więc niuansować swoje stanowisko i przeszła w tryb warunkowy: pomożemy przy ratyfikacji, jeśli rząd uwzględni nasze uwagi do Krajowego Planu Odbudowy. Zorganizowano konsultacje, spisano poprawki do KPO, a dokument wysłano do Kancelarii Prezesa Rady Ministrów.

By się odróżnić od Platformy

Te polityczne wolty w sprawie Funduszu były rezultatem głębokiego pęknięcia w klubie i koalicji. Od samego początku posłowie Razem jasno deklarowali, że zagłosują „za" bez względu na wszystko, reszta się wahała. Krzysztof Gawkowski na wszelki wypadek ogłosił, że nie będzie dyscypliny klubowej w tym głosowaniu. – Każdy sobie rzepkę skrobał, bo dla Cza-

RADIO KRAKÓW
Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".
Słuchaj nas w Małopolsce:
Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | **www.radiokrakow.pl**

rzastego najważniejsze były trzy rzeczy – przekonuje polityk KO. – By mu się partia i koalicja nie rozpadły, by się odróżnić od Platformy i by się przez przypadek rząd nie wywrócił, bo to może oznaczać wcześniejsze wybory, na które Lewica po prostu nie jest jeszcze gotowa.

Tę słabość natychmiast wyczuł PiS, a Lewica była chętna do negocjacji na własną rękę. Mateusz Morawiecki uznał poprawki Lewicy do KPO za „konstruktywne" i spotkał się z jej przedstawicielami w tym samym dniu, w którym projekt ratyfikacji stanął na posiedzeniu rządu. Bo głosy Lewicy, nawet jeśli nie wszystkie, pozwalają premierowi zignorować sprzeciw Solidarnej Polski. „Na spotkaniu unosił się duch odpowiedzialności za państwo" – chwaliła Lewicę rzeczniczka PiS-u Anita Czerwińska, a wtórował jej, zazwyczaj bezwzględny wobec opozycji, Ryszard Terlecki.

– Nie rozumiem, dlaczego Czarzasty to robi – wzdycha poseł byłego SLD. – PiS może dziś wszystko obiecać, by jutro niczego nie dotrzymać. W dodatku rozbijamy jedność opozycji.

Ale większość posłów jest zadowolona z takiego obrotu sprawy i jeśli tylko do Brukseli trafi poprawiony KPO (chodzi m.in. o powołanie komitetu monitorującego, który będzie kontrolował wydatkowanie unijnych pieniędzy; przeznaczenie 800 mln euro wsparcia dla szpitali powiatowych; gwarancję przeznaczenia 30 proc. środków dla samorządów), to PiS może liczyć na znaczną część głosów Lewicy przy ratyfikacji Funduszu Odbudowy.

Na końcu wygra PiS

Porozumienie Lewicy i PiS-u oznacza też, że drugie podejście opozycji (KO i ludowców) do stworzenia rządu tymczasowego (pierwsze było w maju zeszłego roku, przy okazji wspólnych działań na rzecz zablokowania wyborów kopertowych) znów spaliło na panewce. Ponieważ sprzeciw Ziobry wobec ratyfikacji będzie miał charakter symboliczny, Kaczyński nie będzie go wyrzucał z rządu, czym wcześniej groził. A Jarosław Gowin, po raz kolejny przekonawszy się, jak bardzo skonfliktowana jest opozycja, w ogóle przestanie brać pod uwagę odwrócenie sojuszy w tej kadencji Sejmu.

PiS miał być z Lewicą po słowie jeszcze przed pierwszym od kilku miesięcy spotkaniem trzech liderów: Kaczyńskiego, Gowina i Ziobry w poprzednią niedzielę. Dzięki temu prezes mógł wystąpić wobec koalicjantów z pozycji siły.

– Czarzasty uratował rząd PiS-u. Takie rzeczy tylko w Polsce – napisał mi w SMS-ie jeden z polityków Koalicji Obywatelskiej. Ale Lewica przekonuje, że tylko jej udało się zmusić rząd do rozmów i ustępstw, a plan na gabinet techniczny od początku był w sferze pobożnych życzeń.

Tyle że tak czy owak największym wygranym jest PiS. Kaczyński pozbył się kłopotu, który od miesięcy spędzał mu sen z powiek: ma większość do ratyfikacji Funduszu Odbudowy. Premier już ruszył z kampanią o „770 mld zł dla polskich wsi, miast i miasteczek", która ma podreperować PiS-owi sondaże. A przy okazji udało się jeszcze wbić klin w opozycję. Lewicy pozostaje teraz trzymać kciuki, by PiS nie okazał się od niej sprytniejszy lub po prostu wiarołomny.

© KAROLINA LEWICKA

Autorka jest dziennikarką radia Tok FM. Stale współpracuje z „TP".

Zostań mecenasem nowego filmu Fundacji Tygodnika Powszechnego

Ukos światła

nowy film Fundacji Tygodnika Powszechnego

Dlaczego sportowy mistrz Europy zajął się przywracaniem pamięci po ofiarach II wojny światowej? „Mija rocznica, kiedy pół miasta zginęło, a tu nikt nawet nie pali świeczki" – wyjaśniał swoją motywację.

Fundacja Tygodnika Powszechnego jest producentem filmu dokumentalnego w reżyserii **Wojciecha Szumowskiego** o **Dariuszu Popieli**, olimpijczyku przywracającym pamięć po żydowskich sąsiadach. Polski Instytut Sztuki Filmowej odmówił dofinansowania tej produkcji, dlatego prosimy Państwa o wsparcie powstania ważnego filmu.

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

W zbiórce można wziąć udział pod adresem powszech.net/ukos

Santander Bank Polska S.A. nr: 31 1910 1048 2006 1845 1121 0001
przelew w USD: PL17 1090 0088 0000 0001 4140 2432
przelew w EUR: PL80 1090 0088 0000 0001 4140 2365
SWIFT: WBKPPLPP

OGŁOSZENIE OPP // ZDJĘCIE Z POWSTAJĄCEGO FILMU „UKOS ŚWIATŁA"

BARTOSZ BAŃKA / AGENCJA GAZETA

Punkt szczepień przeciw COVID-19 w hali AmberExpo. Gdańsk, 8 kwietnia 2021 r.

Awantura o Astrę

MAŁGORZATA SOLECKA

Można się u nas zaszczepić niemal od ręki. Tylko że preparat, który z racji niższej ceny miał być podstawą programu szczepień, popadł w niełaskę.

Zaufanie, poczucie bezpieczeństwa, przejrzystość – takie skojarzenia pojawiają się gdzieś w tyle głowy, gdy rozmowa schodzi na szczepienia. No, chyba że chodzi o szczepienia przeciw COVID-19. Zwłaszcza o tzw. szczepionkę oksfordzką, wokół której narosło wiele wątpliwości i problemów, częściowo zawinionych przez producenta, a częściowo zapewne przez konkurencję z Rosji i Chin.

Dla kogo ta szczepionka

W połowie kwietnia w berlińskim punkcie szczepień masowych preparatem AstraZeneca zaszczepiona zostaje kanclerz Niemiec Angela Merkel. Kilka dni wcześniej tę samą szczepionkę przyjął prezydent RFN Frank-Walter Steinmeier. To wyraźny sygnał dla obywateli powyżej 60. roku życia, żeby śmiało ruszyli do punktów po swoje dawki Astry. W przeciwieństwie np. do Polski w Niemczech dla młodszych zarezerwowano szczepionki mRNA, ze względu na fakt, że wszystkie incydenty zatorowo-zakrzepowe, do jakich doszło w pierwszych tygodniach szczepień wektorowym preparatem koncernu AstraZeneca, odnotowano u młodszych, przede wszystkim kobiet.

Ale Niemcy – i inni obywatele Europy – mają dobrą pamięć: nie umyka im, że gdy szczepionka oksfordzka była dopuszczana na rynek europejski, Europejska Agencja Leków (EMA) postawiła znak zapytania przy jej skuteczności dla starszych grup wiekowych (to wtedy Polska ograniczyła jej stosowanie u seniorów). Do opinii publicznej dotarł mętny komunikat, który można by streścić tak: najpierw okazała się nie do końca skuteczna dla seniorów, teraz jest nie do końca bezpieczna dla młodych. Taka w sam raz dla nikogo.

Z drugiej jednak strony – podpowiada rozsądek – sukces w duszeniu trzeciej fali pandemii, jaki niewątpliwie odnosi Wielka Brytania, to w dużej części zasługa szczepionki oksfordzkiej i jej masowego użycia w populacji, bez względu na wiek i choroby towarzyszące. Co więcej, sukces ten osiągnięto szczepiąc szeroko jedną dawką (zarówno szczepionki oksfordzkiej, jak i mRNA): Wielka Brytania zaszczepiła jedną dawką połowę populacji, a ze szczepieniami drugą ruszyła stosunkowo niedawno. W pełni zaszczepiony jest co piąty mieszkaniec Wysp.

Dlaczego to, co po jednej stronie kanału La Manche działa, nie budzi opo-

rów i się sprawdza, po drugiej urasta do gigantycznego problemu? Dlaczego Komisja Europejska jest bezradna wobec separatystycznych polityk poszczególnych krajów członkowskich, z których niemal każdy postępuje z Astrą na własną modłę? Przykład różnic w podejściu Niemiec i Polski jest jednym z wielu. Bruksela zaapelowała o wypracowanie jednolitego podejścia do stosowania szczepionki i odpowiedzi na pytania: kto powinien ją otrzymywać? Czy mają uzasadnienie ograniczenia wiekowe? Czy osoby, które zostały zaszczepione AstrąZenecą, mają otrzymać jako drugą dawkę szczepionkę mRNA, a jeśli tak, to czy wszyscy, czy tylko młodsi?

Unia idzie do sądu

Jednak te apele to głos wołającego na puszczy. Wkrótce zresztą nikną w zalewie kolejnych informacji.

Bo krótko po tym, jak szczepionkę AZ przyjęła kanclerz Merkel, wybucha bomba. W mediach pojawiają się przecieki, że Komisja Europejska rezygnuje ze szczepionek wektorowych, stawiając na droższą technologię mRNA, a krótko potem – że Bruksela idzie z koncernem AstraZeneca do sądu.

Czyżby Angela Merkel, obnażając ramię do szczepienia, nie wiedziała, że AstraZeneca jest na straconej pozycji i jej szczepionka wkrótce – choć jeszcze zapewne nie w najbliższych miesiącach – zniknie z unijnego rynku? To oczywiście niemożliwe: szefowa niemieckiego rządu i najbardziej wpływowa kobieta świata wybrała szczepionkę nie tylko w pełni świadomie, ale wręcz z premedytacją. Oczywiście, chciała zachęcić rodaków do korzystania z dostępnej (niektórzy twierdzą wręcz, że zapychającej magazyny) i dobrej szczepionki, by jeszcze bardziej zdynamizować wyraźnie rozpędzający się program szczepień.

O co Bruksela pozywa koncern? W największym skrócie – o to, że nie dotrzymał terminów i wolumenów dostaw, narażając krajowe programy szczepień na potężne perturbacje. Nie tylko w pierwszym kwartale, kiedy z dostawami problemy mieli również inni producenci, ale również w drugim. Tylko w końcówce kwietnia AstraZeneca odwołała potężne transporty szczepionek (do Polski nie trafiło ok. 800 tys. zaplanowanych dawek).

Wina za źle skonstruowaną umowę leży przecież po obu stronach (a na zdrowy rozum – po stronie kupującego, który kładł na stole publiczne fundusze i, co może jeszcze ważniejsze, publiczne nadzieje na opanowanie pandemii). Komisja Europejska będzie próbowała dowieść, że koncern w ogóle nie miał zamiaru dotrzymać umowy. Ale trudno będzie jej wybronić się przed zarzutami, że w porę nie zauważyli tego ci, którzy zauważyć powinni. I tylko do pewnego stopnia okolicznością łagodzącą – a może tylko rzucającą trochę światła – jest fakt, że KE przejęła negocjacje, jakie z firmą wcześniej prowadziły m.in. Niemcy, Włochy i Francja, które – zanim zapadła decyzja o wspólnych, unijnych zakupach szczepionek – już rozpoczęły działania w węższym gronie. I to na tym etapie mogły zostać popełnione błędy, których odwrócić się już nie udało. Przede wszystkim ten, że do umowy nie wpisano praktycznie żadnych konsekwencji dla koncernu w przypadku niedotrzymania zobowiązań.

Cień Sputnika

Perturbacje z dostawami szczepionki, która – to warto przypominać wciąż i wciąż – miała być wręcz fundamentem pierwszego rzutu szczepień przeciw COVID-19, jako tania w produkcji i łatwa w logistyce, to jedno. Drugie – kampania pomówień i oszczerstw. Naukowcom z Akademii Leona Koźmińskiego udało się prześledzić publikowane na Twitterze – najbardziej „opiniotwórczym" z mediów społecznościowych – treści na temat preparatu firmy AstraZeneca. I dowieść, że większość tych wiadomości powielała źródła słynące z dezinformacji. „Przeanalizowaliśmy ponad 50 tys. tweetów z hashtagiem #AstraZeneca w języku angielskim z 2021 r. Okazało się, że wiadomości publikowane w tweetach i te, które są często retweetowane, obfitują w negatywne informacje, a w wielu przypadkach pochodzą ze źródeł medialnych znanych z rozsiewania dezinformacji" – napisali w swojej analizie prof. Dariusz Jemielniak i Yaroslav Krempovych.

Jednym z tych źródeł jest ośrodek Russia Today. „Biorąc pod uwagę fakt, że Rosja jest bardzo zainteresowana promocją własnej szczepionki Sputnik V, zarówno ze względów ekonomicznych, jak i politycznych, działalność serwisów Russia Today w zakresie publikowania często negatywnych informacji na temat preparatu AstraZeneca może być postrzegana jako część większej kampanii, potencjalnie ukierunkowanej na dyskredytację konkurencyjnej szczepionki" – piszą autorzy pracy.

W grę wchodzą także Chińczycy – wskazywałoby na to zaangażowanie mediów z Afryki czy krajów arabskich, do których szerokim strumieniem płyną chińskie szczepionki. Bez wątpienia bowiem AstraZeneca to produkt, który Unia Europejska, choćby w ramach projektu COVAX, może zapewnić krajom rozwijającym się. A tymczasem i Rosja, i Chiny najchętniej swoimi preparatami podbiłyby świat. Podobne plany mogłyby zresztą snuć Indie, gdyby nie musiały się mierzyć z katastrofalną sytuacją u siebie.

Kto się boi igły

Co prawda awantury o Astrę przetaczają się daleko od naszego podwórka, ale ich skutki mogą być i dla nas bolesne. Choćby dlatego, że tysiące osób, zaszczepionych pierwszą dawką AstryZeneki, mogą zrezygnować z drugiej. Wątpliwości, niejasności, sztucznie generowane czy nie, to dodatkowy bodziec dla takiej decyzji. O tym, że wiele osób wcale takiej dodatkowej stymulacji nie potrzebuje, świadczą dane z USA, gdzie ok. 8 proc. zaszczepionych pierwszą dawką (szczepionek mRNA: w USA AstraZeneca nie została jeszcze dopuszczona na rynek) nie stawiło się na drugie szczepienie. Z apelem do współobywateli o pilnowanie drugiego terminu zwrócił się w ubiegłym tygodniu prezydent Joe Biden – sam zresztą zaszczepiony już od dawna dwiema dawkami. Ile osób rezygnuje w Polsce z drugiego szczepienia? Ministerstwo Zdrowia na razie nie monitoruje sytuacji.

Terminy szczepień Astrą dostępne są praktycznie od ręki dla coraz młodszych roczników. Tylko w ostatnich dniach zaszczepili się nią m.in. premier Mateusz Morawiecki (z żoną) i minister zdrowia Adam Niedzielski. Prezydent, jak sam powiedział, „zgodził się" na propozycję szczepienia preparatem mRNA. W przeciwieństwie do szefa rządu i ministra Duda po swoją dawkę nie udał się na Stadion Narodowy – szczepionki dla pary prezydenckiej dostarczył specjalny ambulans. Nie zdecydował się też na szczepienie przed kamerami. Być może dlatego, że – jak zdradził – boi się igieł. ©

Pamiętajcie o mnie

MARIUSZ SEPIOŁO

Kobieta w szpitalu częstuje go papierosem. To pierwszy od długiego czasu ludzki gest ze strony kogoś obcego.

Grany przez Bartosza Bielenię bohater filmu „Prime Time" ma na imię Sebastian. Jest charyzmatyczny, inteligentny i potrafi wzbudzić strach. W noc sylwestrową 1999 r., kiedy wszyscy odliczają czas do początku nowego milenium, wchodzi do budynku telewizji i bierze dziennikarzy na zakładników. Chce stanąć przed kamerami i mówić.

Na tym kończą się podobieństwa z prawdziwym bohaterem tej historii, który w 2003 r. naprawdę wtargnął do budynku Telewizji Polskiej. Najpierw krążył po Warszawie, aż zobaczył neony telewizji. Wtedy, jak opowie, poczuł „impuls".

Chociaż został ukarany, za swój impuls płaci nadal. Dziś na swoim blogu pisze tak: „Wydarzenie z 2003 r. było i nadal jest dla całej rodziny traumatycznym przeżyciem, nieszczęściem wywołanym chorobą i naszym jedynym życzeniem było, aby do niego nie wracać, a już na pewno nie w wersji komercyjnego produktu".

Lufa

Jest 21 września 2003 r., późny wieczór. Adrian, 22-letni mieszkaniec Tomaszowa Mazowieckiego, wsuwa rękę pod kurtkę i dotyka rękojeści pistoletu gazowego P-83G. Wchodzi do budynku F telewizji przy ul. Woronicza 17 w Warszawie. Relacja z tego, co działo się później, znajduje się w aktach sądowych.

Pracownik ochrony Tomasz Z. widzi młodego mężczyznę w ciemnej kurtce, który zbliża się do barierek odgradzających hol od reszty budynku. Na pierwszy rzut oka chłopak wygląda podejrzanie. Pyta, czy to w tym budynku znajduje się studio Programu Pierwszego (telewizyjnej Jedynki). Oznajmia, że posiada „ważne wiadomości do przekazania". Ochroniarz podaje Adrianowi numer telefonu do pomieszczenia, w którym realizowane są programy. Chłopak dzwoni, powtarza słowa o „ważnych wiadomościach". Prawdopodobnie po drugiej stronie nikt nie chce go słuchać, nie traktuje poważnie. Bo wtedy Adrian oddaje słuchawkę ochroniarzowi, wyciąga pistolet i przeskakuje przez barierki.

Każe się prowadzić do studia. Kamery monitoringu zarejestrują, jak idą we dwóch korytarzami telewizji, ramię w ramię. Adrian ma wtedy powiedzieć ochroniarzowi po cichu: „Mam żółte papiery, nic mi nie zrobią". „Żółte papiery" mają oznaczać zaświadczenie o chorobie psychicznej.

Wchodzą do studia S8. W środku jest pięcioro pracowników telewizji, realizujących program na żywo. Adrian wyjmuje broń i przystawia ją ochroniarzowi do skroni. „Poczułem, że lufa jest zimna, i wtedy pomyślałem, że pistolet może być prawdziwy" – opowie ochroniarz.

To on przeżyje tej nocy najgorszy koszmar. Adrian każe mu klękać, wstawać, znowu klękać. Bez przerwy trzyma go na muszce. Raz mówi, że go zastrzeli, innym razem uspokaja, że broń to atrapa. Kiedy pracownicy telewizji nie chcą lub nie mogą spełnić jego żądań, kilka razy odlicza sekundy do końca życia Tomasza Z. i za każdym razem ochroniarz jest przekonany, że zginie.

Blef

Adrian chce stanąć przed kamerami i wygłosić oświadczenie. Do reżyserki dzwoni dyrektor dyżurna telewizji, potem osobiście pojawia się na miejscu. Ryzykuje życiem, wchodzi i rozmawia z Adrianem. Mówi mu, że to nie takie proste: wejść do telewizji i stanąć przed kamerą.

W tym czasie pracownicy telewizji zdążyli już zawiadomić policję. Na miejscu zjawia się policyjny negocjator. Mówi, że trzeba poczekać, że telewizja ściąga kamerzystę aż z Żoliborza. Kiedy przyjedzie, wejdzie z Adrianem do studia, ale w kamizelce kuloodpornej. Blef brzmi przekonująco, Adrian czeka, ale nie spuszcza zakładnika z muszki.

W końcu traci siły. Sam czuje stres i strach. Wie, że niedługo to wszystko się skończy, a za drzwiami czekają policjanci z kajdankami. Mówi: „Życie jest do dupy". „To nie ma sensu". „Nikt nie przyjedzie".

Nie ma pomysłu na lepszy scenariusz. Być może myślał, że w telewizji wystarczy improwizować, że zwykli ludzie w oku kamery stają się herosami. Na własnej skórze przekonał się, że tak nie jest.

Pyta ochroniarza, czy ma rodzinę. Robi mu się go żal, chce okazać mu współczucie, być może jakoś zrekompensować to, co przed chwilą się stało. Wyciąga fifkę, podpala, każe mężczyźnie się zaciągnąć. Tomaszowi Z. kręci się po tym w głowie.

W końcu Adrian rezygnuje. Mówi do ochroniarza: „Jesteś wolny". Jest godzina 23.20. Kładzie broń na podłodze, a wtedy do pomieszczenia wpada grupa antyterrorystów. W ich rękach staje się teraz piłką odbijaną od ścian i podłogi. „Jeśli ktoś świadomie i z premedytacją popełnił tamtego dnia przestępstwo w gmachu TVP, to nie byłem to ja, tylko funkcjonariusze Policji, którzy przekroczyli swoje uprawnienia" – napisze Adrian na swoim blogu.

RAFAŁ GUZ / FORUM

Antyterroryści w budynku Telewizji Polskiej przy ul. Woronicza, gdzie Adrian domagał się wystąpienia na antenie. Warszawa, 21 września 2003 r.

„Pięć par rąk i pięć par nóg wymierzało mi coraz silniejsze ciosy" – zezna w śledztwie. Policjanci mają go bić po głowie, tułowiu, nogach. Z całej siły rzucać o szafę. Na głowę założyć plastikowy worek. Jak będzie później twierdził Adrian, antyterroryści mówią mu, że go „zajebią", utopią w Wiśle, że „będzie umierał powoli". Kiedy go biją, nie traci świadomości, a bardzo by chciał. Próbuje wstrzymać oddech tak długo, żeby się udusić. Gdy wyprowadzają go przed budynek, Adrian ma krzyczeć: „Nazywam się [pada nazwisko], pamiętajcie o mnie!".

Kiedy wrzucają go do radiowozu, pyta: „Czy możecie mi obiecać, że strzelicie mi w głowę?". Mają odpowiedzieć, że „zrobią tak, żeby sam strzelił sobie w głowę". Groźba topienia w Wiśle to psychiczna tortura, na którą zdaniem policjantów Adrian zasłużył. Zaoczna kara, zanim prawdziwą ogłosi sąd. Wiozą go do szpitala. Boją się, że zatrzymany im zejdzie.

W szpitalu Adrian patrzy w lustro i nie może się w nim rozpoznać. Czy ktoś zapyta, skąd tyle obrażeń na jego ciele? Czy ktoś powiadomi o nich odpowiednie organy? Nie, to jeszcze nie te czasy. W 2003 r. łatwiej było o nadużycia wobec zatrzymanych.

W szpitalu jakaś kobieta częstuje Adriana papierosem. To pierwszy od długiego czasu ludzki gest ze strony kogoś obcego.

Bariera

Z akt sądowych i zeznań wynika, że Adrian w dzieciństwie był raczej nieśmiały. Z trudem nawiązywał relacje z rówieśnikami. Dużo chorował, m.in. na astmę oskrzelową. Takich cichych, milczących dzieciaków świat wtedy nie akceptował. W latach 90. rządził kult męskiej siły, bohaterów z amerykańskich filmów. Ważny był szybki sukces, najlepiej spektakularny. Rodzina Adriana żyła skromnie, choć niczego w domu nie brakowało.

Adrian miał zażywać anaboliki. Sprowadzone z Rosji, kupione gdzieś na rynku sterydy, które kiedyś znalazła u niego matka. Sterydy pompowały mięśnie, a inne narkotyki ego. Podobno brał też amfetaminę, dzięki której czuł, że „łamie wszystkie bariery i otwiera się na świat". Jeszcze w liceum miał dziewczynę. Był w niej zakochany, ale związek nie przetrwał. Dopiero kiedy zaczął ćwiczyć na siłowni, relacje z otoczeniem się poprawiły – tak twierdziła sądowa kurator w opinii środowiskowej. Adrian poczuł się silniejszy, pewniejszy siebie. Wreszcie miał kolegów, poważanie na osiedlu.

Wszystko miało swoje konsekwencje. Czasem ostrzegał, że skoczy z czternastego piętra. Raz obiecywał, że wszystko się zmieni, potem wracały stare kłopoty. Według sąsiadów bywał agresywny, groził im i wdawał się w bójki. „W Tomaszowie wszystko wysadziłbym w powietrze" – tak mówił.

W końcu spróbował stanąć na nogi. Pojechał do pracy na Wyspach. Nie wytrzymał długo, wrócił. Marzył o życiu na Jamajce, z dala od ludzi, gdzie – jak mówił – nie ma pogoni za dobrami materialnymi. Tam zajmowałby się „duchową sferą życia". Zaczął studia – zaoczną informatykę w Łodzi. Na początku szło mu dobrze, potem się opuścił. Ale w trakcie procesu podkreślał, że chce na wolności kontynuować naukę.

Leczył się u psychiatry w Łodzi. Lekarz przepisał mu tabletki. Zanim to wszystko się wydarzyło, rodzice myśleli, że jednak staje na nogi. Przed wyjściem z domu powiedział, że jeszcze „będą z niego dumni".

Tydzień wcześniej na dworcu w Łodzi kupił pistolet gazowy (tak zeznał przed śledczymi). Jednego z kolegów poprosił, żeby zawiózł go do Warszawy. Wysiadł w centrum i krążył bez celu, popalając trawkę. Zobaczył telewizyjne neony i to miało być dla niego impulsem.

Długo potem przypomniał sobie, co tak naprawdę chciał ogłosić przed kamerami. Komunikat odnotowali przesłuchujący w aktach. Adrian chciał podobno powiedzieć, że narkotyki mają zgubny wpływ na ludzkie zdrowie.

Fikcja vs. rzeczywistość

Sąd postanawia wysłać go na obserwację do szpitala psychiatrycznego. Lekarze nie stwierdzają patologii w układzie neurologicznym. Sądowa biegła stwierdza jednak „zaburzenia myślenia", „zespół paranoidalny" i „objawy psychotyczne w przeszłości". Bohater filmu „Prime Time" nie ma problemów z psychiką.

W szpitalu Adrian miewa okresy lepsze i gorsze. Bywa apatyczny, przygnębiony. W lepszym nastroju deklaruje, że chce naprawić swój błąd, wyjść i dokończyć studia. Po kilku tygodniach zaczyna negować regulamin, grozić sanitariuszom. W końcu jego nastrój się stabilizuje. Czyta dużo książek, ma plany na przyszłość. W 2005 r. decyzją sądu opuszcza szpital i wraca do domu.

Dawno temu wyjechał z Polski. Założył rodzinę, pracuje, prowadzi własny biznes. Jest zmęczony grzebaniem w jego przeszłości. Oburza go, że z powodu filmu sprawa znowu stała się medialna. Ale sam założył bloga i w dniu premiery „Prime Time" opublikował wpis, w którym wrócił do wydarzeń z 2003 r.: „Zachorowałem i byłem dokładnie zdiagnozowany na długo przed tym wydarzeniem. Ponadto pan Piątek [reżyser filmu – red.] miał wytłumaczone, że powracanie do tamtej historii, bardzo skomplikowanej zresztą, może spowodować nieprzewidywalne skutki również dla ludzi zupełnie postronnych".

Bardzo żałuje tego, co zrobił Tomaszowi Z., ochroniarzowi TVP. Zerwał z narkotykami, a co najważniejsze, ↦

nie ma dziś problemów psychicznych, które – jak mówi – kierowały jego czynami sprzed dwóch dekad. Film zaś jest według niego „bardzo perfidną próbą rekonstrukcji incydentu z jego udziałem”, „okrutną fantazją”, „ordynarnym produktem komercyjnym” – jak pisze na swoim blogu. „Najgorsze jest to, że twórcy filmu tak naprawdę zamachnęli się na próbę stworzenia mojego portretu psychologicznego z odpowiedzią na najbardziej nurtujące ich pytanie – co było powodem mojego wejścia do TVP tamtego dnia”.

Boli go, że przedstawione w filmie relacje bohatera z ojcem ludzie uznają za prawdziwe. Ale to fikcja – relacje Adriana z tatą zawsze były dobre i nawet po zamachu nic się w nich nie zmieniło. Podobno schorowany dziś, starszy mężczyzna bardzo przeżywa premierę filmu. W procesie zeznał, że syn wzrastał w atmosferze miłości i tolerancji.

Czterdziestoletni obecnie Adrian o tamtych wydarzeniach chciałby zapomnieć. Tak jak jego bliscy, którzy po raz kolejny przeżywają trudne dni. Uważają, że twórcy filmu wykorzystali historię Adriana bez ich zgody. Choć sami twórcy „Prime Time” twierdzą, że inspirowali się nie tylko historią Adriana, ale różnymi podobnymi z całego świata. „Apelujemy o nietraktowanie fikcji filmowej jako rzeczywistości czy jako opisu autentycznych wydarzeń. Oświadczamy jednoznacznie, że historia opowiedziana w »Prime Time« nie jest historią polskiego bohatera podobnych wydarzeń i jest oparta na fikcji” – piszą producenci z Watchout Studio w oświadczeniu.

Sprawa prowokuje jednak wiele pytań. Ile film może czerpać z tzw. prawdziwych historii? Ile może sobie „wziąć” z historii osoby publicznej? I czy Adrian taką był? Czy taką jest dzisiaj, kiedy założył bloga i sam pisze o tamtych wydarzeniach, zapowiadając też napisanie książki na ten temat?

Przypomina to niedawną dyskusję wokół filmu „Pan T”. Bliscy Leopolda Tyrmanda twierdzili, że dzieło oparte jest na historii i literaturze autora „Złego”. Filmowcy temu zaprzeczyli. Mimo że pewne wydarzenia do złudzenia przypominają te opisane m.in. w „Dzienniku 1954”.

Pudło

W roku 2003 telewizor był centralnym punktem każdego domu, ołtarzykiem, przed którym zasiadały wieczorami całe rodziny, by śledzić losy Lubiczów i Mostowiaków. W którym lektorzy „Wiadomości” raz dziennie o 19.30 ogłaszali jedyną prawdziwą wersję świata.

W nowym tysiącleciu telewizja wpuściła przed kamery amatorów, których zamknęła w „domu wielkiego brata” i filmowała 24 godziny na dobę. Dwa lata przed wtargnięciem Adriana do budynku telewizji zakończyła się pierwsza polska edycja „Big Brothera”. Wygrał ją Janusz Dzięcioł, strażnik miejski ze Świecia. Przez cały program niczym się nie wyróżniał, nie wchodził w konflikty, nie wywoływał skandali. Chciał zostać gwiazdą i został. Nowe zjawisko – *reality television* – miało zrewolucjonizować świat mediów.

Adrian wcale nie chciał być częścią tej rewolucji. Ale został nią – mimo woli. Rozgłos sam się o niego upomniał. Po dwudziestu latach od prawdziwego *prime time*.

© MARIUSZ SEPIOŁO

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

DOROTA

Masłowska:
Gamy

Puchate drzewa usiane milionami białych kwiatków wyglądają jak porzucone suknie ślubne albo papierowe żyrandole z Ikei. Ostatnie dni lockdownu – jak swoje coraz mniej wyraźne ksera; chodzę ciągle tymi samymi trzema ulicami do tych samych sklepów po te same produkty, wręcz stroniąc od urozmaiceń i zbędnych odmian, które mogłyby zburzyć tę coraz ciekawszą monotonię. To taktyka odwrotna do dawnej pazerności, rozwiązłości tamtego życia, kompulsywnego szukania ruchu i odmiany: teraz raczej skłaniam się ku powtórzeniom, gapieniu się w pozornie nic niemówiące obiekty z cierpliwością i konsekwencją tak długo, aż pękną i zaczną sypać. Jest w tym jakieś marzenie, by odpowiednio poważnym, natężonym wzrokiem móc przeniknąć banał rzeczy. Przejrzeć ich wierzchnią warstwę; podważyć korę materii i patrzeć w ten kryjący się pod nią tętniący chaos rozmaitych wynikań, powiązań i wpływów; plątaninę łańcuchów przyczynowo-skutkowych, istny teatr rozmaitości... Na przykład wpatrując się dostatecznie mocno w tę kartkę, moglibyście zobaczyć mnie po jej drugiej stronie piszącą teraz te słowa. Mój pokój nieschlebiający żadnym gustom i stylom. Samolot za oknem szyjący maszynowo zaróżowione majowe niebo. A także rozścielone wszędzie akordeony moich notatników, rozbebeszone i wzdęte od słów i różnych zdań, samogrające na sobie jakby mimowolnie, z rozpędu... Moje moleskiny, notesy, luźne kartki... Słowa parujące i parzące się. Ich pary, trójkąty i konstelacje. Testowe połączenia barw, eksperymenty albo przeciwnie: zestawienia kwadratowe i nudne jak gamy i pasaże zdań wykonywane co rano dla formy. Wprawki. Zdania-przysiady, zdania-skłony. Różne pomniejsze i większe zapiski i szkice, półportrety, bzdury. Trochę jakbym prowadziła w tych zeszytach azyl. Nierentowne schronisko dla chwil ulotnych jak ulotki. Jest w tym oczywiście rodzaj literackiej gospodarności, skrzętności, która podpowiada, by nic nie wyrzucać. Ale jest i intuicja ocalenia obrazów i zdarzeń bezbronnie bezsensownych, bezowocnych.

Niechże będzie ten tekst elegią dla tych bidoków. Dla chwil i obrazów, które nie składają się w żaden sens, nie tworzą żadnych całości, a są jedynie odrzutem, przez nikogo nierozważanym miałem życia, któremu w ramach dziwnego wolontariatu daję schronienie w swoich zeszytach. Dla artykułu „Jak rozmawiać z umierającą osobą?" na Onecie, wciśniętego między kobietę z czterema piersiami a najnowsze mordobicie o ostatni w całym dyskoncie lód Ekipa. Dla tego, kto porzucił na gzymsie modernistycznej kamienicy wielki słoik po Majonezie Napoleońskim, wybiórczo wyjadłszy śledzie, a zostawiwszy olej i cebulkę, w przekonaniu, że znajdzie jeszcze ten zdekompletowany rarytas swojego amatora. Niech będzie tam też coś o starszym mężczyźnie z mojej ulicy, któremu decyduję się nie mówić „dzień dobry". Sunie on bowiem w tak strasznym śmiertelnym skupieniu, z takim bólem ważąc każdy centymetr, łapiąc każdy kolejny kawałek chodnika laską i desperacko przytrzymując się go, zaciekły i przerażony, że byłoby to jak pozdrawianie kogoś idącego w huraganie na linie rozwieszonej nad przepaścią. Niech będzie to utwór na hipnotyczny poszum pendolino w wagonie „strefa ciszy" i dwie rozsiadające się w nim kobiety bez maseczek w suto zdobionych bluzkach Paris. Bije z nich nieelegancja-nie-Francja; złe, niesprawiedliwe życie zostawiło na ich twarzach i ustach brzydkie wyrazy. Niech będzie to pieśń na ich niskie od dymu głosy, duże piersi, grube ramiona i silnie upierścienione dłonie, w których trzymają, jak morderczą broń, jakieś wielkie bagiety z KFC. (Nie do określenia jest ich wiek, a jedynie można podejrzewać, że to młodsza babcia i jej babcia. Albo że któraś z nich jest przedwcześnie starą córką drugiej, a ta z kolei jej matką-równolatką, albo coś w tym rodzaju. W dodatku jedna mówi: „zapociłam się tak, że normalnie śmierdzę", a przytomny młody mężczyzna kilka siedzeń dalej mówi wtedy głośno: „smacznego". Bo my, Polacy, kochamy grillować i żartować).

Może chórem kiedyś zaśpiewają te wszystkie mgnienia, przypadkowe twarze, które sobie codziennie przynoszę do domu w jakimś skąpstwie, w mentalnej syllogomanii, nie mogąc ich tak po prostu zostawić na pastwę niezauważonego przez nikogo przeminięcia. ©

W Sądzie Rejonowym w Kamiennej Górze, Wydziale I Cywilnym, pod sygnaturą I Ns 299/20 toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Annie Las z domu Mundała, mającej ostatnie miejsce zwykłego pobytu w Kamiennej Górze, która zmarła 11 grudnia 2020 r. w Jaworze.

Wzywa się wszystkich spadkobierców zmarłej, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się tego ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego w Kamiennej Górze i udowodnili swoje prawa do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postępowaniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie, Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6, toczy się pod sygnaturą I Ns 260/20 postępowanie z wniosku Jarosława Ignasiaka o stwierdzenie nabycia spadku po Józefie Korczyku, zm. 9 grudnia 1987 r., ostatnio zamieszkałym w Prusach, gm. Jarocin. W skład spadku po zmarłym wchodzi jego udział w prawie własności zabudowanej nieruchomości położonej w Tarcach.

Sąd wzywa spadkobierców zmarłego, by w terminie trzech miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

OGŁOSZENIA

ZACHOWANIA NIEZAKONNE

W zgromadzeniu nie ma kar.
Źle zachowująca się siostra jest po prostu niewierną.

ANNA GOC

Maria zapominała samą siebie na raty. Na raty bardziej się opłaca. Zawsze można siebie trochę przyoszczędzić.

Siedzi teraz przede mną, patrzy w ekran monitora i myśli, której Marii oddać głos. Od jakiegoś czasu są we dwie. Nie wiadomo, której więcej. Dawnej Maryśki, czy tej, która przyszła po niej – Siostry Marii.

Zacznie **MARYŚKA:** O nas się często pisze z tezą.

Weźmy przymiotniki.

Usłużne. Sprzątają księżom, gotują im, piorą i prasują. Do obiadu zawsze kompocik. Na drogę – kanapki. W Kościele – co najwyżej organistki. Przy ołtarzu zjawiają się tylko wtedy, gdy coś przynoszą albo odnoszą do zakrystii. Zetrą kurz z ławek, wyszorują deski, zmienią kwiaty. Po mszy zgaszą świece. Zawsze o krok za księdzem, lekko w tle.

Posłuszne. Ciche i pokorne. Jeśli siedzą, to nigdy z nogą na nodze. Jeśli klęczą, zawsze prosto. Do kaplicy wchodzą w odpowiedniej kolejności i odległości. Wiedzą, gdzie ich miejsce.

Milczące. Czy raczej: niezabierające głosu. I wcale nie chodzi o to, że milczenie ma czemuś służyć. To raczej kwestia tego, na ile głos jednej siostry jest zgodny z głosami innych. Poza tym trzeba to jakoś ustalić. Sprawdzić, czy tezy na pewno są dobrze postawione, akcenty właściwie rozłożone. A to nie jest łatwe, bo sióstr jest dużo, są w różnym wieku, mieszkają w odległych od siebie domach. No i pozostaje najważniejsze – co na to wszystko siostra przełożona. I czy w ogóle warto? Czy aby na pewno naszą rolą jest zabieranie głosu?

Tak się o nas myśli. O nas – wszystkich zakonnicach – może poza jedną lub dwiema, które w Polsce mówią własnym głosem i są słuchane. Ale czy ktoś zadaje pytanie, skąd to się bierze? Dlaczego po dziesięciu latach w zgromadzeniu jesteśmy takie do siebie podobne? Dlaczego znikamy?

Wraca **SIOSTRA MARIA:** Nie wiem, czy powinnam opowiadać swoją historię. Czy ja sióstr teraz nie zdradzam? Nie osądzam zbyt pochopnie? I właściwie po co ja to robię? Ale może jest też tak, że jedna opowiedziana historia pomoże innym historiom?

OSCAR DEL POZO / AFP / EAST NEWS

Więc najlepiej będzie, jeśli opowiem swoją anonimowo. Mojego nazwiska nie podamy, imię zmienimy. I bez nazwy wspólnoty, poproszę. Właściwie ani nazwy, ani miasta. Chociaż domy są w różnych miastach... Więc może inaczej: nie piszmy też o zbyt wielu szczegółach tych domów, że w centrum miasta, że pod lasem, i w których domach ile jest kaplic.

MARYŚKA: Raz się odważyłam. Napisałam tekst do portalu katolickiego, podpisałam imieniem i nazwiskiem. Chyba próbowałam jakoś tak delikatnie dać do zrozumienia, że może nie wszystko w naszym zgromadzeniu jest w porządku. I że siostry na tym tracą, że przez to cierpią. Przełożone do dziś mi to wypominają.

Zanim Maryśka stała się Siostrą Marią.

Ma 15 lat, wybiera liceum. Jeszcze wielu rzeczy nie wie, ale jedno wie na pewno: chce się wyprowadzić z domu. Szuka szkoły, najlepiej z internatem. Znajduje prywatną, prowadzoną przez siostry zakonne. Do tej pory nie była zaangażowana w żadne środowisko kościelne. Z dzieciństwa nie pamięta nawet, czy chodziła do kościoła. Na pierwszą pielgrzymkę poszła z babcią, gdy miała 14 lat.

Rodziców Maryśki nie stać na prywatną szkołę. Pomoc obiecuje dalsza rodzina, ale szybko się wycofuje. Po pierwszym półroczu Maryśka chce odejść. Wtedy siostry proponują rozwiązanie: obniżą opłaty. A to oznacza, że musi zapłacić za szkołę tyle, ile za jakąkolwiek inną bursę w mieście.

Zostaje.

W zamian za obniżkę czynszu sprząta jedną z sal lekcyjnych. W podobnej sytuacji jest kilka innych dziewcząt, więc szkołę sprzątają codziennie po lekcjach, a w soboty robią generalne porządki, z myciem podłóg.

Na opłatę za internat musi zapracować. Dorabia po lekcjach jako opiekunka, a w weekendy – w McDonaldzie i supermarkecie, gdzie stoi „na promocjach". Kroi wielką krajalnicą szynkę, nakłada na małe kanapeczki i częstuje kupujących.

Uczy się wieczorami i po nocach. Prosi o zgodę na zapalenie światła po 22.00 i na każde wyjście po lekcjach. Zgadzają się kolejno – siostra wychowawczyni, siostra, która jest wychowawczynią w internacie, i siostra dyrektor. Ta ostatnia najmniej chętnie.

SIOSTRA MARIA: Może warto zapisywać „Siostra Dyrektor", z dużej litery?

W podstawówce była jedną z najlepszych uczennic, w liceum – jest jedną z najgorszych. W pierwszym semestrze czwartej klasy traci przytomność. Myśli, że zatruła się kawą, ale raczej jest po prostu zmęczona. Reaguje siostra wychowawczyni. Szuka sposobu, by Maryśka sama nie musiała zarabiać na szkołę. Nie znajduje.

Opłaty za szkołę obowiązują też w lipcu i w sierpniu. Maryśka pisze podanie, by ją z tych wakacyjnych opłat zwolniono. Jako jeden z argumentów podaje, że chciałaby wstąpić do zgromadzenia. Siostra dyrektor się nie zgadza.

MARYŚKA: Pierwszy raz poczułam, że coś jest nie tak, na rozdaniu świadectw. Stałyśmy wszystkie na scenie, przed nami – na widowni – nauczyciele i uczennice młodszych klas. Każda z maturzystek podchodziła do siostry wychowawczyni, by odebrać świadectwo ukończenia szkoły. Po każdym wręczeniu rozlegały się oklaski, w pierwszym rzędzie oklaskiwała siostra dyrektor. Wychowawczyni wywoływała nas alfabetycznie. Gdy wypadła moja kolej, chciałam natychmiast ruszyć, ale siostra przeszła do kolejnej uczennicy. Rozejrzałam się po sali. Chyba nikt nie zauważył. Tylko wśród dziewczyn na scenie było lekkie poruszenie. Znałyśmy kolejność nazwisk. Pomyślałam, że to jakaś pomyłka. Czekałam, aż siostra mnie wywoła. Ale ona skończyła wręczanie świadectw, a na sali rozległy się znowu brawa.

Dopiero po akademii dowiedziałam się, że nie dostałam świadectwa, bo moje opłaty za szkołę nie są uregulowane.

Po zakończeniu szkoły chciałam siostrę dyrektor zapytać, dlaczego tak zrobiła. Ale inne siostry mnie od tego pomysłu odwiodły.

Tylko potem, gdy jako postulantki przygotowywałyśmy jakieś wystąpienie i ze sceny zobaczyłam, że na widowni siedzi siostra dyrektor, nie byłam w stanie przeczytać kilku zdań. Siostry musiały mnie zdjąć z mikrofonu.

Wtedy też po raz pierwszy pomyślałam, że jestem nie taka, jak trzeba.

Głos przejmuje **SIOSTRA MARIA:** To nie jest czas na zadawanie pytań.

Zaczyna się wejście do zgromadzenia. Każdy kolejny etap jest jak awans. Rozeznanie, aspirat, postulat, nowicjat, juniorat, wreszcie – śluby wieczyste. Całość trwa dziewięć lat. Czasami dłużej. Ale na te siostry, które potrzebują dodatkowego roku, patrzy się jakoś gorzej.

Żeby zostać siostrą zakonną, trzeba się nadawać. Nadają się nieliczne.

MARYŚKA: O dziewczynach, które przychodzą, siostry zawsze już coś wiedzą. Przekazują sobie ogólne wrażenia o nich. Na przykład siostra, która prowadzi rekolekcje, opowiada o tym, jak dziewczyny zachowywały się na modlitwach.

Potem są rozmowy z formatorką, w cztery oczy. Od początku czułam, że się nie nadaję. Być może przez to, jak było w liceum.

↦

↦ **SIOSTRA MARIA:** O tym, czy jest się dopuszczoną do kolejnego etapu, decydują wspólnota i siostra przełożona. Nazywa się to rozeznawaniem powołania osoby.

MARYŚKA: Tylko co to właściwie znaczy? Nie ma żadnych zapisanych zasad. Wszystkiego trzeba się domyślać. Podglądać starsze siostry. Patrzeć, jakie przyjmują pozy, ile w nich wytrzymują. Gdzie trzymają ręce. Kiedy się uśmiechają, a kiedy robią poważną minę. Zniżają głos? Dlaczego właśnie teraz?

Coś w tym musi być, bo udało mi się przejść do kolejnego etapu.

Zaczynają się wyłaniać zasady do naśladowania.

Klęczeć – tylko na dwóch kolanach, równo, bez pochylania się do przodu, bez przysiadania na brzegu ławki. Siadanie na piętach jest niedopuszczalnym przewinieniem. Brewiarz w czasie modlitwy należy trzymać w powietrzu, rąk nie opierać o ciało ani o klęcznik.

Latem do sandałów podkolanówki. Nieważne, że jest upał.

Siostry nie jedzą publicznie, nawet kanapek na przystanku autobusowym.

W czasie kolacji nogi powinny być złączone. Nie wolno zacząć jeść wcześniej niż przełożona, a jeśli jej nie ma, to czeka się na mistrzynię. Gdy jest szwedzki stół, najpierw na talerzyk nabiera jedzenie przełożona, za nią mistrzyni.

Zwracamy się do nich: „Proszę siostry mistrzyni". „Proszę siostry przełożonej, czy mogłaby siostra przełożona". Koniecznie zaczynamy od słowa „proszę".

Jeśli w kaplicy trwa adoracja, a przy drzwiach do klauzury siedzi mistrzyni, to kiedy ktoś chce wyjść do toalety, musi do niej podejść, powiedzieć: „Proszę siostry mistrzyni, potrzebuję do toalety" i poczekać, aż skinie głową.

MARYŚKA: Na jednym ze spotkań z mistrzynią któraś z nas zapytała, czemu ma to wszystko służyć. „Tak jest robić najlepiej" – odpowiedziała. Wieloletnia przełożona powiedziała mi kiedyś, że każda siostra powinna wiedzieć, co ma zrobić w danej sytuacji. Ja tego nie wiem. Czy to znaczy, że się nie nadaję?

W zgromadzeniu nie ma kar. Źle zachowująca się siostra jest po prostu niewierną. Albo nieposłuszną. Tak się o niej mówi.

MARYŚKA:

Klęczeć – tylko na dwóch kolanach, równo, bez pochylania się do przodu. Brewiarz należy trzymać w powietrzu, rąk nie opierać o ciało ani o klęcznik.

SIOSTRA MARIA: Mówi się też: „Ma siostra w sobie niezakonne zachowanie".

Jesteśmy w małej grupie, nie mamy kontaktu z nikim na zewnątrz. Wymyślone przez wspólnotę zasady urastają do rangi najważniejszych na świecie. Jeśli je przekraczamy, robimy coś bardzo, bardzo złego.

Z początku kontakty sióstr są ograniczone do minimum. W pierwszym roku nowicjatu można wysłać rodzinie list. Spotkanie jest jedno: w drugi dzień Świąt Bożego Narodzenia. Mogą przyjechać tylko rodzice. W drugim roku – można dzwonić. Ale nie za często. Siostry robią sobie postanowienia, na przykład wielkopostne: będę rozmawiała z mamą raz w tygodniu, nie więcej.

Siostry w nowicjacie nie powinny też wchodzić w jakiekolwiek relacje z siostrami po ślubach. Mogą przebywać tylko we własnym gronie, nawet jeśli są dwie lub trzy.

Przyjaźń partykularna nie jest mile widziana.

MARYŚKA: Gdy zaczynałam się z kimś przyjaźnić, słyszałam, że przyjaźń jest dobra do momentu, w którym jest otwarta na innych.

Co roku dostaje się opinię.

Siostra Maria wyjmuje dwie swoje, które zachowała.

„Rada Prowincjonalna biorąc pod uwagę Siostry pragnienie życia zakonnego oraz opinie wspólnoty dopuszcza Siostrę do złożenia ślubów świętych na drugi rok.

Kocha i ceni Siostra łaskę powołania i zależy Siostrze na nieustannym jej pogłębianiu. Stara się jak najwięcej czasu przeznaczać na osobiste spotkanie z Jezusem na modlitwie. Uczy się w duchu wiary przyjmować doświadczenia dnia. Wobec Siostry Przełożonej stara się być posłuszna i **zależna**. Cechuje Siostrę pogoda ducha, wrażliwość, delikatność. Z uosobienia jest Siostra raczej cicha i trochę nieśmiała, jakby zalękniona. Ceni wspólnotę i wykazuje dużo gotowości, by pomagać innym. Jest w Siostrze dużo dobra, a jednocześnie zdaniem sióstr ze wspólnoty bywa Siostra dość zamknięta i ulegająca pokusie krytyki. Zastanawia Siostry kontakt z jedną z sióstr i zbyt pochopne wydawanie opinii o innych. Łatwo zniechęca się Siostra w trudnościach. Zauważa się Siostry pracę nad sobą i gotowość na przemianę. W wykonywaniu obowiązków stara się być pracowita, odpowiedzialna, otwarta na rodziców i dzieci, ofiarna".

Dwa lata później: „Potrzeba, by zwróciła Siostra uwagę na niebezpieczeństwo źle rozumianego indywidualizmu. Czasem sprawia wrażenie osoby trudno dostępnej i trochę zarozumiałej. Bywa uparta. Wspólnota dostrzega Siostry wysiłki, aby coraz odważniej wychodzić do drugich i otwierać się na inność bez oceniania.

(...) Stara się być miła, **grzeczna**, **taktowna**, chociaż – zdaniem niektórych sióstr – czasami bywa zbyt pewna siebie i wykazuje trochę mało szacunku wobec osób z zewnątrz".

Każda z sióstr ocenia inne anonimowo.

MARYŚKA: Z roku na rok trudniej mi było pogodzić się z tym, że siostry nie mówią sobie o pewnych sprawach wprost, tylko oceniają się anonimowo. Każda może napisać, co chce, nikt tego nie weryfikuje. Niektóre opinie są krzywdzące. Ale nie wiadomo, która je napisała. Pojawia się napięcie, nieufność. Każda z nas jest tym, co myśli o niej wspólnota. A wieczorem wszystkie się do siebie uśmiechamy przy kolacji.

Z opinią sióstr nie należy dyskutować, należy ją przyjąć.

Ale wtedy, gdy dostawałam opinie, liczyło się jedno zdanie: „wspólnota dopuszcza Siostrę do złożenia ślubów". Nic więcej.

Teraz analizuje zdania i słowa.

[*Zależna od przełożonej*] **MARYŚKA:** To znaczy, że o wszystkim mówi się przełożonej i o wszystko się ją pyta. Przełożona cały czas nas obserwuje. Jeśli w domu jest kilka kaplic, każe nam modlić się w jednej, przez nią wybranej. Bo kiedy

jesteśmy w innej, nie widzi nas i nie wie, czy się modlimy.

[*Grzeczna*] **MARYŚKA:** Grzeczne siostry nie sprawiają kłopotu.

A więc nie chorują. Choroba jest postrzegana jak ucieczka. Gdy byłam w nowicjacie, czułam potężny ból kręgosłupa. Nie wiedziałam, co się dzieje. Żeby pójść do lekarza, musiałam usprawiedliwić swoją nieobecność na modlitwach. Mistrzyni nowicjatu odpowiedziała: „Gdybyś naprawdę źle się czuła, nie miałabyś siły stać teraz w moich drzwiach".

Najgorzej jest z chorobami psychicznymi.

Przypominam sobie siostrę, która od dłuższego czasu dawała znać, że jest bardzo zmęczona. Przełożona mianowała ją dyrektorką jednej ze szkół. Inna, z niezdiagnozowaną i nieleczoną depresją, miała zastąpić idącą na urlop siostrę, mimo że wszystkie widziały, że nie da rady. Sama prosiła o urlop od wielu lat.

Jedna z sióstr powiedziała mi, że usłyszała od swojej przełożonej, że ma rozbiegany wzrok. Tę informację przełożona przekazała jej, gdy uznała, że nie powinna zostać w zgromadzeniu. To była młoda dziewczyna, odejście dla niej było rujnujące. Inna, która nie przeszła do kolejnego etapu, była tak załamana, że nie potrafiła wrócić do domu rodziców. Zapytała mnie: „Powiedz, czy my naprawdę nie możemy zakładać swetra przez głowę?". W naszym zgromadzeniu zalecało się noszenie rozpinanych swetrów.

[*Taktowna*] **MARYŚKA:** Jeśli choruje ci mama, to wiesz, że nietaktem jest prosić o możliwość bycia z nią. Siostry mi pozwoliły, ale dały do zrozumienia, że to jest duży przywilej.

Mam jeszcze dwoje rodzeństwa, które ma swoje rodziny. Chciałam podzielić koszty pogrzebu na nas troje. Przełożona zapytała: „Dlaczego na pogrzeb twojej mamy ma wykładać wspólnota?".

SIOSTRA MARIA: Za chwilę mamy złożyć śluby wieczyste: **czystości**, **posłuszeństwa** i **ubóstwa**.

[*Czystość*] **MARYŚKA** znów analizuje: Nikt nam tych słów nie wyjaśniał.

Rozumiałyśmy najprościej, jako brak współżycia. Mówiło się, że to jest „miłość do", a nie „miłość od", choć żadna z nas nie wiedziała, co to znaczy.

SIOSTRA MARIA:

Każde odejście ze wspólnoty jest złą decyzją. Gdy któraś z sióstr odchodzi, reszta się za nią modli. Przełożona prowincjonalna prosi, by pościć w jej intencji.

Albo że czystość jest wtedy, kiedy miłość do Pana Boga jest tak duża, że się rezygnuje ze swojej seksualności. Jak poradzić sobie z seksualnością? Takich rozmów nie było.

Pamiętam tylko jedną scenę: tuż po ślubach wieczystych siostry przeprowadzały ankietę w swoich domach. Ankieta była anonimowa, ale ja się podpisałam.

„Co pomaga ci przeżywać czystość?" – brzmiało jedno z pytań. Napisałam o tym, że rozładowuję napięcie seksualne uprawiając sport. Siostra, która robiła podsumowanie ankiety, patrząc na mnie powiedziała przed wszystkimi, że niektórym siostrom pomaga aktywność fizyczna, i zaczęła się śmiać.

[*Ubóstwo*] **MARYŚKA:** Nie posiadam nic na własność. Jeśli pracuję w szkołach czy przedszkolach wspólnoty, pieniądze trafiają do przełożonej i to ona nimi zarządza. Jeśli czegoś potrzebuję, idę do niej i mówię: „Proszę siostry przełożonej...".

Każda siostra dostaje kieszonkowe. 50 złotych miesięcznie. Z tych pieniędzy trzeba opłacić swój telefon, kupić kosmetyki i rajstopy. Wyjazdy, wyjścia do kina czy teatru nie wchodzą w grę. Kulturalny rozwój nie istnieje.

Jedna z naszych sióstr prowadziła co niedzielę scholę w bardzo zimnym kościele. Miała kłopoty ze stawami, chciała sobie kupić buty z grubszą podeszwą. Ale dostała tylko 150 złotych. Przełożona powiedziała jej, że jeśli chce lepsze, musi odłożyć z kieszonkowego.

Gdy studiowałam, poprosiłam o dodatkowe pieniądze na jedzenie w ciągu dnia. Siostra przełożona odmówiła, bo stwierdziła, że uczelnia jest 20 minut pieszo od naszego domu. Nie pomogło wyjaśnienie, że przerwy są za krótkie, żebym zdążyła przyjść na obiad.

Są też nagrody. Po 25 latach życia zakonnego dostaje się prezent. Pół wycieczki do Jerozolimy. Na drugie pół siostra musi znaleźć pieniądze sama. W domyśle: odkładać przez 25 lat z kieszonkowego albo poprosić rodzinę. Widziałam siostry, które żebrały u rodziny i znajomych. Przywoziły potem worek ziemi, wkładały ją do ręcznie wyszywanych woreczków, podpisywały „ziemia święta" i szły z tym podziękować.

[*Posłuszeństwo*] **MARYŚKA:** To znaczy, że wiem, jak się wpasować w to, czego ode mnie oczekują. Słucham się przełożonych. Wola przełożonych jest utożsamiana z wolą Pana Boga. Gdy przełożona zmienia którejś z sióstr placówkę, mówi: „Twoja wola boża jest w Poznaniu". A w czasie nabożeństwa: „Módlmy się za siostry, które zmieniają wolę bożę", czyli placówkę.

Słowa przełożonej są traktowane jak prawda objawiona. Nawet jeśli się z tym podskórnie nie zgadzasz, przyjmujesz ją.

Sprawdza się siostry. Wychodzi z założenia, że coś kombinują.

Starałam się o pozwolenie chodzenia na basen. Jednak mimo zgody, przełożona ciągle mnie o ten basen dopytywała: dlaczego tak długo mnie nie ma, co ja tam właściwie robię, czy na pewno chodzę pływać? W końcu powiedziała, że chyba wybierze się ze mną.

Starasz się dopasować. Im jesteś dłużej we wspólnocie, tym starasz się bardziej. Odsuwasz wszystkie podszepty, wątpliwości, pytania. Bycie w zgromadzeniu jest uznawane za coś wyjątkowego. Jeśli któraś z sióstr sama odejdzie, inne myślą: jak mogła pozbawić się tak wyjątkowego dobra?

Z mojego rocznika odpadła jedna czwarta. To zwykle nie były decyzje tych sióstr, tylko zgromadzenia. Do ślubów wieczystych doszła połowa.

Siostry, które słyszą: „Nie nadajesz się" albo „To nie jest miejsce dla ciebie", przeżywają to tak, jakby odrzucał je Pan Bóg.

Czułam, że chcę zostać sobą. Ale teraz widzę, jak bardzo nie zostałam. Dwa lata temu rozmawiałam z siostrą, która wstąpiła do formacji po maturze i po dziesięciu latach złożyła śluby wieczyste. Wyznała: „Przez dziesięć lat robiłam ↦

↦ wszystko, co mi kazały siostry. Starałam się być taka, jakiej mnie oczekują. Teraz nie wiem, kim jestem".

Maryśka się rozpędza, mówi coraz więcej, coraz szybciej. Ale Siostra Maria wie, że za dużo nie powinna.

Zwłaszcza że jeszcze nie podjęła decyzji: zostać w zgromadzeniu czy odejść? Od trzech lat jest poza zgromadzeniem, na tak zwanym rozeznawaniu.

SIOSTRA MARIA: Odchodzą tylko silne jednostki. Coraz mniej sióstr ze mną rozmawia. Niektóre mówią wprost: nie chcą pytać, nie chcą analizować, bo wątpliwości zaczynają być zbyt duże.

MARYŚKA: Prawda jest taka, że większość sióstr nie ma dokąd pójść. Po kilkudziesięciu latach w zgromadzeniu nie potrafią samodzielnie żyć. Odchodząc trzeba mieć w tyle głowy, że można wylądować pod mostem.

Gdy rozeszła się wieść o mnie, siostry zaczęły dzwonić. Opowiadały swoje historie. O tym, że nie pozwolono im leczyć depresji. Jedna z nich wyznała, że molestował ją zakonnik. Wkładał swoje ręce do kieszeni jej habitu, dotykał miejsc intymnych. Wszystko w czasie spowiedzi. Gdy powiedziała o tym przełożonej, ta nie zareagowała. Odezwało się 12 sióstr. Zaproponowałam, że spiszę ich historie i wyślę przełożonej generalnej. Najpierw zgodziły się dwie, ale potem i one zrezygnowały.

Siostry się boją, wiedzą, że nie mają dokąd pójść. Biorą winę na siebie: skoro dotąd tak często były niewierne i nieposłuszne, to są pewnie i tym razem.

Gdy wstępujesz do zgromadzenia, siostry chcą o tobie wiedzieć jak najwięcej.

Gdy wychodzisz, nie pytają o nic.

Po tylu latach razem, wychodzi się z niczym. Nie ma się ani na kaucję, ani na pierwszy czynsz za mieszkanie.Jedna z sióstr, która mając 50 lat odeszła ze swojego zgromadzenia, zadzwoniła do mnie, żebym jej pomogła zrobić zakupy.

SIOSTRA MARIA: Każde odejście ze wspólnoty jest złą decyzją. Gdy któraś z sióstr odchodzi, reszta się za nią modli. Przełożona prowincjonalna prosi, by pościć w jej intencji.

MARYŚKA: Chwilę przed odejściem radzono mi, żebym się trzymała tego, co tu poznałam. Mam chodzić dalej na msze o 6.00, a potem powtarzać harmonogram klasztorny. Bo wszystko, co jest poza wspólnotą, jest złe.

Kilka tygodni temu wracałam od znajomych. Stałam na peronie, pociąg się spóźniał. Czułam napięcie. W moich myślach była gonitwa: „co jeśli pociąg nie przyjedzie?", „czy wystarczy mi na nowy bilet?", „a jeśli to ostatni pociąg, to gdzie przenocuję?", „jak ja to wyjaśnię?", „może poproszę konduktora, żeby napisał mi na bilecie, że pociąg był naprawdę spóźniony?". To było moje dawne napięcie. Dopiero po chwili pomyślałam, że już nie muszę tak myśleć.

Kiedy odchodziłam na czas rozeznania poza zgromadzeniem, przełożona powiedziała: „Życzę siostrze, żeby siostra była wolna". Uśmiechnęłam się i powiedziałam, że jestem. A ona na to: „Tak się siostrze tylko wydaje". ©℗ ANNA GOC

TYGODNIK POWSZECHNY
Podkast Powszechny

Zapraszamy do słuchania autorskich cyklów podkastów „Tygodnika Powszechnego"

Własny pokój
rozmowy Katarzyny Kubisiowskiej o kobiecej niezależności

#DOM
rozmowy Krzysztofa Storego o małej ojczyźnie

Miesiąc w nauce
z autorskim przeglądem newsów naukowych Łukasza Lamży

Punkt zwrotny
Katarzyna Kubisiowska i jej goście

Opowieści z Izraela
korespondencje Karoliny Przewrockiej-Aderet

Sztuka powszechnie nieznana
Magdalena Łanuszka odkrywa dla nas na nowo średniowieczne dzieła

Więcej bezpłatnych podkastów do odsłuchania na **powszech.net/podkast**

SALESmanago marketing automation

weź, słuchaj!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Bitwa na słowa

MARTA ZDZIEBORSKA

W amerykańskim Kościele coraz wyraźniej ukazuje się dylemat: wolność religijna czy prawa mniejszości seksualnych?

ANDREW LICHTENSTEIN / GETTY IMAGES

Duchowni z katedry w Nowym Jorku witają przedstawicieli środowisk LGBT – uczestników parady z okazji Dnia św. Patryka, marzec 2016 r.

Osoby LGBT zostały stworzone na podobieństwo Boga i naszym obowiązkiem jest ich ochrona. Jako katolicki biskup nie mogę zaakceptować jakichkolwiek form dyskryminacji istniejących w amerykańskim prawie" – takie słowa w liście do senatorów skierował w połowie marca John Stowe, biskup diecezji Lexington w Kentucky. Duchowny, wbrew stanowisku amerykańskiego episkopatu, wyraził w ten sposób poparcie dla ustawy o równości (Equality Act), która ma wzmocnić ochronę osób LGBT w całym kraju. Choć projekt przyjęty w lutym przez Izbę Reprezentantów ma nikłe szanse na uchwalenie, po raz kolejny wzniecił dyskusję wśród wspólnot religijnych. Oprócz amerykańskiego Kościoła katolickiego legislacji sprzeciwiają się m.in. ewangelicy, mormoni i ortodoksyjni żydzi.

Przepychanka w Kongresie

Equality Act to projekt nowelizacji ustawy o prawach obywatelskich z 1964 r., która zniosła segregację rasową w miejscach publicznych. Na mocy Equality Act treść ustawy zostałaby uzupełniona o zakaz dyskryminacji na podstawie płci, orientacji seksualnej i tożsamości płciowej. Dodatkowo przepisy antydyskryminacyjne objęłyby finansowane przez rząd federalny instytucje oraz firmy prywatne. Te ostatnie – np. kwiaciarnie czy cukiernie – były już wcześniej pozywane za to, że powołując się na przekonania religijne, odmawiały realizacji zamówień dla par jednopłciowych.

Popierany przez prezydenta Bidena projekt Equality Act od lat budzi kontrowersje w amerykańskiej polityce. Gdy w 2019 r. po raz pierwszy przegłosowano tę ustawę w Izbie Reprezentantów, kontrolujący wówczas Senat Republikanie nawet nie przyjęli jej pod obrady. W tym roku jest nieco łatwiej, bo niewielką przewagę w tej izbie mają Demokraci i to oni zadecydowali o skierowaniu ustawy do senackiej komisji sprawiedliwości. Nie zapowiada się jednak, by szybko trafiła pod głosowanie w Senacie. Tym bardziej że do uchwalenia ustawy potrzeba poparcia 60 senatorów, w tym aż 10 republikańskich.

Zamach na wolność religijną

W sprawie ustawy Equality Act stanowisko amerykańskiego episkopatu pozostaje bez zmian. W liście skierowanym do członków Kongresu hierarchowie przekonują, że ustawa mająca zapewnić równe traktowanie osobom LGBT „dyskryminuje osoby religijne". Episkopat argumentuje, że w świetle nowych przepisów finansowane przez rząd federalny katolickie szpitale, szkoły i organizacje charytatywne nie będą mogły odmówić świadczenia usług mniejszościom seksualnym. Szczególnie duże emocje budzą kwestie związane z leczeniem i terapią hormonalną dla osób transpłciowych, adopcją dzieci oraz prawem do korzystania z toalet zgodnie z tożsamością płciową.

Jak podkreślają amerykańscy hierarchowie, Equality Act koliduje z ustawą o przywróceniu wolności religijnej z 1993 r. Stanowiąca parasol ochronny dla wspólnot religijnych legislacja zabrania rządowi federalnemu ograniczania ich wolności pod warunkiem, że nie przemawiają za tym „ważne powody". To właśnie m.in. na tę ustawę powoływały się chrześcijańskie organizacje, które walczyły w sądach o zwolnienie z regulacji federalnych nakazujących pracodawcom opłacanie antykoncepcji pracowników.

„Po przyjęciu Equality Act katolicka organizacja, która »dyskryminuje« kogoś ze względu na jego tożsamość płciową, nie będzie dalej chroniona przez przepisy dotyczące wolności religijnej" – przestrzega na stronie konserwatywneg think tanku Witherspoon Institute kard. Timothy Dolan. Przewodniczący komisji ds. wolności religijnej przy episkopacie USA podaje przy tym hipotetyczny przykład katolickiego schroniska dla ubogich, ↦

↦ do którego trafia transseksualna kobieta. Może dojść wówczas do sytuacji spornej: według władz ośrodka osoba powinna być zakwaterowana w sali dla mężczyzn, a nie dla kobiet, jak wskazywałaby na to tożsamość płciowa osoby potrzebującej.

W opozycji do Equality Act przedstawiciele episkopatu idą o krok dalej. Przekonują, że „osoby homoseksualne nie doświadczają dyskryminacji w takim stopniu, jak niegdyś Afroamerykanie" i w związku z tym nie ma potrzeby wprowadzania nowych przepisów. Jak czytamy w sporządzonym przez episkopat dokumencie: „Osoby LGBT cieszą się dziś szacunkiem na rynku pracy, uczelniach, administracji lokalnej i mediach. Niektóre badania wskazują, że zarabiają one więcej niż przeciętny Amerykanin".

Równość przede wszystkim

Z argumentacją episkopatu nie zgadza się wspomniany biskup diecezji Lexington John Stowe. Uważa on, że retoryka amerykańskich hierarchów „jest sprzeczna z nauką Kościoła, która zabrania okazywania osobom homoseksualnym jakichkolwiek oznak niesłusznej dyskryminacji".

Jak powiedział bp Stowe w wywiadzie dla jezuickiego magazynu „America": „Trudno mi przeciwstawiać się episkopatowi, ale po konsultacji z teologami, etykami i innymi członkami Kościoła dochodzę do wniosku, że ta dyskusja sprowadza się do fundamentalnego pytania: jak można sprzeciwiać się idei równości?". Duchowny przyznał jednocześnie, że rozumie obawy związane z ograniczeniem wolności religijnej i sam jest zwolennikiem projektu ustawy, który wprowadzałby stosowne wyjątki dla Kościołów i organizacji religijnych.

„Chciałbym, aby projekt odpowiadał interesom wszystkich stron. Jednak w obecnej sytuacji uważam, że znacznie ważniejsze jest zagwarantowanie mniejszościom seksualnym równego traktowania" – podkreślił bp John Stowe, który jest do tej pory jedynym amerykańskim biskupem publicznie popierającym Equality Act.

W obronie ustawy stanęła również siostra Simone Campbell, do niedawna szefowa katolickiej organizacji Network, która działa na rzecz sprawiedliwości społecznej. W rozmowie z „Washington Post" powiedziała, że obowiązkiem duszpasterzy jest wspieranie antydyskryminacyjnych przepisów, nawet jeśli mogą one „przyprawiać o ból głowy". Jak z kolei napisała w osobnym oświadczeniu: „Niektórzy liderzy w Kościele katolickim szerzą dezinformację i sieją lęk na temat Equality Act. (...) Postawmy sprawę jasno: katolicy, którzy dyskryminują innych, działają wbrew woli Bożej".

Czy obowiązkiem duszpasterzy nie jest wspieranie antydyskryminacyjnych przepisów?

„Bóg Was kocha"

W przypadku s. Campbell tego rodzaju wypowiedzi nie są nowością. Zakonnica już nie raz wychodziła przed szereg, a za swoje działania była krytykowana przez Watykan. Na odwagę znacznie trudniej zdobyć się amerykańskim duchownym, którzy w dobie dyskusji o Equality Act ograniczyli się do wydania serii oświadczeń. Już po przegłosowaniu ustawy przez Izbę Reprezentantów bp John Stowe, arcybiskup Santa Fe John Wester i członkowie Stowarzyszenia Amerykańskich Kapłanów Katolickich podpisali się pod apelem o zaprzestanie przemocy wobec osób transseksualnych. Dwa miesiące wcześniej grupa 14 biskupów, w tym jeden kardynał, wydała oświadczenie potępiające przemoc wobec młodzieży LGBT i zapewniła młodych ludzi, że Bóg ich „stworzył", „kocha" i jest „po ich stronie".

Do tej inicjatywy dołączył rzecz jasna bp John Stowe. W rozmowie z magazynem „America" przyznał, że przemoc wobec mniejszości seksualnych jest też sporym wyzwaniem w szkołach katolickich w jego diecezji. „Z opowieści uczniów i absolwentów wiem, że niekiedy nauczyciele nie reagowali na obraźliwe słowa pod adresem osób LGBT. Mało tego, niektórzy nawet się z nich śmiali" – tłumaczył biskup.

W diecezji Lexington przeciwko dyskryminacji nastolatków opowiedzieli się również księża. Jak donosi „National Catholic Reporter", 21 spośród 46 diecezjalnych kapłanów wydało oświadczenie, w którym napisało, że „ludzie wierzący mają obowiązek wspierania młodzieży LGBT, szczególnie narażonej na samobójstwo, odrzucenie i utratę dachu nad głową".

Wsparcie

W diecezji Lexington w Kentucky nie kończy się jedynie na deklaracjach. Wystarczy choćby fakt, że za duszpasterstwo na rzecz mniejszości seksualnych odpowiada tam Stan „JR" Zerkowski. To szef lokalnego oddziału organizacji Fortunate Families, która znana jest ze wsparcia dla rodziców osób LGBT. Jak wynika z informacji na stronie organizacji, na spotkania online dla księży, diakonów i katolików LGBT zapraszane są „osoby ze środowiska", m.in. transseksualny mężczyzna James Scott P. Pignatella i pracująca ze wspólnotami osób transpłciowych siostra dominikanka Luisa Derouen.

Biskupa Johna Stowe'a do zgody na takie inicjatywy zachęcać nie trzeba. Już po objęciu w 2015 r. diecezji duchowny uczestniczył w sympozjum New Ways Ministry – katolickiego duszpasterstwa dla osób LGBT. Na Uniwersytecie Notre Dame prowadził też rekolekcje poświęcone rozważaniom na temat wiary i orientacji homoseksualnej. To, jakie przesłanie dla katolików LGBT ma bp Stowe, być może najlepiej podsumowuje jego zeszłoroczne przemówienie z okazji „miesiąca dumy", czyli czerwcowego święta lesbijek, gejów i osób transpłciowych: „Jest mi przykro, że Kościół katolicki nie jest tak otwarty na osoby LGBT, jak powinien. Wiem, że wielu z was ma za sobą trudną i długą drogę. Podziwiam waszą wytrwałość w tym, by być wiernym wierze katolickiej, a jednocześnie żyć w zgodzie ze sobą".

W konserwatywnym Kentucky takie słowa mogą dodać otuchy, i to nie tylko w kontekście religijnym. W połowie kwietnia amerykańskie media rozpisywały się o parze lesbijek, które chciały rozliczyć podatek w lokalnym biurze rachunkowym. Kobiety nie weszły nawet do środka, bo na drzwiach widniał napis „Małżeństw jednopłciowych nie obsługujemy". Gdyby amerykański Kongres uchwalił ustawę Equality Act, właściciel biura w Kentucky działałby niezgodnie z prawem. Za właśnie taką Ameryką opowiada się biskup Stowe.

© MARTA ZDZIEBORSKA

EDWARD AUGUSTYN

Rzeźba kanadyjskiego artysty Timothy'ego P. Schmalza, przedstawiająca uchodźców i migrantów różnych narodów i kultur. Plac św. Piotra, Watykan, październik 2019 r.

Na tej samej łodzi

BARTOSZ HLEBOWICZ Z FLORENCJI

Liczne apele papieża i przedstawicieli Kościoła o pomoc dla migrantów na pierwszy rzut oka nie przynoszą skutków. Kropla jednak drąży skałę.

Franciszkiem wstrząsnęła tragedia ponad stu uchodźców, którzy pod koniec kwietnia utonęli czterdzieści kilka mil od Trypolisu. I to, że ani żadne z państw, ani Unia Europejska nie pośpieszyły z pomocą. Nie uratował się żaden pasażer pontonu, który 20 kwietnia wieczorem wypłynął z Al-Chums. Statki handlowe i wolontariusze z okrętu „Ocean Viking" należącego do hiszpańskiej organizacji pozarządowej SOS Méditerranée, którzy dotarli na miejsce katastrofy 22 kwietnia po południu, pływali już tylko pomiędzy unoszącymi się na wodzie trupami.

„Jestem przeszyty bólem. To są konkretne osoby, to są ludzkie życia. Przez dwa dni prosili o pomoc, która nigdy nie nadeszła. (...) To jest czas wstydu!" – mówił papież kilka dni po tragedii podczas niedzielnej modlitwy „Anioł Pański".

Włoska marynarka, a konkretnie MCRR, czyli centrum kierowania akcjami ratunkowymi na Morzu Śródziemnym, na sygnał o rozbitkach potrzebujących pomocy odpowiedziała: „Proszę zgłosić sprawę odpowiednim władzom". Odpowiednie władze to tzw. straż graniczna Libii – kraju, który w odróżnieniu od Włoch nie podpisał konwencji hamburskiej zobowiązującej sygnatariuszy do ratowania ludzkich istnień na morzu. Alarm Phone – kontakt utworzony przez organizacje pomocowe – przekazał informację Libijczykom, ci jednak odmówili wyruszenia w morze z powodu zbyt wysokiej fali. Tej samej, która w tym samym czasie odbierała nadzieję na przeżycie setce lub więcej uciekinierom z Al-Chums. Działania ratunkowe Fronteksu – Europejskiej Agencji Straży Granicznej i Przybrzeżnej powołanej w 2004 r. do „zarządzania granicami zewnętrznymi Unii Europejskiej" – ograniczyły się do wysłania z Lampedusy samolotu, który nie mógł zrobić nic poza obserwowaniem, jak toną ludzie.

Horror obojętności

Podobnie jak Franciszek, pogrążeni w smutku i oburzeni biernością Europy są przedstawiciele włoskiego Kościoła. ↦

↦ W całych Włoszech odbyły się msze za ofiary katastrofy. „Musimy ruszyć na ratunek. Chroniąc życie innych, uchronimy także nasze człowieczeństwo przed barbaryzacją. Cynizmowi przemytników ludzi nie możemy przeciwstawiać cynizmu obojętności. Nie możemy spać, gdy świat jest w agonii" – mówił ks. Marco Gnavi, proboszcz rzymskiej bazyliki Santa Maria in Trastevere.

Bp Corrado Lorefice, biskup Palermo: „Kobiety i mężczyźni z Afryki są ofiarami codziennego i systematycznego spustoszenia ich krajów ze strony Zachodu, który zmusza do szukania życia i szczęścia gdzie indziej. My tymczasem zamykamy granice naszego dobrostanu ociekającego krwią ubogich. Czas się skończył. Obudźmy się! W przeciwnym razie nie będzie przyszłości dla nas i dla naszych dzieci!".

„Czuję przerażenie w obliczu horroru i obojętności rządów krajowych i Unii Europejskiej. Wciąż definiujemy jako politykę migracyjną umowy zawierane z niedemokratycznymi rządami, wydając kapitał, który mógłby być wykorzystany do zarządzania migracją w bezpieczny, legalny sposób i z korzyścią dla całej społeczności. Nie możemy tolerować sytuacji, w której ofiary śmiertelne na morzu nie wywołują humanitarnych reakcji i odpowiedzi. Głównym zadaniem demokratycznej polityki i instytucji, które o niej decydują, jest zapewnienie godnego i wolnego życia każdej istocie ludzkiej na ziemi" – podkreślił o. Camillo Ripamonti, dyrektor Centro Astalli, jezuickiego ośrodka dla migrantów w Rzymie.

Oświadczenie wydało Caritas Internationalis: „Zamknięcie granic jest gestem hipokryzji, ponieważ główna przyczyna ubóstwa w narodach pochodzenia migrantów leży w politycznych, ekonomicznych i geostrategicznych wyborach bogatych krajów". „Nie możemy wciąż być świadkami smutnego i haniebnego scenariusza, według którego rządy przerzucają się wzajemnie odpowiedzialnością, a ceną którego jest ludzkie życie" – dodał Aloysius John, sekretarz generalny Caritas Internationalis.

Powszechne braterstwo

„Wszyscy płyniemy na tej samej łodzi" – te pamiętne słowa Franciszek wygłosił 27 marca zeszłego roku, gdy samotnie przemawiał na placu św. Piotra podczas błogosławieństwa Urbi et Orbi, przypominając, że z epidemii nikt się nie uratuje na własną rękę. Mówił wtedy: „Nadszedł czas odróżnienia tego, co ważne, od tego, co ulotne. Tego, co potrzebne, od tego, co zbędne".

Papież, mówiąc o pomaganiu najsłabszym, miał na myśli biedniejących w czasie pandemii Włochów, ale także uchodźców. Wołał o „wyzwolenie się od pandemii", ale także „od strachu przed bratem". Mówił: „Wszyscy jesteśmy braćmi". I tak właśnie – „Fratelli tutti" („Wszyscy braćmi") – zatytułował swoją trzecią encyklikę. Data jej publikacji – 3 października 2013 r. – nie była przypadkowa: dokładnie siedem lat wcześniej u wybrzeży Lampedusy wywróciła się łódź z migrantami z Erytrei. Doliczono się 368 ofiar.

„To wstyd, to wstyd", powtarzał wtedy Franciszek. Dziś mówi to samo. Czy nadaremnie? Ludzie przecież cały czas masowo giną w Morzu Śródziemnym. Jednak słowa papieża, nawet jeśli niewielu polityków je komentuje, drążą skałę powszechnej bierności. Niedługo po ukazaniu się encykliki drugi rząd Giuseppe Contego (Ruch 5 Gwiazd – Partia Demokratyczna) usunął najbardziej nieludzkie elementy tzw. dekretów bezpieczeństwa Matteo Salviniego, przyjętych przez pierwszy rząd Contego (Ruch 5 Gwiazd – Liga), w którym lider ksenofobicznej Ligi był szefem MSW i promował politykę agresji wobec migrantów. W skrócie: „dekrety bezpieczeństwa" likwidowały SPRAR – i tak już wątły system włoskiego przyjmowania uchodźców i imigrantów, wypuszczając podopiecznych „ośrodków goszczenia" (*centri di acoglienza*) na ulice, usuwały możliwość przyznawania azylu ze względów humanitarnych, nakładały wysokie mandaty na NGO ratujące imigrantów na morzu oraz uniemożliwiały „obcym" meldowanie się w gminnych urzędach stanu cywilnego.

Oczywiście, naiwnością byłoby sądzić, że nowa minister spraw wewnętrznych, Luciana Lamorgese, zmieniła przepisy wprowadzone przez swego poprzednika po lekturze papieskiej encykliki. Rzecz w tym, że zmieniał się klimat, a papież miał w tym swój udział. On był niewzruszony, a politycy czasem doszlusowywali do jego napomnień.

W encyklice Franciszek pisał o konieczności odrzucenia „kultury murów", piętnował „ideę równowartości między ludem a narodem, kreującą formy egoizmu i utratę poczucia zmysłu społecznego pod płaszczykiem rzekomej obrony interesów narodowych". Wzywał do reformy ONZ i utworzenia „lepszej polityki", która „podporządkowana by była dobru wspólnemu, stawiała w centrum godność każdego ludzkiego istnienia i potrafiła przeciwstawiać się tym, którzy nastają na podstawowe prawa człowieka". Franciszek pisał, że „nadeszła wreszcie godzina, by wspólnie marzyć o zjednoczonej ludzkości", w której „wszyscy są braćmi". W encyklice padły słowa o „prawach człowieka, które nie mają granic", i o tym, że „nikomu nie można odbierać prawa do życia w godności, niezależnie od tego, gdzie się urodził". Wzywał do stawienia oporu „radykalnemu indywidualizmowi" i wykazania „solidarności, która opiekuje się najsłabszymi i wyraża się w służeniu osobom, a nie ideologiom, walcząc z biedą i nierównością". Papież pisał o konieczności tworzenia korytarzy humanitarnych dla imigrantów (w ograniczonym zakresie robi to włoski Kościół katolicki we współpracy z włoskimi Kościołami metodystów i waldensów oraz organizacją świeckich Comunità di Sant'Egidio, szerzącą zasady Ewangelii).

Z myślą o przyszłości

„»Wszyscy braćmi« – mówi dziś Antonio Staglianò, biskup Noto i delegat ds. migrantów Konferencji Episkopatu Sycylii – to nie jest naiwne marzenie papieża czy pierwszego lepszego wizjonera. Jest to jedyna przyszłość, której rodzaj ludzki nie musiałby się wstydzić". Teraz, kiedy Europa próbuje wyjść z pandemii, „Kościół czuje się w obowiązku nawoływać do przejścia od obojętności do braterstwa" – wyjaśnia bp Staglianò, który przypomina, że działalność Kościoła nie ogranicza się do słów i że pomaga on zarówno najbiedniejszym w kraju, jak i organizując w diecezjach siatkę pomocy dla imigrantów służącą ich integracji.

27 kwietnia, sześć dni po tragedii, „Ocean Viking" uratował migrantów z dwóch przeładowanych pontonów na wodach między Libią a Włochami. W sumie 236 osób, w tym 114 niepełnoletnich, bez opiekunów.

Na słowa papieża nie zareagował rząd włoski. Milczą też politycy europejscy.

© BARTOSZ HLEBOWICZ

ZUZANNA

Radzik:
W mur Kościoła

Lubię moment, gdy autobus jedzie tym odcinkiem Żelaznej. Podnoszę wtedy wzrok tylko troszeczkę, by uchwycić nim fragment widocznych za oknem ciasnych skwerów przed nowymi wieżowcami. Prawie Chicago. Prawie jak w podróży, choć tylko wracam do domu. Tym razem podobnie, znów podnoszę wzrok, ale trafiam na plakat. Ten plakat. To znaczy nie ten, o którym myślicie. Nie z serii promującej brak rozwodów, 11-tygodniowe płody oraz rodzinę o trudnej do oszacowania liczbie dzieci. Nie jeden z tych, które staramy się policzyć podczas przejazdów samochodem, ale się nie da. Te postawili chrześcijanie od fabryki okien. A ja widzę ten drugi. Też zachęca do kochania. „Kochajcie mnie, mamo i tato" – prosi dzieciak z tęczową torbą. Cieszę się, że wisi w przestrzeni miasta, ale uśmiech blednie, gdy mijając go z bliska w tej ciasnej ulicy widzę dane umieszczone pod spodem: 80 proc. nastolatków LGBT+ nie jest akceptowanych przez swoich rodziców. Osiemdziesiąt procent!

Na rekolekcje dla katolików LGBT+ zaproszono mnie jako prowadzącą pewnie dlatego, że zwąchaliśmy się w tłumie katolickich dysydentów. W końcu nie ma nadmiaru księży, którzy rozumieliby ten rodzaj duszpasterstwa. A gdy gdzieś brak księży, to i świeccy się na jakąś robotę mogą załapać, taka katolicka reguła. Tak naprawdę to samo istnienie Fundacji Wiara i Tęcza stanowi rekolekcje dla wszystkich innych, jest lekcją zdumiewającego przywiązania do Kościoła, wielkiej wiary, czułej troski o innych. Przykładem samoorganizacji katolików, której nie znał przed nimi polski Kościół.

Zatem zaprosili mnie na rekolekcje, ale były to rekolekcje dla mnie. Wracałam z nich wstrząśnięta, że ludzie, którzy doświadczyli tylu krzywd, są dalej w Kościele. I to są tak pięknie, jeszcze dając tyle innym.

Pamiętam momenty. Ten, gdy ryczałam nad książką Kingi, wracając eleganckim wagonem bezprzedziałowym pociągu z Gliwic. Zwłaszcza gdy mowa była o rodzicach, którzy stali przy niej bez względu na wszystko. Było świeżo po synodzie o rodzinie, więc obsesyjnie myślałam o tym, jak bardzo właśnie ich trzeba było posłać na ten synod, by opowiedzieli, czym jest rodzicielska miłość. Albo chwila, gdy rozdawszy teksty do medytacji i dyskusji w grupach, chciałam złapać oddech. Gdzieś przy czajniku znalazły mnie matki i ojcowie. Chcieli pogadać, zapytać, wyżalić się. Jedna z matek opowiadała, jak chcieli spotkać się z biskupem i opowiedzieć, jak to jest być rodziną, w której młodsze dziecko odmawia chodzenia do kościoła, bo ten pogardza starszym homoseksualnym bratem. Do spotkania nigdy nie doszło, choć zabiegali o nie na różne sposoby, żeby dać świadectwo. „To jest walenie głową w mur własnego Kościoła" – powiedziała, a że stała blisko ściany, oparła o nią czoło. Kilka razy lekko uderzyła w nią głową, chyba nawet nie zauważając. Głową w mur, głową w mur – mamrotała. Wbiłoby was w ziemię, tak jak mnie.

Nie wszystkie dzieci mają takich rodziców. Kampania z dzieciakiem proszącym o miłość przywołuje więcej wstrząsających statystyk.

88 proc. wyoutowanych nastolatków LGBT+
nie jest akceptowanych przez swoich ojców.
75 proc. wyoutowanych nastolatków LGBT+
nie jest akceptowanych przez swoje matki.
70 proc. nastolatków LGBT+ ma myśli samobójcze.

Pewnie to wszystko nie bez związku z tym, w jaki sposób katolicy i katoliccy biskupi okazują im „szacunek i delikatność", jak to ujmuje Katechizm.

To będzie moja litania na maj: 80, 88, 75, 70... Litania, wcale nie żartuję. Gdzieś między „Pocieszycielko migrantów" a „Pocieszycielko strapionych" całkiem pasuje westchnąć:

80, 88, 75, 70. Tęczowa Pani Jasnogórska, módl się z nimi. Wspomożenie wiernych, módl się za nami.
Który gładzisz grzechy świata, przepuść nam Panie, wysłuchaj nas Panie, zmiłuj się nad nami.
Pod Twoją obronę uciekamy się...

Dzięki błyskowi genialnej intuicji, za której konsekwencje stanęła potem przed sądem, Elżbieta Podleśna pokazała wcześniej ten kierunek, na nienawiść w Kościele reagując tęczową Maryjką. „Ikona przedstawiająca żydowską kobietę szanowaną w Polsce – dla mnie nie ma piękniejszego symbolu miłości, akceptacji i różnorodności" – mówiła. I dodawała: „Pokazanie, że Maryja nie pozwoli zrobić krzywdy dziecku, dziecku tęczowemu, dziecku, które urodziło się nieheteronormatywne. To matka staje na straży tych, których katolicy wyrzucają poza nawias swojej wspólnoty".

Kapliczki na maj i tak przyozdabia się przecież wstążkami we wszystkich kolorach tęczy. ©

KLUB TP Twórz / rozwijaj się / poznawaj ludzi. Dołącz do nas na **klubtygodnika.pl/wydarzenia**

W kuluarach parlamentu: kanclerz Angela Merkel i współprzewodnicząca Zielonych Annalena Baerbock, 16 stycznia 2020 r. Dziś Baerbock jest kandydatką swojej partii na urząd kanclerza.

NASTĘPCZYNI MERKEL

Zieloni wysuwają się w sondażach na prowadzenie i mają szansę na historyczne zwycięstwo we wrześniowych wyborach w Niemczech.

ŁUKASZ GRAJEWSKI Z LIPSKA

Od kilkunastu dni Niemcy oswajają się z wizją kolejnej kobiety w Urzędzie Kanclerskim. Szansę na to ma 40-letnia Annalena Baerbock, współprzewodnicząca partii Zielonych. Swoją kandydaturę ogłosiła 19 kwietnia. Ściślej: ogłosił to Robert Habeck, drugi współprzewodniczący (już od jakiegoś czasu partią Zielonych kieruje duet damsko-męski).

Przez długi czas to Habeck był pupilkiem mediów i faworytem w wewnątrzpartyjnym wyścigu po nominację na kandydata na kanclerza. Koniec końców musiał ustąpić wobec sondaży i analiz, zamawianych przez partię. Wynikło z nich jednoznacznie, że kobieta ma większe szanse. „Fakt, że Annalena będzie kobietą w zdominowanej przez mężczyzn kampanii wyborczej, był kluczowym kryterium" – mówił bez ogródek Habeck w wywiadzie dla tygodnika „Die Zeit", którego udzielił dwie godziny po ogłoszeniu decyzji.

Przyznał, że był to najbardziej bolesny dzień w jego politycznej karierze, bo niczego bardziej nie pragnął, jak zostać kanclerzem. Od kiedy w styczniu 2018 r. Habeck i Baerbock zostali przewodniczącymi Zielonych, to on cieszył się większą popularnością.

W pierwszym tygodniu po ogłoszeniu jej kandydatury Baerbock była najczęściej pojawiającą się w telewizji przedstawicielką klasy politycznej: policzono, że jej czas antenowy był dziesięć razy dłuższy od tego, który poświęcono wciąż sprawującej władzę Angeli Merkel. „Efekt Baerbock" odnotowuje też partia: o ile liczba wniosków o przyjęcie zwykle wynosiła 150-300 na tydzień, o tyle w ciągu pięciu dni od ogłoszenia nominacji akces do Zielonych zgłosiło ponad 2 tys. osób. Tym samym ekopartia ma już ponad 107 tys. członków.

Słuszność dokonanego wyboru potwierdzają też rosnące słupki sondażowe. W ostatnich dwóch tygodniach badania wykazały, że na Zielonych chce głosować 28 proc. wyborców. Daje im to pierwsze miejsce i szansę na historyczne, bo pierwsze zwycięstwo w ogólnokrajowych wyborach parlamentarnych.

„Mutti" nie tylko z nazwy

Boom medialny wokół nominacji Baerbock zdaje się ignorować jeden fakt: że już od 16 lat Niemcami rządzi kobieta. Jednak Angela Merkel nigdy nie odwoływała się do własnej płci. Jako osoba bezdzietna nie musiała też tłumaczyć się, jak dzieli obowiązki zawodowe i rodzinne. Merkel zespoliła się z funkcją, rezygnując z osobistych akcentów. Nie eksponowała swego pochodzenia ze wschodnich Niemiec.

Jedyne, co z jej biografii dało się zauważyć w stylu rządzenia, to chłodna naukowa analiza faktów, którą wyniosła ze studiów fizycznych i pracy w Centralnym Instytucie Chemii Fizycznej Akademii Nauk NRD. To, że przylgnęło do niej nieco protekcjonalno-familiarne określenie Mutti (mamuśka), odnosiło się raczej do jej popularności w społeczeństwie oraz do jej stylu rządzenia: starała się dać obywatelom poczucie, że o wszystko zadba.

Z kandydatką Zielonych sprawa ma się inaczej. Annalena Baerbock ma dwie córki w wieku 10 i 6 lat. „Nie chcę przestać być matką tylko dlatego, że jestem czołowym politykiem. Będą chwile, gdy mnie nie będzie, bo ważniejsze jest, żebym była z moimi dziećmi" – mówiła w wywiadzie po tym, jak w 2018 r. została współprzewodniczącą Zielonych.

Szczególnie przez ostatni rok Baerbock często zwracała uwagę na problemy rodzin uwięzionych w pandemicznym lockdownie. W wypowiedziach nie uciekała od zwierzeń, w jaki sposób obostrzenia utrudniają życie także jej rodziny. Występując po nominacji w popularnym politycznym talk-show „Anne Will" podkreślała, że prócz polityki zagranicznej i gospodarczej najważniejsza osoba w państwie musi skupić się – obok typowych dla Zielonych zagadnień związanych z klimatem – także na polityce społecznej.

Na tle „starych mężczyzn"

– Annalena zawsze opowiada się po stronie dzieci i rodzin – mówi w rozmowie z „Tygodnikiem" Claudia Roth, partyjna koleżanka Baerbock i wiceprzewodnicząca Bundestagu. – Tego nie można powiedzieć o większości naszych polityków, o tych „starych białych mężczyznach", którzy nie wiedzą zbyt wiele o prawdziwych problemach ludzi – przekonuje Roth.

„Starzy biali mężczyźni" stali się ostatnio w Niemczech ulubionymi chłopcami do bicia. Termin ten, o podobnym znaczeniu do polskich „dziadersów", jest bowiem pojemny i można go użyć wobec niemal każdego mężczyzny, który z powodu urodzenia, płci i koloru skóry ma uprzywilejowaną pozycję w stosunku np. do osób o pochodzeniu imigranckim.

– Ta kandydatura to sygnał dla wszystkich, którzy chcieliby powrotu paternalistycznej polityki po okresie sprawowania władzy przez Merkel – kwituje Roth.

W tym sensie kandydatka Zielonych miałaby być – w przeciwieństwie do Angeli Merkel – przywódczynią, która będzie prowadzić politykę kobiecą, czy też feministyczną. I taka wizja może być w Niemczech wyborczym magnesem. W kraju lekko już zmęczonym tymi wszystkimi latami spędzonymi z Angelą Merkel i jej formalizmem, niektórzy z pewną zazdrością spoglądają w stronę Kanady, Nowej Zelandii czy Finlandii. W tych krajach młodzi i liberalni liderzy sprawowanie władzy uzupełnili o pewną dozę celebrytctwa.

Również inne elementy sylwetki Annaleny Baerbock składają się na obraz kandydatki zdawałoby się idealnej, która może poważnie myśleć o poprowadzeniu swej partii do zwycięstwa. Wychowała się na wsi w Dolnej Saksonii, na zachodzie kraju, ale od lat mieszka razem z mężem i dziećmi w Poczdamie, we wschodnich Niemczech – i to we wschodnioniemieckich okręgach ubiegała się z powodzeniem o mandat poselski.

W partii uchodzi za osobę, która potrafi dotrzeć do Ossis, jak mówi się na mieszkańców byłej NRD. To umiejętność szczególnie ważna dla Zielonych, do których wielu mieszkańców wschodnich landów podchodzi z rezerwą, zarzucając im elitaryzm i arogancję.

Rywal

Annalena Baerbock odpowiada na wiele życzeń i projekcji niemieckiego społeczeństwa. Brakuje jej natomiast doświadczenia. Karierę polityczną zaczęła w 2005 r., czyli w tym samym roku, w którym Merkel wprowadzała się do Urzędu Kanclerskiego. Od 2013 r. jest posłanką do Bundestagu, pełniła różne funkcje wewnątrzpartyjne, ale żadnych państwowo-administracyjnych.

Gdy idzie o kompetencje tego rodzaju i doświadczenie, jej główny rywal ma o wiele więcej do powiedzenia.

Armin Laschet, kandydat chadecji (CDU i CSU) na kanclerza, nie może liczyć na dodatkowe punkty w kampanii ze względu na płeć. 60-letni polityk nie może też wywołać efektu świeżości. ↦

SERGEY DOLZHENKO / EPA / PAP

↦ Ale ze względu na liczne pełnione dotąd funkcje jest w kraju dobrze rozpoznawalny. Od 2017 r. jest premierem Nadrenii Północnej-Westfalii, największego kraju związkowego, który z blisko 18 mln mieszkańców bywa określany „Niemcami w miniaturze".

O ludziach rządzących tym regionem mawia się, że nie będą mieć problemu z odnalezieniem się także na najważniejszych stanowiskach ogólnokrajowych. Gdy w 2005 r. Baerbock dopiero zapisywała się do Zielonych, Laschet zaczynał już pracę jako minister ds. rodzin i integracji w swoim landzie. A od stycznia tego roku jest przewodniczącym CDU: partii, dla której wygrywanie wyborów to niemal rutyna. W ponad 70-letniej historii Republiki Federalnej chadecy rządzili łącznie przez ponad pół wieku.

Zamiana ról

Na niekorzyść Armina Lascheta w pierwszej fazie kampanii przemawiała walka o nominację kanclerską, którą musiał stoczyć z Markusem Söderem, premierem Bawarii i liderem Unii Chrześcijańsko-Społecznej (CSU), zwanej „siostrzaną partią CDU" (CSU działa tylko na terenie 12-milionowej Bawarii; CDU nie ma tam swojej landowej organizacji). W wyborach do Bundestagu CDU i CSU startują razem i mają wspólną frakcję.

W ostatnich miesiącach to właśnie Markus Söder cieszył się o wiele większym poparciem niż Laschet – i w chadecji, i w społeczeństwie. Wypracował sobie wizerunek polityka zdecydowanego, „machera". W przeciwieństwie do bawarskiego kolegi, Laschet uchodzi za polityka nudnawego, bez charyzmy. Mówiąc krótko: w stylu przypomina Merkel – co można interpretować zarówno jako plus, jak też jako minus. Po wielu burzliwych posiedzeniach CDU odrzuciła w końcu ambitne plany Södera i wskazała na Lascheta.

Choć chadecy decyzję o wyborze kandydata podjęli dzień po Zielonych, we wtorek 20 kwietnia, to wciąż nie cichną wewnątrzpartyjne głosy, które krytykują Lascheta i przyznają, że Bawarczyk byłby lepszym wyborem. Sam Söder najpierw zadeklarował „pełne zrozumienie" dla decyzji przywódców CDU i poparcie dla kolegi z Nadrenii, ale od tego czasu udziela kolejnych wywiadów, w których między wierszami sugeruje, że byłby lepszy.

Walka o nominację między liderami CDU i CSU popsuła początek kampanii chadeków. – To Zieloni od dłuższego czasu są partią zjednoczoną wokół celu, jakim jest przejęcie władzy. Nie widać u nich konfliktów – mówi prof. Andrea Römmele, politolożka z Hertie School, renomowanej berlińskiej uczelni. – Dodatkowo ich główne postulaty, ochrona klimatu i transformacja energetyczna, to cele, które łączą całe społeczeństwo – dodaje w rozmowie z „Tygodnikiem".

KAY NIETFELD / DPA / EAST NEWS

Armin Laschet. Berlin, 26 kwietnia 2021 r.

Römmele uważa, że w niemieckiej polityce doszło do odwrócenia ról. Jeszcze przed ogłoszeniem przez Merkel planu przejścia na polityczną emeryturę to jej partia słynęła z umiejętności zwierania szeregów dla zdobycia i utrzymania władzy. Z kolei Zieloni przez dekady byli partią politycznych awanturników, którą targały walki wewnętrznych frakcji. Rządzenie było dla nich celem tak odległym, że nigdy wcześniej nie wystawiali kandydata na kanclerza, bo wiedzieli, że przy ok. 10-procentowym poparciu jest to nieosiągalne.

Kto się czubi...

Przy wszystkich możliwych zwrotach akcji, które czekają nas w niemieckiej kampanii wyborczej, warto pamiętać, że dwóch głównych rywali do Urzędu Kanclerskiego – chadecja i Zieloni – to równocześnie najmocniejsi pretendenci do zawarcia koalicji.

Jak bardzo by nie zmieniły się jeszcze sondaże, żadnej partii nie uda się uzyskać wyniku, który pozwoliłby na samodzielne rządy. Zresztą Niemcy to kraj tradycyjnie rządzony przez koalicje, zawierane także przez pozornie różne formacje ideowo-polityczne. Przykładem obecna kadencja, w której nie po raz pierwszy wspólnie rządzą chadecy i socjaldemokraci.

W przyszłej koalicji Zieloni mają niemal pewne miejsce. Jeśli zaś najwięcej głosów uzyska chadecja – zyskując tym samym prawo do nominowania kanclerza – to możliwe, że będzie skazana na porozumienie z ekopartią. Podchody do takiego aliansu już widać: np. w sprawach transformacji energetycznej chadecy i Zieloni mówią coraz częściej jednym głosem.

Z kolei Zieloni, nawet jeśli nie wygrają, mogą przystąpić do rozmów w zasadzie z każdą partią – prócz populistyczno-prawicowej Alternatywy dla Niemiec. W partii Zielonych istnieje mocne skrzydło lewicowe, które najchętniej widziałoby koalicję z SPD i Partią Lewicą (wywodzącą się częściowo z dawnej partii komunistycznej rządzącej w NRD). Dla tego skrzydła alians z chadekami oznaczałby zgniły kompromis, a nie nowe otwarcie, które obiecują w tej kampanii. I z tym problemem będzie musiała zmierzyć się Annalena Baerbock.

Na linii z Warszawą

Niemal pewny udział Zielonych w przyszłym rządzie Niemiec może oznaczać duże zmiany na linii Berlin–Warszawa.

W rozmowie z „Tygodnikiem" Claudia Roth twierdzi, że ewentualne dojście jej partii do władzy będzie bardzo pozytywnym sygnałem dla Polski. Po czym robi krótką przerwę i dodaje: – Przede wszystkim dla tych wielu, wielu tysięcy kobiet, które wychodzą na ulice demonstrować na rzecz własnych praw.

Wiceprzewodnicząca Bundestagu zdaje sobie sprawę, że mało jest w Europie tak różniących się partii, jak niemieccy Zieloni oraz polskie Prawo i Sprawiedliwość. W sprawach energetycznych Zieloni nie chcą słyszeć o dalszym wykorzystywaniu atomu i węgla. Na listach wyborczych żadnej innej niemieckiej partii nie ma tylu przedstawicieli mniejszości, czy to narodowych, czy seksualnych. Zieloni są przychylni przyjmowaniu migrantów. Na poziomie europejskim są za wzmacnianiem Parlamentu Europejskiego i dalszą federalizacją kontynentu. Listę różnic można ciągnąć.

Politycy PiS-u nigdy specjalnie nie zabiegali o bliskie kontakty z niemieckimi politykami, a już na pewno nie w szeregach Zielonych. Dla części konserwatywnych Polaków mogą oni wydawać się modelowym wręcz przykładem „zwariowanych lewaków", którzy dodatkowo mieszają się w wewnętrzne sprawy Polski. Np. Claudia Roth uczestniczyła w warszawskiej Paradzie Równości, a w ostat-

nich miesiącach wyrażała w mediach społecznościowych solidarność ze Strajkiem Kobiet.

Pewne nadzieje na znalezienie możliwych obszarów współpracy rokuje jednak właśnie Annalena Baerbock. Jej kluczem do porozumienia z rządem w Warszawie może być jej wizja nowej niemieckiej polityki zagranicznej. Baerbock krytykuje reżim Władimira Putina o wiele mocniej niż przedstawiciele chadecji czy socjaldemokratów. Bardzo mocno wspiera państwa Europy Wschodniej. Jest przeciwko budowie gazociągu Nord Stream 2.

Również gdy idzie o relacje atlantyckie, kandydatka Zielonych stawia jednoznacznie na bliską współpracę ze Stanami Zjednoczonymi i prezydentem Bidenem. W jej opinii Europa wraz ze Stanami powinny razem zwalczać skutki zmian klimatycznych i budować nową silną gospodarkę opartą na tzw. zeroemisyjności. Jednocześnie, aby obraz nie był taki różowy: na polu transatlantyckim Zieloni mogą też namieszać, bo Baerbock i jej partia są równocześnie przeciwni przeznaczaniu 2 proc. PKB na obronność, co jest wspólnym celem państw NATO.

Czy Zieloni nie widzą tu sprzeczności: z jednej strony zdecydowana polityka wobec Putina, a z drugiej zaniechanie modernizowania Bundeswehry (bo taki byłby zapewne skutek mniejszych wydatków na obronność)? Oto jest pytanie...

Ale to już było

Czy pozostaje nam przygotowywać się na Annalenę Baerbock jako następczynię Angeli Merkel? Nie do końca. Aby przekonać się, że wszystko jest nadal otwarte, wystarczy nieco wysilić pamięć.

27 stycznia 2017 r. tygodnik „Der Spiegel" tak zaczynał artykuł otwierający numer: „Od czasu nominacji Martina Schulza na kandydata na kanclerza, w SPD rośnie entuzjazm. Schulz może nie ma doświadczenia w rządzeniu, ale jego ambicja i wola władzy są zaraźliwe". Był to czas, gdy Schulz został wybrany na przewodniczącego socjaldemokratów i na kandydata SPD na kanclerza. Tekst w „Spieglu" (zatytułowany „Święty Martin") traktował o licznych wnioskach o członkostwo w SPD i sondażach, w których socjaldemokracja już remisowała z chadecją.

Wszystko to brzmi podobnie do obecnych peanów na cześć Baerbock. A co z tego zostało? Niewiele. W wyborach z 24 września 2017 r. chadecja dostała 32,9 proc. głosów, a SPD tylko 20,5 proc. Schulz szybko utracił swoją świeżość i kolejne lata spędził jako niewyróżniający się szeregowy poseł.

Pewne jest tylko, że Angela Merkel przestanie we wrześniu pełnić swoją funkcję. Ale zarówno Baerbock, jak i Laschet to politycy w jej stylu. Nastawieni na mediacje i zawieranie kompromisów. Transformacja energetyczna jako wyzwanie dekady; liberalna polityka migracyjna; wzmacnianie Unii, demokracji i multilateralizmu na świecie: oboje mogą się w czasie kampanii swobodnie wymieniać hasłami wyborczymi.

Fundamenty niemieckiej polityki pozostaną nienaruszone bez względu na to, kto z nich dwojga ostatecznie wygra.

© ŁUKASZ GRAJEWSKI

REKLAMA

PARTNERZY KONKURSU I GALI

GDAŃSK Provident SKANSKA zaks sprzyjamy wyobraźni Canon

PARTNERZY

COLOR OFFON COCO SOUND

GŁÓWNY PATRON MEDIALNY

onet

PATRONI MEDIALNI

Digital Camera fotopolis

Rozwiązać problem wraz z państwem

KAMIL CAŁUS

Coraz więcej Mołdawian nie miałoby nic przeciw temu, aby ich kraj stał się częścią Rumunii i Unii Europejskiej. Rzecz nie jest jednak wcale prosta.

W niemal 30-letniej historii tego państwa, powstałego po rozpadzie Związku Sowieckiego, nigdy jeszcze nie notowano tak wysokiego poparcia dla idei zjednoczenia z zachodnim sąsiadem. Według niedawnego badania agencji sondażowej iData odsetek Mołdawian, którzy opowiadają się za przyłączeniem ich kraju do Rumunii (tzw. unirea), osiągnął zawrotne 44 proc.

Choć niektórzy podają w wątpliwość ten konkretny sondaż, a nawet zarzucają szefowi iData stronniczość, to trudno nie zauważyć, że popularność idei zjednoczeniowej wśród Mołdawian rośnie konsekwentnie od co najmniej pięciu lat. O ile przez znaczną część pierwszej dekady XXI w. tzw. unioniści stanowili niewielką, choć stabilną grupę (10-15 proc.), o tyle w 2016 r. ich odsetek wzrósł do 15-20 proc., w 2018 r. podskoczył do 25 proc., aby w drugiej połowie ubiegłego roku sięgnąć ponad jednej trzeciej społeczeństwa.

30 lat rozczarowań

Przed II wojną światową niemal cały obszar dzisiejszej Mołdawii (bez Naddniestrza) wchodził w skład państwa rumuńskiego. Na co dzień większość Mołdawian mówi językiem rumuńskim (choć niekiedy nazywają go mołdawskim), a wielu uważa się po prostu za przynależnych do rumuńskiej przestrzeni kulturowej i etnicznej.

Myliłby się jednak ten, kto wzrost zainteresowania unireą przypisałby narastającemu sentymentowi wobec zachodniego sąsiada lub odrodzeniu tożsamości rumuńskiej wśród Mołdawian. Przyczyny są znacznie mniej romantyczne. Trend ten idzie ramię w ramię z pogłębiającym się rozczarowaniem mołdawską klasą polityczną, gospodarką i problemami społecznymi (jak masowa migracja), którym władze od trzech dekad nie są w stanie sprostać.

Mołdawia od lat pozostaje jednym z najbiedniejszych krajów Europy. W efekcie ponad milion ludzi – czyli jedna trzecia populacji tego państwa! – było zmuszonych opuścić swe rodziny i wyjechać za chlebem. Znaczna część nie planuje powrotu do ojczyzny na stałe. Stracili nadzieję. Wielu mówi wprost: ten kraj nie jest już w stanie się zmienić. Zresztą, kto miałby tego dokonać? Politycy? Oni wielokrotnie udowadniali swoją indolencję. Partiom politycznym ufa w Mołdawii 12 proc. społeczeństwa, parlamentowi niecałe 14 proc. – żadne inne instytucje nie notują tak skrajnie niskiego zaufania.

W takiej sytuacji rezygnacja z własnej państwowości i zjednoczenie z Rumunią, która jest członkiem Unii Europejskiej, coraz szybciej się bogaci i skutecznie walczy z korupcją nawet na szczytach władzy, zaczyna jawić się jako cudowny lek na wszystkie dolegliwości trapiące zwykłego Mołdawianina.

Uczta podczas dżumy

Braku wiary obywateli w elity polityczne nie poprawia trwający dziś i najgłębszy od lat kryzys konstytucyjny. Od końca grudnia 2020 r. Mołdawia nie ma stabilnego rządu, a jego obowiązki pełni gabinet w stanie dymisji kierowany przez p.o. premiera Aureliu Ciocoia. Choć przez kraj przetacza się właśnie trzecia fala epidemii, politycy pogrążeni są w walce o wpływy i zdają się albo nie poświęcać tej kwestii uwagi, albo wręcz wykorzystywać ją do własnych celów.

Przykład? Aby zablokować rozwiązanie parlamentu, a co za tym idzie: rozpisanie przedterminowych wyborów, prorosyjska Partia Socjalistów przeforsowała wraz z sojusznikami wprowadzenie 31 marca stanu wyjątkowego – oficjalnie z powodu pandemii – na okres dwóch miesięcy. Realizując własne interesy (bo sondaże są dla niej niekorzystne), odsunęła perspektywę rozwiązania kryzysu i powołania nowego rządu.

Jednak państwo zawodzi nie tylko na tym froncie. Papierkiem lakmusowym ujawniającym słabość administracji jest program szczepień, który prowadzony jest głównie dzięki bezpłatnym dostawom szczepionek od partnerów zewnętrznych. Przede wszystkim od Rumunii, która niespełna trzymilionowej Mołdawii przekazała kilkaset tysięcy dawek. W minionym tygodniu dotarły też szczepionki z Chin (250 tys. dawek). W większości to dar, choć władze w Kiszynowie twierdzą, że 100 tys. z nich zakupiono. Pewną ilość dostarczyły również Rosja i społeczność międzynarodowa (z programu COVAX). Jeśli prawdą jest, że część chińskiej dostawy ma charakter komercyjny, byłby to pierwszy w ogóle samodzielny zakup.

Symbolicznym i jakże jaskrawym przypieczętowaniem porażki Mołdawii w radzeniu sobie z epidemią stał się fakt, że część wysokich do niedawna rangą polityków – jak wieloletni przewodniczący parlamentu Andrian Candu czy lider Partii Jedności Narodowej Octavian Țîcu – nie tylko zdecydowało się na szczepienie w Rumunii, ale wprost chwalili się tym w mediach społecznościowych.

Lepiej być premierem...

Rozczarowanie własnym państwem i wzrost nastrojów unionistycznych nie oznaczają jednak, że w jakiejś dającej się przewidzieć przyszłości dojdzie do zjednoczenia obu państw. Ze strony mołdawskiej na przeszkodzie stoi głównie skrajnie negatywny stosunek do tego pomysłu części etnicznych Mołdawian i niemal wszystkich przedstawicieli kilku mniejszości, które posługują się rosyjskim (stanowią ok. 20 proc. społeczeństwa). Trudno też wyobrazić sobie przyłączenie Mołdawii do Rumunii bez wcześniejszego rozwiązania kwestii Naddniestrza – istniejące tam od niemal 30 lat parapaństwo jest pod kontrolą Rosji, stacjonują tam też rosyjscy żołnierze.

Są również przeszkody międzynarodowe. Połączeniu obu krajów (i tym samym przesunięciu NATO na wschód)

MIHAI KARAUSH / SPUTNIK / AFP / EAST NEWS

W Mołdawii szczepienia prowadzone są głównie dzięki dostawom z Rumunii i Chin, pewną ilość przekazała też Rosja. Na zdjęciu: rosyjska szczepionka na lotnisku w Kiszynowie, 24 kwietnia 2021 r.

sprzeciwia się rzecz jasna Rosja. Jak się zdaje, także USA i państwa Unii nie byłyby szczególnie zainteresowane tak poważnym przetasowaniem na arenie europejskiej, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę związane z unireą ryzyko destabilizacji w regionie.

Dodajmy, że większość mołdawskich elit – nawet tych prorumuńskich – również nie chce zjednoczenia. Dla jednych byłoby to niekorzystne, bo znacznie ograniczałoby (a może wprost uniemożliwiło) wykorzystywanie aparatu państwowego dla czerpania korzyści finansowych, często nielegalnych. Dla innych mogłoby oznaczać koniec politycznej kariery. W końcu lepiej być ministrem czy premierem biednej, ale niepodległej Mołdawii niż regionalnym urzędnikiem na wschodnich rubieżach powiększonej Rumunii.

Rumunia marzy i nie chce

Także elity rumuńskie nie wydają się zainteresowane inkorporacją sąsiada.

Kilka lat temu pewien europejski dyplomata bawił na kolacji u kolegi, wysokiego rangą rumuńskiego dyplomaty. Gdy wieczerza miała się ku końcowi, gość zwrócił się żartem do gospodarza: „No, mój drogi, to jak będzie z tym zjednoczeniem? Kiedy przyłączycie Mołdawię?”. Rumun zadumał się, po czym podniósł kieliszek z winem do ust i uśmiechając się tajemniczo odparł: „Jak Bóg da, myślę, że w ciągu najbliższych dwóch, może trzech lat...”. „Och, doprawdy? Tak szybko?!” – gość był zaskoczony i rozbawiony zarazem. Rumun pociągnął łyk, spojrzał na gościa i z udawaną powagą dokończył myśl: „Tak, tak... Jak Bóg da, w ciągu najbliższych dwóch, może trzech lat... uda się nam tego uniknąć”.

Władze w Bukareszcie mają do idei zjednoczenia stosunek skrajnie ambiwalentny. Z jednej strony temat ten wisi w powietrzu co najmniej od początku lat 90. XX w. Zarówno w społeczeństwie rumuńskim, jak też wśród polityków panuje konsensus, że Republika Mołdawii to ziemia rumuńska, zamieszkana w zdecydowanej większości przez Rumunów, zwanych zapruckimi (tj. żyjącymi za rzeką Prut) lub besarabskimi (od Besarabii, historycznej nazwy krainy, na której terenie leży Mołdawia, a która w 1940 r. została anektowana przez Stalina na mocy umowy z Hitlerem).

Nie ma w Rumunii poważnego polityka, który otwarcie negowałby ideę unirei. Przeciwnie: większość chętnie o niej mówi, niebezpodstawnie licząc, że zaskarbi im to głosy, pozwoli uderzyć w oponenta lub udowodnić patriotyzm i troskę o rozproszony po świecie naród rumuński. Niemal każdy podkreśla, że państwo rumuńskie powinno robić wszystko dla zacieśniania więzi z braćmi zza Prutu i stworzyć warunki dla przyszłego zjednoczenia.

Jednak mimo tych deklaracji, większość polityków z przerażeniem myśli o realizacji takiego scenariusza. Znawcy rumuńskiej sceny politycznej mówią wprost: prawdziwe zjednoczenie byłoby politycznym, ekonomicznym i społecznym koszmarem dla władz w Bukareszcie. Po pierwsze, Rumunii zwyczajnie nie stać na zjednoczenie – i to nie tylko finansowo. Wedle dostępnych szacunków w ciągu pierwszych pięciu lat od włączenia Mołdawii do Rumunii Bukareszt musiałby wydać minimum 30-35 mld euro na dostosowanie mołdawskiej infrastruktury, systemu administracyjnego czy prawa do funkcjonowania w ramach jednego państwa. To 6-7 mld euro rocznie: jedna dziesiąta rumuńskiego budżetu, która przez kolejne lata trafiałaby do nowej prowincji.

Beczka prochu

Ale pieniądze to nie wszystko. Politycy rumuńscy rozumieją, że po unirei ich kraj z dnia na dzień stałby się beczką prochu. Dosłownie. Rosyjskojęzyczne mniejszości i Naddniestrze to jedno. A co z Gagauzami, zamieszkującymi południową Mołdawię i niechętnymi Rumunom? Dziś na świecie mało kto pamięta, że bojąc się możliwego połączenia Rumunii i Mołdawii, jeszcze na początku lat 90. XX w. ogłosili oni swój region niepodległą Republiką Gagauską. Dopiero cztery lata później zrzekli się pretensji do samostanowienia, akceptując powołanie – w ramach Mołdawii – Autonomii Gagauskiej.

Destabilizacja polityczna mogłaby dotknąć jednak nie tylko nowo przyłączone terytoria, ale też rumuński „kontynent”: przyłączenie Mołdawii z jej mniejszościami dałoby mocny argument Seklerom, rumuńskim Węgrom. Stanowią oni 5 proc. społeczeństwa Rumunii i od lat domagają się autonomii.

A to wciąż byłby tylko początek długiej listy problemów. Jest ich więc dość, aby perspektywę unirei odsuwać nie o dwa-trzy lata, lecz naprawdę w odległą przyszłość. ©

Położone wśród gór miasteczko Meghri znajduje się tuż przy granicy z Iranem. Kwiecień 2021 r.

Korytarz strachu

TEKST I ZDJĘCIA PAWEŁ PIENIĄŻEK
Z MEGHRI (ARMENIA)

Po przegranej wojnie Armenia musiała zgodzić się, by przez jej teren biegły droga i kolej łączące azerską eksklawę Nachiczewan z Azerbejdżanem. Wielu Ormian widzi w tym zagrożenie.

Na dworcu kolejowym czas odcisnął brutalne piętno. Trawa porasta trasę, gdzie kiedyś ciągnęły się tory. Kawałki szyn zostały jedynie pod pojedynczymi wagonami, najwyraźniej porzuconymi. Zdobiący kiedyś stację pomnik robotnicy ma oderwaną rękę, a po ormiańskim komuniście Stepanie Szuamianie zostały piedestał i tabliczka. Wkoło walają się wraki aut.

Sam budynek dworca ostał się w niezłym stanie. Nad wejściem napis po ormiańsku i rosyjsku informuje, co to za miejsce: „Meghri". W pomieszczeniach dworca walają się śmieci, w jednym stoi otwarty sejf. Szyby powybijane. Jedno z okien zasłania dykta z napisem: „Nic nie zostało zapomniane! 9 maja", ze wstęgą świętego Jerzego i gwiazdą, w którą wrysowano Kreml.

Ruch zamarł tu trzy dekady temu, gdy Związek Sowiecki wydawał z siebie ostatnie tchnienia. Teraz życie być może wróci. Być może.

Po dobroci lub siłą

O swojej stacji kolejowej mieszkańcy 4,5-tysięcznego ormiańskiego miasteczka Meghri przypomnieli sobie po tym, jak jesienią 2020 r. Armenia przegrała z Azerbejdżanem wojnę o Górski Karabach. W listopadowej umowie o rozejmie ostatni punkt zakłada, że zostaną odblokowane wszystkie połączenia gospodarcze i transportowe. Armenia ma gwarantować ich bezpieczeństwo, a rosyjska straż graniczna ma kontrolować ruch cywilów jadących z azerbejdżańskiej eksklawy Nachiczewan do Azerbejdżanu (między eksklawą a Azerbejdżanem leży Armenia). Droga i tory mają, jak w czasach sowieckich, wieść wzdłuż granicy z Iranem, czyli przez Meghri (to teren armeńskiej prowincji Sjunik, zwanej też Zangezurem).

– Jeśli zbudują drogę i tory, u nas już nie będzie spokojnie. Ciągle gdzieś się będzie kołatała myśl, że zagraża nam Azerbejdżan. To kolejny ciężar na naszych barkach – mówi 65-letnia Rima Ajwazian, która prowadzi sklep spożywczy w Meghri.

Obawy mieszkańców zwiększają padające ze strony Azerbejdżanu słowa, że teren południowej Armenii to historyczne ziemie azerskie, a „korytarz" przez nie powstanie tak czy inaczej, po dobroci lub siłą.

Czasy minione

Trudno uwierzyć, że kiedyś dworzec w Meghri tętnił życiem. 52-letnia Lusine Zakarian pamięta to dobrze. Choć nie tęskni za Związkiem Sowieckim, to za dziecięcą idyllą już tak. – Może ktoś mnie skarci za te słowa, ale czuję nostalgię nie tylko za tamtym okresem, za obecnością Azerów także – mówi.

Lusine mieszkała w sąsiedztwie dworca przez pierwsze dwie dekady swego życia. W tej okolicy mieszkały ormiańskie rodziny, choć było też trochę azerskich. Wówczas nie stanowiło to problemu. Przy stacji mieszkały też babcie Wiera

RIMA AJWAZIAN *boi się, że jeśli nowa wojna dotrze do Meghri, będzie musiała porzucić dom, który właśnie remontuje.*

i Szura, Ukrainki, które budowały tę kolej w latach 40. XX w. i postanowiły zostać. Wszyscy byli zżyci, razem świętowali i stawiali czoło trudnościom, tak to pamięta Lusine. Jeśli komuś czegoś brakowało, inna rodzina się dzieliła. Gdy ktoś pędził samogon, nie trzeba było zapraszać gości. Każdy wyczuwał zapach, przynosił, co miał, i czekał na swoją kolej przy destylatorze. Oczywiście, przyznaje Lusine, zdarzały się też konflikty, nawet bójki.

Jej podobała się ta różnorodność, którą dodatkowo urozmaicali pasażerowie: Ormianie i Azerowie z innych miast, Rosjanie i Gruzini. Codzienność urozmaicały też otrzymywane i wysyłane przesyłki: z Meghri wyjeżdżały wódka, wino i indyjska herbata, a z dalekiej Moskwy konduktorzy przywozili paczki od bliskich. Dzięki temu do Meghri trafiały produkty, które nie były na co dzień dostępne: oliwki w zalewie, pomarańcze, słodycze, modne ubrania, wędzone ryby, kiełbasy. Lusine uśmiecha się na to wspomnienie.

Najbardziej zapadła jej w pamięć przesyłka z Moskwy, w której była biała sukienka w czerwone grochy i czerwone lakierki z kokardami. Jakby mało było szczęścia, w paczce były też cukierki, pędzle i akwarele. Lusine Zakarian maluje do dziś.

– Dworzec to było centrum Meghri – wspomina, mimo że stacja jest oddalona od miasta i trzeba było do niej dojeżdżać.

Randka na dworcu

Meghri leży w południowej części Armenii, tuż przy granicy z Iranem. Od reszty kraju oddzielają je góry, a łączy dziś jedna tylko droga, kręta i poniszczona. Do stolicy 3-milionowej Armenii, Erywania, jest stąd niemal 400 km.

Zanim w 1988 r. między Ormianami i Azerami wybuchł konflikt o Górski Karbach, to właśnie kolej umożliwiała miastu najlepszy kontakt ze światem. Trudno w to dziś uwierzyć, ale w Meghri zatrzymywały się dwa pociągi kursujące między Armenią i Azerbejdżanem. Pierwszy odjeżdżał o dwudziestej, trasa Baku–Erywań. Z czasem linia została skrócona: pociąg nie dojeżdżał już do Erywania, lecz tylko do nachiczewańskiego miasta Noraszen, które dziś nosi nazwę Şərur. Drugi skład, który opuszczał stację o północy, jechał z Kapanu (stolicy armeńskiej prowincji Sjunik) przez Nachiczewan do Erywania.

Godziny odjazdów wyznaczały życie na stacji. Gdy Lusine Zakarian była dzieckiem, wraz z kolegami i koleżankami przychodzili na wcześniejszy pociąg i zapewniali rozrywkę pasażerom, głównie Azerom. Śpiewali i tańczyli, zwykle ormiańskie pieśni i tańce ludowe. Robili to dla zabawy. W ciepłe dni występowali na zewnątrz, w chłodniejsze wewnątrz dworca, gdzie była świetna akustyka.

Stacja była czysta, bo poza pracownikami dworca o czystość dbali też mieszkańcy, w ramach czynu społecznego. Przy peronie rosły akacje. Dworzec był świetnym miejscem do zabaw, dzieci jeździły tu także na rowerach i wrotkach. Gdy Lusine Zakarian była już starsza, tu spotykała się na randki z przyszłym mężem, podobnie jak wiele zakochanych par. Bywało, że czas mijał im tak szybko, że nie zauważali, iż odjeżdżał ostatni pociąg, a wraz z nim autobus do miasta. Jej narzeczony musiał wracać na piechotę.

Czar prysł

W 1988 r. w Armeńskiej Socjalistycznej Republice Sowieckiej zaczęły się demonstracje: żądano, by włączyć w jej skład Górski Karabach. Choć miał on status autonomii, formalnie należał do Azerbejdżańskiej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej. Sytuacja szybko się zaogniała, dochodziło do pogromów i wysiedleń po obu stronach. Rozkładający się Związek Sowiecki nie był w stanie poradzić sobie z kolejnym problemem.

W tym czasie Lusine Zakarian rodziła pierwszą córkę. Lekarze w Meghri uznali (jak się potem okazało, błędnie), że jej życie jest zagrożone i muszą dostać się szybko do Erywania, gdzie jest lepsza opieka. Droga przez Armenię była zbyt długa, na pociąg trzeba było czekać godzinami, więc zdecydowano się jechać przez Nachiczewan. Wujek zabrał ją swoją czarną wołgą. Dostała zastrzyki i była ledwie świadoma tego, co się dzieje. Dopiero w Erywaniu dotarło do niej, że na terenie Azerbejdżanu tak obrzucano ich auto kamieniami, iż było całe obtłuczone, a przednia szyba została wybita. To był dla niej szok, bo przez lata przejeżdżała przez te terytoria i do czegoś takiego nigdy nie dochodziło.

Po szczęśliwym porodzie, gdy próbowali wrócić pociągiem do Meghri, musieli zawrócić, bo na torach ktoś umieścił ładunek wybuchowy. Dopiero po kilku dniach udało im się dotrzeć do domu. To był jeden z ostatnich pociągów na tej trasie. Kilka dni później Ormianie jadący tym pociągiem zostali ↦

↦ uprowadzeni. Od tego czasu ruch kolejowy zamarł.

– Wówczas zrozumiano, że to już nie jest gra, a sprawy przybrały poważny obrót – mówi Zakarian. – My daliśmy im znać, a oni nam, że pociągów więcej nie będzie.

Wkrótce po jednej i drugiej stronie konfliktu ciężarówki zasypały tory tonami kamieni.

– Stacja była osierocona – wspomina Zakarian. – Dawniej skarżyliśmy się na zapach pociągów, ale i jego szybko zaczęło nam brakować. Podobnie jak gwizdka lokomotywy, do którego byliśmy tak przyzwyczajeni. Panowała martwa cisza, tylko czasami przejeżdżał jakiś samochód. Żadnych pociągów ani ludzi. Było tam bardzo smutno.

Azerscy mieszkańcy musieli opuścić stację, Meghri i okoliczne wioski. Po różnorodności, którą Zakarian tak lubiła, nie zostało śladu. Później tory zaczęły znikać. Kto je zabierał, nie wiadomo. Mieszkańcy zrozumieli, że to koniec życia, które znali.

Lusine Zakarian mówi, że starała się nie przyjeżdżać do rodziców ani przyjaciół na zbyt długo, bo nie była w stanie znieść tego widoku. Stacja niszczała, a wraz z nią znikała część jej życia.

Czyja będzie ta droga?

Pierwszą wojnę o Górski Karabach, w 1994 r. zakończoną rozejmem, wygrali Ormianie. Zajęli region i przylegające do niego azerskie terytoria, a następnie proklamowali nieuznawaną republikę zamieszkaną niemal wyłącznie przez Ormian. Granica z Nachiczewanem została ufortyfikowana. Kolei nie było po co odbudowywać, ciągnąca się równolegle do niej droga też straciła na znaczeniu. Ze względu na tę jedną krętą drogę, łączącą je ze światem, Meghri i okoliczne wsie zostały zepchnięte na ubocze kraju. Panował tu jednak spokój, okolica żyła swoimi sprawami.

LUSINE ZAKARIAN *spędziła 20 lat przy stacji w Meghri: „Może ktoś mnie skarci za te słowa, ale czuję nostalgię nie tylko za tamtym okresem, za obecnością Azerów także”.*

Powyżej: dworzec kolejowy w Meghri niszczeje. Od ponad 30 lat nie przyjechał tu żaden pociąg. Kwiecień 2021 r.

To wszystko zmieniło się po ostatniej odsłonie wojny o Karabach z jesieni ubiegłego roku: Ormianie przegrali to starcie, ich nieuznawana republika straciła 70 proc. terytoriów, a południowa Armenia zaczęła graniczyć z Azerbejdżanem nie tylko od zachodu, ale też od wschodu. To właśnie w porozumieniu o zawieszeniu broni, które weszło w życie 10 listopada, pojawił się zapis o połączeniach mających przebiegać przez Meghri.

Zastępca mera Armen Samwelian przyznaje, że wciąż niewiele wiadomo, jak ten zapis ma być realizowany. Twierdzi, że jeśli na granicy z Azerbejdżanem będą standardowe kontrole, nad którymi pieczę będzie sprawować straż graniczna Armenii, to nie widzi powodów do obaw. – Ale jeśli mielibyśmy po prostu oddać drogę pod cudzą kontrolę, jest to niedopuszczalne – stwierdza.

Rozmowy w martwym punkcie

Na początku tego roku w Moskwie spotkali się premier Armenii Nikol Paszynian z prezydentami Azerbejdżanu Ilhamem Alijewem i Rosji Władimirem Putinem. Dokument wieńczący ich dyskusje zawierał bardzo ogólne frazy o odblokowaniu połączeń w regionie. Dziennik „Kommiersant” twierdzi jednak, że kryją się za nimi konkretne postanowienia: Azerbejdżan miałby uzyskać – przez teren Armenii – połączenie z Turcją, swoim kluczowym sojusznikiem, a Armenia miałaby uzyskać połączenie przez Azerbejdżan do sprzymierzonej z nią Rosji.

Choć taki scenariusz może mieć duży wpływ na cały region, to wciąż pozostaje daleki od realizacji. Na terenie Armenii nie zaczęły się żadne prace związane z budową drogi ani torów. Jedynie w pierwszych tygodniach po wojnie pracownicy armeńskiego Ministerstwa Administracji Terytorialnej i Infrastruktury przyjechali na oględziny. Z lokalnymi władzami Meghri nie podzielili się wnioskami z wizyty. Do tego Azerbejdżan wciąż trzyma w niewoli armeńskich żołnierzy, a władze Armenii deklarują, że nie zgodzą się na żadne ustępstwa, dopóki wszyscy jej obywatele nie będą na wolności.

– Jeśli choć jeden nasz wojskowy będzie u nich, to po prostu nie ma o czym rozmawiać – mówi Samwelian.

Zrealizujemy zangezurski korytarz

Azerbejdżan daje do zrozumienia, że jest zdeterminowany, by połączenia drogowe i kolejowe powstały jak najszybciej, i że nie zamierza pozwolić na niekończące się dyskusje. Niedawno Alijew tak mówił w wywiadzie dla państwowej telewizji AzTV: „Zrealizujemy zangezurski korytarz, chce tego Armenia czy nie. Jeśli będzie chciała, to rozwiążemy to prościej, a jeśli nie będzie chciała, rozwiążemy siłą. Tak samo, jak mówiłem podczas wojny, że oni powinni się wynieść z naszej ziemi z własnej woli albo usuniemy ich siłą. (...) Tym sposobem naród azerski powróci do Zangezuru, który został nam odebrany 101 lat temu".

Wielu Ormian z południowej części prowincji Sjunik słucha takich słów z obawą. Sprzedawczyni Rima Ajwazian otworzyła sklep w Meghri, by zarobić na remont swojego domu we wsi Agarak, oddalonej o 10 km na zachód od miasta. – Chcę zrobić remont, by ostatnie lata życia spędzić przytulnie, i żeby było pięknie – mówi. – Teraz jednak nie wiem, co robić, bo jeśli coś się wydarzy, będę musiała zostawić dom i możliwe, że nigdy nie będę mogła do niego wrócić.

Ajwazian obawia się, że jeśli wybuchnie kolejna wojna, może ogarnąć także prowincję Sjunik, bo, jak twierdzi, Armenia po wojnie jest rozbita, zagubiona i bez planu na przyszłość. – Nie jestem strachliwa, jednak według mnie zagrożone jest nie tylko Meghri, ale cała Armenia – stwierdza. – Gdybym mogła, od razu wyjechałabym do innego kraju.

Wśród mieszkańców Meghri czuć niepewność. Część z nich uważa, że połączenia drogowe i kolejowe będą tylko początkiem, który doprowadzi do przejęcia zamieszkałych przez nich ziem przez Azerów.

Na moje pytanie, czy jest się czego obawiać, Armen Samwelian odpowiada, że zalecałby ostrożność. Odgraża się jednak, że na swojej ziemi to nie jej właściciel powinien się bać, lecz ten, kto wkracza na cudzy teren.

Gdy żegnam się z Rimą Ajwazian, ona zadaje pytanie: – No dobrze, to powiedz mi, czy mam remontować swój dom?

© PAWEŁ PIENIĄŻEK

Nie przyjeżdżajcie

MARTA ZDZIEBORSKA

Biden zaczął prezydenturę od odkręcania polityki migracyjnej Trumpa. Ale wobec kryzysu na granicy z Meksykiem działa podobnie jak poprzednia administracja.

Mimi, migrantka z Hondurasu, nie może wybaczyć sobie tego błędu. Zapytana przez amerykańską straż graniczną o wiek córki odparła, że ma siedem lat. Potem, w rozmowie z dziennikarzem „Guardiana", tłumaczyła, że wiek dziecka zaokrągliła, bo ta w maju obchodzi siódme urodziny. Na prostowanie informacji było już jednak za późno: funkcjonariusze wydali decyzję o zawróceniu kobiety i jej córki do Meksyku.

Wytyczne obowiązujące straż graniczną są jednoznaczne: z powodu epidemii do USA wpuszczane są jedynie rodziny z dziećmi poniżej siódmego roku życia i dzieci podróżujące bez opieki dorosłych. Reszta migrantów, przekraczających nielegalnie granicę, jest zawracana do Meksyku – zwykle bez wnikania, czy mają podstawy do ubiegania się o azyl.

Zderzenie z rzeczywistością

Restrykcje, krytykowane przez działaczy praw człowieka, są schedą po administracji Donalda Trumpa, która w czasie pandemii chciała w ten sposób uszczelnić południową granicę Stanów. Z analizy CBS News wynika, że od wprowadzenia nowych zasad w marcu 2020 r. wniosek o azyl złożyło jedynie 0,3 proc. zatrzymanych migrantów (mowa o osobach, które przekraczają granicę poza przejściem granicznym).

Jednak Joe Biden, wcześniej znany z krytyki polityki migracyjnej Trumpa, nie pali się do zniesienia restrykcji. I nie chodzi zapewne tylko o względy epidemiczne, lecz także o to, że początek jego urzędowania zbiegł się z rekordową falą migrantów. Tylko w marcu po amerykańskiej stronie rzeki Rio Grande zatrzymano 172 tys. osób. To najwięcej w ciągu jednego miesiąca od niemal 20 lat.

Niepokój Amerykanów budzi też fakt, że w ciągu zaledwie miesiąca na granicy tej zjawiło się 19 tys. samotnie podróżujących dzieci. To aż 60-procentowy wzrost w porównaniu z majem 2019 r., gdy za rządów Trumpa doszło do podobnego „szturmu" na południową granicę. Tak samo jak poprzednia administracja, rząd Bidena szybko został skrytykowany za kiepskie warunki w przygranicznych ośrodkach, gdzie migranci byli trzymani dłużej niż przewidziane w przepisach 72 godziny.

Pod koniec kwietnia sytuacja uległa poprawie. Nieletnich migrantów zakwaterowano w centrach konferencyjnych i hotelach robotniczych, lepiej dostosowanych do potrzeb dzieci. Według danych z końca kwietnia, w ośrodkach tych przebywa 21 tys. dzieci. Wolne miejsca zapełniają kolejni – codziennie na granicę dociera ok. 550 nieletnich bez opieki.

Próbują też dorośli. Ze wstępnych danych straży granicznej za kwiecień wynika, że liczba osób usiłujących nielegalnie przekroczyć granicę utrzymuje się na zbliżonym poziomie co w marcu.

Wyślijcie wojska

Aby powstrzymać falę migracji z Ameryki Środkowej, w połowie kwietnia administracja Bidena podpisała z Meksykiem, Gwatemalą i Hondurasem porozumienie w sprawie uszczelnienia granic. Przywódcy tych państw zgodzili się wysłać dodatkowe oddziały wojska na granice z sąsiadami. Gwatemala otworzyła też kilkanaście punktów kontrolnych w tych częściach kraju, przez które biegną główne trasy migracyjne ku granicy z Meksykiem. Porozumienie łudząco przypomina działania administracji Trumpa, która latem 2019 r. porzuciła groźbę wojny handlowej z Meksykiem, gdy ten zgodził się uszczelnić granicę z Gwatemalą.

W dobie obecnego kryzysu migracyjnego administracja Bidena sięgnęła też po dyplomację szczepionkową. „Washington Post" donosi, że niedługo po tym, jak Amerykanie ogłosili, iż wyślą ↦

↦ Meksykanom 2,5 mln dawek preparatu AstraZeneca, tamtejsze władze wprowadziły pandemiczne obostrzenia dla migrantów przybywających z Gwatemali. Dodatkowo na punkty kontrolne na autostradach wysłano oddziały policji i wojska. Zapytana o ten „zbieg okoliczności", rzeczniczka Białego Domu Jen Psaki zapewniała dziennikarzy, że dostawy szczepionek nie były uzależnione od działań mających powstrzymać falę migrantów.

Innego zdania są jednak eksperci. „Guardian" przytacza wypowiedź Javiera Urbano z Uniwersytetu Iberoamerykańskiego w Mexico City, który uważa, że Biden stosuje taką samą strategię co poprzednik. „Czy nam się to podoba, czy nie, Donaldowi Trumpowi udało się uzyskać swego rodzaju kontrolę nad meksykańską polityką migracyjną wobec krajów Ameryki Środkowej. Skoro taka strategia pomaga w ograniczeniu napływu migrantów, to czemu dalej z niej nie korzystać?" – przekonywał w rozmowie z dziennikiem.

Ty pojedź, mama zostanie

Działacze praw człowieka burzą się, że uszczelnianie granic z krajami regionu zmusi migrantów do wyruszania w jeszcze dłuższą i bardziej ryzykowną podróż.

To, jak zdeterminowani są mieszkańcy Ameryki Środkowej, którzy szukają lepszego życia w USA, pokazują ich próby obejścia pandemicznych restrykcji na granicy. Agencja Reuters opisuje historię Alicii Cruz z Hondurasu, która próbowała przedostać się do Teksasu wraz z 17-letnim synem. Gdy okazało się, że w przeciwieństwie do rodzin z małymi dziećmi nie mają szans na wjazd, Alicia podjęła trudną decyzję. Opłaciła przemytnika, by pomógł synowi przeprawić się przez Río Grande (na granicy chłopak poprosił o azyl w Stanach), a sama ruszyła w podróż powrotną do Hondurasu. „Ta rozłąka mnie zdruzgotała. Syn powiedział mi na pożegnanie, żebym pozwoliła mu jechać. Zapewnił, że w Stanach przynajmniej znajdzie pracę i będzie mógł mi pomagać" – mówiła w rozmowie z Reutersem.

Na rozłąkę zdecydowała się też cytowana przez „Guardiana" María del Carmen Fuentes, która na granicę USA dotarła razem z 14-letnią córką i 16-letnim synem. Gdy dowiedziała się, że Amerykanie wpuszczają nastolatków bez opieki, wysłała syna w samotną podróż. María, pochodząca też z Hondurasu, postanowiła natomiast, że 14-letnia córka zostanie z nią w Meksyku. „Ona jest kobietą. To dla niej zbyt ryzykowne" – tłumaczyła, zdając sobie najwyraźniej sprawę, że kobiety-migrantki są szczególnie narażone na przemoc seksualną ze strony przemytników.

Wolność za pięć tysięcy

Ci, którzy zostają w Meksyku, nie mogą czuć się bezpiecznie. Migranci przebywający w przygranicznych miastach, jak Tijuana czy Reynosa, są łatwym łupem dla porywaczy i handlarzy ludźmi. Na początku kwietnia media z USA rozpisywały się o historii Meylin Obregón, 30-latki z Nikaragui, która wraz z 10-letnim synem Wiltonem została zawrócona do Meksyku przez amerykańską straż graniczną.

Według jej brata, niedługo potem Meylin i jej syn trafili w ręce porywaczy, którzy zażądali 10 tys. dolarów okupu. Gdy przestępcy dostali połowę kwoty, uwolnili chłopca i porzucili go na teksańsko-meksykańskim pograniczu. Zapłakanego Wiltona zatrzymali amerykańscy funkcjonariusze, którzy skierowali go do ośrodka dla migrantów w USA. Dziennik „El País" podaje, że Meylin została niedawno uwolniona przez porywaczy.

Polityka coraz ostrzejsza

Światowe media pełne są takich dramatycznych historii z pogranicza USA i Meksyku za każdym razem, gdy dochodzi do kolejnego kryzysu migracyjnego.

Do pierwszego „szturmu" doszło w 2014 r., gdy na tę granicę dotarło 68 tys. dzieci podróżujących bez opieki. Jednym z rozwiązań, które rozważała wówczas administracja Baracka Obamy (Biden był wtedy wiceprezydentem), było zniesienie prawa chroniącego dzieci z Ameryki Środkowej przed przyspieszoną deportacją. Władze USA nie zdecydowały się na ten krok, wprowadziły jednak – wątpliwą z prawnego punktu widzenia – politykę długoterminowego przetrzymywania rodzin z dziećmi w ośrodkach dla migrantów.

Po objęciu władzy przez Trumpa polityka migracyjna uległa zaostrzeniu. Najpierw Republikanin wprowadził tymczasowo zasadę rozdzielania rodziców od dzieci, a potem uruchomił program „Pozostać w Meksyku", według którego osoby ubiegające się o azyl w USA miały oczekiwać na decyzję po drugiej stronie granicy. Restrykcje nie odstraszyły jednak nawet rodzin z dziećmi, które zaczęły decydować się na nielegalne przekroczenie granicy.

Oszukani przez przemytników

Z biegiem lat migranci z Ameryki Środkowej stali się najliczniejszą grupą wśród tych, którzy usiłują przejść południową granicę USA. Z ojczyzny wypycha ich głód, bieda i strach przed gangami, które do swych szeregów rekrutują chłopców i wymuszają haracze od właścicieli nawet niewielkich biznesów. Niestabilną sytuację w Nikaragui i Hondurasie pogorszyła dodatkowo pandemia i seria huraganów jesienią 2020 r.

W tym roku zachętą dla mieszkańców Ameryki Środkowej mogło być początkowe złagodzenie przez Bidena polityki migracyjnej. Już w pierwszym dniu urzędowania cofnął zakaz wjazdu dla obywateli siedmiu państw muzułmańskich, zatrzymał budowę muru na południowej granicy i zniósł wspomniany program „Pozostać w Meksyku".

Nadzieje związane z nową administracją przede wszystkim jednak podsycają przemytnicy, którzy kolportują nieprawdziwe informacje, jakoby Biden „otworzył granice" i spełnienie amerykańskiego snu jest w zasięgu ręki. Grupy przestępcze od lat dostosowują swój przekaz do tego, kto rządzi w USA. Gdy był to Trump, w lokalnych stacjach radiowych roiło się od reklam, których przekaz był prosty: „Trump może jeszcze bardziej zaostrzyć politykę migracyjną. Jeśli planowałeś wyjazd do USA, zrób to teraz!".

Walcząc z dezinformacją szerzoną przez przemytniczy biznes, administracja Bidena postanowiła sięgnąć po podobne środki. Serwis telewizji CNN donosi, że w krajach Ameryki Łacińskiej wyemitowano już 28 tys. spotów radiowych namawiających migrantów do rezygnacji z podróży. Ambasada USA w Gwatemali zamieściła na Twitterze film z wypowiedzią kobiety, która za przeprawę do Stanów zapłaciła przemytnikom, a teraz ostrzegała naśladowców: „Szliśmy przez pięć dni i nocy. Dawali nam tylko jedzenie z puszki, szybko skończyła nam się woda. Będziecie bardzo cierpieć".

Pomoc dla Ameryki Środkowej

Pytanie, jak walczyć z przemytem ludzi, pojawia się też w rozmowach z państwami regionu. Wiceprezydentka Ka-

ANDREW LICHTENSTEIN / GETTY IMAGES

Migranci z Ameryki Środkowej przekraczają rzekę Rio Grande na granicy Meksyku i USA, 15 kwietnia 2021 r.

mala Harris, odpowiedzialna za negocjacje ws. ograniczenia przepływu migrantów, uzgodniła z prezydentem Meksyku Andrésem Manuelem Lópezem Obradorem, że oba kraje muszą „położyć kres handlowi i szmuglowaniu ludzi" przez granicę. Podobne słowa usłyszał od niej kilkanaście dni temu prezydent Gwatemali Alejandro Giammattei. Przy okazji tych rozmów Harris obiecała zwiększyć pomoc humanitarną dla Ameryki Środkowej o 310 mln dolarów. Administracja Bidena deklarowała wcześniej, że na pomoc gospodarczą i walkę z przemocą w tych krajach przeznaczy w ciągu roku 861 mln dolarów.

Wypłata pieniędzy będzie jednak zależeć od tego, jak skutecznie kraje te będą zwalczać bezprawie i korupcję. Biden nie chce powtórzyć błędu Obamy i Trumpa, gdy środki pomocowe służyły w dużej mierze wzbogaceniu skorumpowanych rządów. Administracja Bidena wdraża nową strategię: tuż przed spotkaniem Harris z prezydentem Gwatemali nałożono sankcje na dwóch tamtejszych polityków oskarżanych o korupcję. Roberta Jacobson, była rządowa koordynatorka ds. sytuacji na południowej granicy, przekonywała, że „Biden jest pierwszym prezydentem, który przyznaje, że potrafi uczyć się na błędach".

Sprzeczne sygnały

Ostatnie tygodnie pokazały też, że Biden jest kolejnym prezydentem, który w obliczu kryzysu migracyjnego podejmuje kontrowersyjne decyzje. Ostatnio znalazł się w ogniu krytyki, gdy ogłosił, że Stany przyjmą 15 tys. uchodźców rocznie – czyli tyle, ile deklarowała wcześniej administracja Trumpa. Biden mocno swoją decyzją zaskoczył. Wielokrotnie krytykował poprzednika za, jak twierdził, rasistowską politykę dotyczącą programu przesiedleń i sygnalizował, że zwiększy limit do 62,5 tys. osób rocznie.

Zmiany decyzji w sprawie uchodźców trudno nie łączyć z napiętą sytuacją na południowej granicy USA. Jeden z pracowników administracji spekulował w rozmowie z Reutersem, że Biden wycofał się z wcześniejszych ustaleń, bo w dobie kryzysu migracyjnego nie chce być postrzegany jako „zbyt otwarty" i „łagodny".

Ostatecznie jednak prezydent ugiął się pod presją organizacji pozarządowych i zapowiedział, że do 15 maja ustali nowy limit uchodźców. Rzeczniczka Białego Domu Jen Psaki oświadczyła, że powrót do wcześniejszych obietnic jest jednak „mało prawdopodobny".

Mur w zawieszeniu

Biały Dom wysyła też sprzeczne sygnały w sprawie muru na granicy z Meksykiem. Choć tuż po objęciu urzędu Biden tymczasowo wstrzymał jego budowę, w jego administracji pojawiają się propozycje, by skupić się na „uszczelnianiu" istniejących odcinków. Oficjalnego komunikatu w tej sprawie jednak nie ma, choć minął już 60-dniowy nakaz wstrzymujący budowę muru. Oliwy do ognia dolewają Republikanie. Na podstawie rozmów z funkcjonariuszami straży granicznej przekonują, że migranci wykorzystują „luki" w ogrodzeniu i dalsza budowa jest potrzebna.

Tymczasem eksperci ostrzegają, że największej fali przybyszów z Ameryki Środkowej należy spodziewać się w maju i czerwcu. To, jakie przesłanie ma dla nich prezydent USA, pokazuje jego marcowy wywiad dla telewizji ABC News. Nawiązując do kryzysu na południowej granicy, mówił: „Nie przyjeżdżajcie. Nie opuszczajcie swoich wiosek, miast i społeczności. Odsyłamy ludzi z powrotem do Meksyku". Gdy w grę wchodzi ochrona granic USA, Biden jest tak samo zdeterminowany jak poprzednia administracja.

© MARTA ZDZIEBORSKA

HISTORIA

BLIZNY

Wojna wraca do nich w snach, choć jej nie znali, bo nie było ich jeszcze na świecie. Na czym polega transgeneracyjny przekaz traumy?

ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK

Także do 72-letniego dziś Marka Górskiego wojna wraca w snach. Ślad tego można zobaczyć w jego rysunkach. Oto jeden z nich, „Człowiek w kapeluszu" z 1998 r.

Bożenka stoi przed domem. Deszcz spływa jej po twarzy i włosach, mokra sukienka oblepia nogi, woda wlewa się do butów. Bożenka poplamiła atramentem niedzielną bluzkę i wie, że jest najgorszą dziewczynką na świecie, gnidą przeklętą, tłumokiem i niedorozwojem. Już przeprosiła i rozumie, że musi tak stać. Przecież jej mama też nic strasznego nie zrobiła, a stała kiedyś tak z innymi kobietami przez wiele godzin.

Tym razem zarządzona przez matkę kara nie trwa długo. Przybiega dziadek, bierze dziewczynkę na ręce i krzyczy w okno: „Gestapówka!" (to pod adresem córki, matki Bożeny).

– Dużo czasu upłynęło, zanim zrozumiałam, że po trzech latach pobytu w obozie mama nie była już normalnym człowiekiem – Bożena tłamsi w dłoni chusteczkę. Rozmawiamy w pokoju z widokiem na łąki. Na ścianach zdjęcia wnuków. – Matka trafiła do Auschwitz jako piętnastolatka. Straciła tam rodziców i brata. Jakaś granica w mózgu musiała jej się przesunąć.

Przyszła mama Bożeny znalazła się w obozie po tym, jak w 1942 r. jej rodzina została wysiedlona ze wsi Mokre na Zamojszczyźnie. Nie przeżył żaden chłopiec z tego transportu, Niemcy zabili wszystkich zastrzykiem z fenolu.

Bożena (imię zmienione) urodziła się cztery lata po zakończeniu II wojny światowej. Dziś 72-latka mieszka w Zamościu. Pamięta, że choć ona i rodzeństwo byli zadbani i nakarmieni, nikt ich nie przytulał. Zamiast bajek na dobranoc mama opowiadała o obozie. O biciu i wszach, które gryzły do krwi. O tym, jak spała obok dziewczynki, która w nocy zmarła, i jak leżały obok siebie do rana, ona i trup. – To mi się, proszę pani, do dzisiaj śni – Bożena milknie.

Czuje wstyd, że tyle złego powiedziała o matce. A przecież kochała ją i nie opuściła do jej śmierci. – Musi pani ją zrozumieć, mama była na bloku doświadczalnym, robili jej zastrzyki – zaznacza. – Jak potem urodziła nas, swoje dzieci, to odjęło jej mowę i nie mogła chodzić. Przeleżała w łóżku kilka lat. Ojciec jeździł po szpitalach i wreszcie postawili matkę na nogi.

Gdy mama Bożeny chorowała, dziewczynka wynajmowała się do drobnych prac (np. pasła krowy przed pójściem do szkoły), by zarobić na buty i przybory szkolne.

Co mogło być w tych zastrzykach? Bożena do dziś się nad tym zastanawia. Bo i ona, i jej siostra urodziły dzieci z porażeniem mózgowym.

– Gdy walczyłam o rehabilitację córki, matka rzuciła przy niedzielnym obiedzie: „Weź ją oddaj do zakładu, co się będziesz męczyć". Powiedziała tak o swojej wnuczce, spokojnie i na zimno, jakby chodziło o zepsutą pralkę. Nigdy mi też przy dzieciach nie pomagała. Choć nie pracowała, to myślała głównie o sobie. Taka była moja mama po tym wszystkim.

Po apokalipsie

Historia Bożeny nie jest wyjątkowa. Stefan Baley – psycholog, który po II wojnie światowej badał polską młodzież – napisał, że „jej zbiorowa dusza jest zakażona kompleksem wojny". Jednak wtedy nie roztrząsano tych spraw publicznie. Było wiele powodów. Z jednej strony, od początku pojałtańskiej Polski komuniści traktowali wojenne doświadczenia instrumentalnie (tworząc też szereg tabu). Z drugiej strony, oddolnej, ludzie chcieli na nowo żyć, zostawić koszmar za sobą, mieć znów rodziny.

Nikt w sposób systemowy nie pomagał byłym więźniom uporać się z przeżyciami. Komu zresztą powinno się pomóc w pierwszej kolejności po takiej apokalipsie, jaką była II wojna światowa i jej skutki na ziemiach przedwojennej Rzeczypospolitej i pojałtańskiej Polski? Ofiar, w szerokim rozumieniu, były miliony: więźniowie niemieckich kacetów i sowieckich łagrów; polscy Żydzi, którzy przeżyli; żołnierze z licznych frontów; miliony ofiar wysiedleń (niemieckich i sowieckich, wojennych i powojennych); ludzie, którzy przeżyli zagładę swoich wiosek (w tym na Kresach) i miast, na czele ze stolicą (ale nie tylko Warszawa była zniszczona). A żołnierze podziemia wojennego i powojennego? Oni musieli milczeć o swych przeżyciach („Należał do AK, do winy się przyznaje" – to klasyczny cytat z protokołu UB).

Takie czy inne blizny nosili w gruncie rzeczy niemal wszyscy. W czerwcu i lipcu 1945 r. psychologowie z Państwowego Instytutu Higieny Psychicznej w Warszawie przeprowadzili badanie wśród 5 tys. osób między 15. a 23. rokiem życia. Wynik: 73 proc. przyznało, że straciło w sposób tragiczny kogoś bliskiego (często więcej niż jedną osobę).

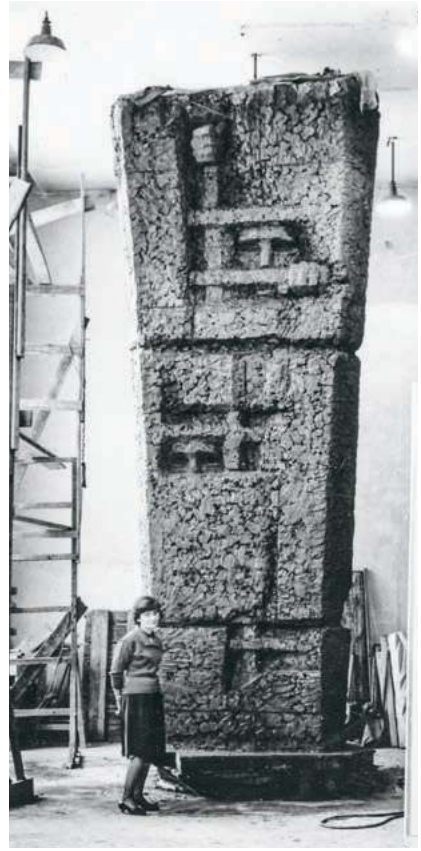

ARCHIWUM PRYWATNE

Zofia Pociłowska-Kann przy projekcie pomnika, który dziś stoi na dziedzińcu więzienia na Pawiaku w Warszawie.

Tak, było dość powodów, dla których mogło się wydawać, że lepiej jest zamknąć straszne wspomnienia w umownej szafie – i próbować żyć.

Śnili mi się Niemcy

Jednym z tych, którzy wcześniej podjęli problem traumy obozowej, był młody psychiatra Antoni Kępiński, sam były więzień. Już w latach 50. zajął się tym, co nazwano „syndromem KZ" (od niem. Konzentrationslager), opisał objawy i skutki (Kępiński zajmował się tym latami, nie dokończył pracy, zmarł przedwcześnie w 1972 r. w wieku 53 lat). Gdy w 1980 r. amerykańcy naukowcy, badający żołnierzy z Wietnamu, wprowadzili termin PTSD, *post-traumatic stress disorder* [szerzej o tym zjawisku na przykładzie żołnierzy pisze Katarzyna Dziadowicz w dziale Nauka – red.], okazało się, że ich wnioski pokrywają się z tymi Kępińskiego. Jego pacjenci, doświadczeni przez II wojnę, przejawiali podobne zachowania, co amerykańcy weterani: dręczyły ich uporczywe wspomnienia, koszmary senne, cierpieli na depresję, powtarzające się stany lękowe, ale też na nieumotywowaną nadaktywność.

Władze PRL nie były specjalnie zainteresowane wynikami badań zespołu Kępińskiego. Propaganda koncentrowała się na budowaniu nowego systemu, przeszłość należało zostawić za sobą. Pod koniec lat 40. propagowano nawet „walkę z cierpiętnictwem".

Mijały dekady, a okazywało się, że dla wielu ludzi ta wojna wciąż trwa – w głowach. W niektórych domach do dziś. Dowodzą tego badania zespołu Mai Lis-Turlejskiej z 2008 r., które wykazały, że wśród Polaków symptomy PTSD miało ponad 30 proc. ankietowanych, podczas gdy w innych krajach Europy wskaźnik ten nie przekracza 10 proc.

Prof. Krzysztof Rutkowski – psychiatra, badacz m.in. następstw urazów z dzieciństwa – w rozmowie z Robertem Jurszą podkreślał: „Trudności w budowaniu relacji, poczucie zagrożenia (...) itp. wpływają na kształtowanie się osobowości drugiego pokolenia, czyli dzieci byłych więźniów. One same nie doświadczyły obozowej rzeczywistości, ale przez swoich rodziców zostały ukształtowane w nieprawidłowy sposób".

Problem „drugiego pokolenia" (dotyczący zresztą nie tylko byłych więźniów, ale w ogóle ofiar, ich bliskich, a także świadków) długo pozostawał na boku publicznego zainteresowania, a głos dorosłych już dzieci dopiero po latach zaczął być słyszalny. We „Włoskich szpilkach", zbiorze opowiadań pisarki Magdaleny Tulli, córki więźniarki Auschwitz, czytamy: „Od czasu do czasu śnili mi się Niemcy. Z głowami podobnymi do czajników przechadzali się w naszym przedszkolu między stolikami, pokazywali palcem, kogo zabiorą, upatrzonych ustawiali pod ścianą, a ci w paltkach płakali wniebogłosy". Z kolei pisarka Izabela Filipiak mówiła w rozmowie z Katarzyną Bielas: „Czasem miałam wrażenie, że rodzice zatrzymali się w rozwoju na wojnie. Że nadal ich głównym celem w życiu jest przetrwanie".

Transgeneracyjny przekaz traumy – bo o nim właśnie mowa – polega na tym, że rodzice przenoszą na dzieci postawy i zachowania, tajemnice i nieprzepracowane doświadczenia, a także uczucia (wstydu, winy, nienawiści). Ten proces zachodzi w domowym zaciszu. Przy śniadaniu, przy świątecznym obiedzie, na spacerze ↦

MAREK GÓRSKI / REPRODUKCJA ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK

↦ w parku. Jest jak powietrze, którym oddychają domownicy. Czy można uciec od powietrza?

Szyba

– Nie można – odpowiada Lucyna, która od 40 lat mieszka w USA, w New Jersey.

Rozmawiamy przez komunikator Messenger. Nie wszystko rozumiem, czasem proszę o powtórzenie. Bo 78-letnia Lucyna (imię zmienione) co i rusz płacze, słowa rozpływają się we łzach.

Jej rodzice przeżyli Majdanek. Trafili do obozu za pomaganie konspiracji. Prowadzili piekarnię w Józefowie na Roztoczu, w domu nocowali partyzanci, ktoś doniósł Niemcom.

– Zawsze się wszystkiego bałam – mówi Lucyna. – Ten strach nie minął do dziś. Nie umiem cieszyć się życiem. Mąż pyta: „Czego ci brakuje? Wszystko masz". Ma do mnie żal, nie rozumie, ale nie potrafię być inna. Od 40 lat łykam pigułki na depresję.

Mama Lucyny dbała, aby dzieci były nakarmione, aby miały książki. Jednak Majdanek zmienił relacje w rodzinie. Z czasem ojciec wycofał się, zaczął pić, a mama rozwinęła chorobliwą aktywność. W końcu uciekła przed wspomnieniami aż do USA.

– Oni wszyscy karmili nas wojną – wspomina dzieciństwo Lucyna. – Wieczorem przychodzili do nas sąsiedzi i znajomi. Opowiadali, kogo granat rozerwał, a kto zginął od kuli. Nikt nie patrzył, czy dzieci słuchają.

Lucyna nie pamięta, aby rodzice ją przytulali. Może dlatego sama ma problem z wyrażaniem uczuć. Czuje dystans między sobą a światem. Czasem śni jej się przezroczysta szyba, która oddziela ją od ludzi. Lucyna męczy się, chce ją rozbić, ale gdy tylko jedna tafla pęknie, pojawia się kolejna.

– Pojechałam do Stanów za matką, nie mogłam bez niej żyć. Teraz mama wciąż mieszka ze mną. Ma 99 lat, choruje, bo to ten wiek. A ja budzę się w nocy z bólem serca, że ona umrze. I co wtedy zrobię?

– Ma pani dzieci, wnuki? – pytam.

– Tak, ale oni mają swoje życie. Trudno im zrozumieć, co przeżywam. Bo jak komuś wytłumaczyć, że choć wojna się skończyła, noszę ją pod skórą? Próbowałam opowiadać koleżance z pracy. Odparła: „Głupia, przecież ty wojny nie pamiętasz, po co to wszystko wymyślasz?". Tylko matka jest łącznikiem z tamtym światem.

Córki Zofii Pociłowskiej-Kann podczas odsłonięcia pomnika ofiar egzekucji w Lesie Sękocińskim koło Magdalenki, który projektowała ich matka. Od lewej: Elżbieta, Karina, Aleksandra i Agnieszka.

ARCHIWUM PRYWATNE x3

Trauma przekazywana

W artykule „Dziedziczone rany czy dziedziczone blizny?" prof. Katarzyna Schier z Uniwersytetu Warszawskiego opisuje transgeneracyjny przekaz traumy z perspektywy neuronauki, teorii przywiązania i epigenetyki.

Neuronauka dowiodła, że pod wpływem silnego stresu niektóre rejony mózgu (hipokamp i kora przedczołowa) ulegają zmniejszeniu, a inne (np. ciało migdałowate) powiększeniu. Zmiany te sprawiają, że zmniejszają się struktury odpowiedzialne za pamięć i jej konsolidację, a zwiększają te odpowiedzialne za lęk i agresję.

Z kolei teoria przywiązania pokazuje, jak ważne jest, by dziecko od najwcześniejszych chwil życia wchodziło w relacje ze stabilnym opiekunem. Jeśli relacja oparta jest na prawidłowych zasadach, dziecko ma poczucie bezpieczeństwa i prawidłowo rozpoznaje emocje. „Jeśli natomiast dziecko ma do czynienia z opiekunem psychicznie nieobecnym, pełnym lęku albo nienawiści, to nie może stworzyć obrazu siebie oraz innych ludzi, który pozwoliłby mu zbudować zaufanie" – pisze prof. Schier.

Skutki zaburzonych relacji między rodzicami a dziećmi pokazuje książka Marii Buko „Pogłosy". To zbiór wywiadów z dziećmi osób, które przeżyły obóz koncentracyjny. Ci przedstawiciele „drugiego pokolenia" stosują różne strategie, by radzić sobie z odziedziczoną traumą. Jedni wycofali się z życia, inni zamrozili swoje uczucia, aby odciąć się od przeszłości. Byli tacy, którzy na skutek parentyfikacji (tj. odwrócenia ról w rodzinie) do śmierci rodziców zajmowali się wyłącznie ich potrzebami.

Miałybyśmy zdrowsze życie

70-letnia dziś Aleksandra Kann-Bogomilska występuje w „Pogłosach" pod pseudonimem Katarzyna. Jest córką Zofii Pociłowskiej-Kann, konspiratorki Związku Walki Zbrojnej (w 1942 r. przekształconego w Armię Krajową) i więźniarki obozu Ravensbrück, a po wojnie wybitnej rzeźbiarki. W „Pogłosach" wyznaje, że dla niej najtrudniejsze było „nawet nie to, że były awantury w domu czy wieczne poczucie strachu, bo jako dziewczynka zawsze się mamy bałam". Najgorsze „było to, że jak się śmiałyśmy, to mama nam na to nie pozwalała. Ją to strasznie drażniło, jakby nie mogła tego przeżyć".

W domu Aleksandry strach przed wojną sączył się z opowieści babci. Bo mama nie chciała wracać do tego czasu, za to babcia opowiadała o wojnie non stop i nie oszczędzała dzieciom szczegółów. Dopiero w 1999 r., gdy Zofia zdecydowała się opowiedzieć o swoich wojennych przeżyciach przed kamerą, córka poznała prawdę z jej perspektywy.

– Mama do końca wypierała negatywne uczucia. Jeśli już opowiadała o obozie, to raczej o sprawach, które pozwoliły jej zachować godność. Ból i cierpienie oddawała w rzeźbach, to była jej prawdziwa opowieść o wojennych doświadczeniach – mówi mi dziś w rozmowie Aleksandra Kann-Bogomilska.

Aleksandra wychowała się w rodzinie rozbitej; ojciec odszedł, zanim ona dojrzała. Matka była dla niej wzorem silnej i mądrej kobiety o szerokich horyzontach, ale równocześnie przyczyną jej głębokich problemów. Prowadziły długie rozmowy o sztuce, sensie istnienia i książkach, a zarazem matka potrafiła być bardzo krytyczna i chłodna wobec córki. Życie rodzinne nie było dla niej tak ważne jak własna twórczość.

W „Pogłosach" czytamy: „Gdyby mama nie była w obozie, pewnie byłaby bardziej rodzinna, pewnie dostrzegałaby więcej uciechy w byciu matką. Pewnie byśmy miały spokojniejsze, bardziej ustabilizowane, w sensie psychicznym zdrowsze

Jadwiga Kuta z córką Elżbietą, lata 50. XX w.

Adolf Górski na terenie dawnego obozu na Majdanku, ze swoim numerem.

życie. A tak zawsze będę mówiła, że to, że mama przeżyła wojnę, ma wpływ nie tylko na drugie, ale i na trzecie pokolenie. Miało, ma i tak pozostanie".

Zmiany także genetyczne

Badania prowadzone przez kilka ostatnich lat pokazują, że istotne znaczenie w transgenicznym przekazywaniu traumy odgrywa też epigenetyka: określa ona, jak na człowieka wpływają geny i środowisko.

Wprawdzie na skutek traumatycznych przeżyć nie dochodzi do modyfikacji DNA (litery kodu genetycznego pozostają niezmienione), ale pod wpływem zmian środowiskowych do DNA przyłączają się grupy chemiczne (np. metylowe), co zmienia ekspresję genów. Gdybyśmy wyobrazili sobie sekwencję DNA jako grupę aktorów, to epigenetyka jest reżyserem, który steruje ich pracą. Niektóre role może eksponować, inne wyciszyć.

Choć epigenetyka budzi dziś spore zainteresowanie naukowców, wciąż nie ustalono, jak dokładnie ten proces przebiega. Trudno też powiedzieć, czy dziedziczone zmiany w ekspresji genów mogą trwale wpływać na zdrowie dzieci.

Zespół dr Rachel z Icahn School of Medicine at Mount Sinai w Nowym Jorku prowadził badania na osobach, które przeżyły Holokaust (porównawczą grupę kontrolną stanowili Żydzi, którzy podczas wojny przebywali poza Europą). Badania pokazały, że jest związek aktywności genu FK506 ze zwiększonym ryzykiem stresu pourazowego, depresją i napadami lęku. Gen ten jest związany z regulacją hormonu stresu, a mutacja cytozyny w jego obszarze może odpowiadać za obserwowane u dzieci skłonności do depresji.

Ślady epigenetyczne stwierdzono też u dzieci osób, które przeżyły tzw. zimę głodu w Holandii na przełomie 1944/45 r. – w odwecie za wsparcie, jakie Holendrzy okazali aliantom podczas kampanii jesiennej 1944 r. (słynna bitwa o Arnhem), Niemcy blokowali potem dostawy żywności dla cywilów. Wiele z nich w dorosłym życiu miało skłonność do nadwagi.

Jak to wygląda w Polsce? I to także w kontekście „trzeciego pokolenia" – generacji wnuków? Nie badano populacji, można więc jedynie wnioskować, że skoro poziom PTSD jest u nas tak wysoki, to czynnik epigenetyczny w dziedziczeniu traumy jest zapewne znaczący.

Kobiety samotne

Elżbieta Kuta, rocznik 1946, działa w stowarzyszeniu Rodzina Więźniarek Niemieckiego Obozu Koncentracyjnego Ravensbrück. Jej mama Jadwiga przebywała w tym obozie w latach 1941-45; wcześniej spędziła rok w niemieckim więzieniu w Tarnowie.

– Całe moje życie było związane z mamą, to były niezwykle silne więzy, praktycznie nie rozstawałyśmy się – mówi mi dziś Elżbieta Kuta. – Ojciec zostawił nas, gdy miałam dziewięć miesięcy, i wciąż nie potrafię zrozumieć, jak mógł to zrobić. Prawdopodobnie nie umiał żyć z kobietą, która przeszła obóz. Obracałam się w środowisku „ravensbriczanek", to były koleżanki mamy. Wiele kobiet żyło samotnie, były niezamężne lub po rozwodzie. Myślę, że wynikało to z niemożności zrozumienia przez mężczyzn ich stanu psychicznego po powrocie z obozu. Ich życie było jakby po drugiej stronie parawanu, który stawiały między sobą a światem zewnętrznym.

Elżbieta Kuta pamięta, że więźniarki miały w dowodzie osobistym wpisane „astenia poobozowa" (tj. KZ syndrom). Jednak nie pociągało to za sobą konkretnej pomocy. – Nie pamiętam, aby mamie oferowano terapię psychiatryczną, nie była też objęta żadnym leczeniem. Podobnie jej koleżanki – wspomina. – W tamtych czasach nikt o tym nie mówił, to były lata głębokiego terroru stalinowskiego. Nikt nie myślał o leczeniu ludzkich dusz.

Poczucie straconego czasu

Nikt też nie zajmował się duszami dzieci z „drugiego pokolenia". Wielu moich rozmówców podkreśla, że dopiero po latach – już jako dorośli – zrozumieli, że są „inni". Pomocy szukali na własną rękę.

Zajęta niepełnosprawnym dzieckiem, Bożena znajdowała oparcie w Bogu.

Lucyna przyznaje, że choć od lat zażywa leki psychotropowe, nigdy nie przeszła głębokiej psychoterapii.

Elżbieta Kuta dopiero po śmierci matki związała się z mężczyzną, który był jej młodzieńczą miłością. Czekali na to ponad 50 lat. Nie zdawała sobie sprawy, że dzieci takie jak ona są tak głęboko doświadczone. Historie znajomych poznała, czytając „Pogłosy". Wcześniej nikt nie opowiadał o swoich problemach.

– Przez wiele lat nie interesowałam się tematem obozu, nie zdawałam sobie sprawy, jaką mama przeżyła traumę, może dlatego, że nie mówiła przy mnie o tych doświadczeniach – mówi Elżbieta Kuta. – Mam poczucie straconego czasu, bo gdy mama żyła, nie pytałam. Nie przeszłam z nią obozowej drogi. A może trzeba było to zrobić, aby wyrzuciła z siebie wspomnienia? Podjęłam się więc prowadzić stowarzyszenie, to rodzaj zadośćuczynienia. Chcę, żeby pamięć o byłych ↦

↦ więźniach nie zginęła, bo to, co oni przeszli, jest ważne.

Elżbieta Kuta jest biologiem, botanikiem, profesorką UJ. W epigenetyce widzi szansę dla potomków ofiar wojny, tych z kolejnych pokoleń. Podkreśla, że rodzice ludzi z jej generacji nie mieli świadomości, co dzieje się z ich organizmami, nie wiedzieli, dlaczego takie emocje nimi targają: – Moje pokolenie też nie sięgało do genetyki i epigenetyki, by zastanowić się, dlaczego tak się zachowujemy i czy może to mieć związek z traumatycznymi przeżyciami rodziców. Dzisiejsza wiedza na temat zmian epigenetycznych i czynników, które wpływają na ekspresję genów, może okazać się dla wielu ratunkiem.

– Jeżeli negatywne emocje wpływają na zmiany epigenetyczne, co z kolei skutkuje depresją i innymi zaburzeniami psychicznymi, to warunkiem jest, aby próbować radzić sobie ze stresem – dodaje. – Jest wiele metod, dzięki którym można opanować stres, zrozumieć, że życie w harmonii ze sobą jest możliwe.

Ojciec i syn

– Nie mogłem tu zjeść śniadania. Wyciągałem bułkę z szynką i pomidorem... I nie dałem rady przełknąć kęsa – wspomina dziś Marek Górski, który od 17 lat pracuje w Państwowym Muzeum na Majdanku. – Tutaj zginęła babcia i stryj, ojca tu trzymali.

Marek Górski urodził się cztery lata po zakończeniu wojny. Kiedyś nie przypuszczał, że dużą część zawodowego życia spędzi na pracy w tym miejscu i na opowiadaniu o cierpieniu, które stało się udziałem także jego rodziny.

Czasem trudno mu trzymać nerwy na wodzy. Zwiedzający dawny obóz mają pretensje: że za dużo mówi o Żydach, a za mało o Polakach. Albo wykazują szczególną fantazję: pewna dziewczyna wysłała do znajomych, przez portal społecznościowy, pozdrowienia z pieca krematoryjnego.

Górski widzi, że ludziom trudno dziś pojąć, co wydarzyło się na Majdanku: – Ale co ja się im dziwię? Sam do końca nie mogłem tego zrozumieć. Kiedyś w grudniowe popołudnie poszedłem do obozowej łaźni męskiej. Było pusto. Próbowałem sobie wyobrazić, jak ojciec to wszystko przeżył. Miał wtedy 19 lat. Lęk mnie ogarnął, jakby to wszystko mogło się powtórzyć. Wyszedłem na zewnątrz, pomyślałem: świat jest piękny, mogę cieszyć się tym, że pada śnieg, że mogę wrócić do ciepłego domu.

Badania z 2008 r. wykazały, że wśród Polaków symptomy PTSD miało ponad 30 procent ankietowanych, podczas gdy **w innych krajach Europy wskaźnik ten nie przekracza 10 procent.**

Doświadczenia ojca, Adolfa Górskiego, nie pozostały bez wpływu na rodzinę. Osadzony najpierw w więzieniu na lubelskim Zamku (za pomoc zbiegłym więźniom), w 1943 r. trafił na Majdanek. Potem był w Buchenwaldzie, Sachsenhausen i Dachau. Po wojnie niechętnie wracał do tych wspomnień. Uciekał w pracę: jeździł po terenie, a to zebranie, a to bilans, do domu wracał na weekend. A gdy już był, rękę miał ciężką, polecenia zaś, właściwie komendy, zdarzało mu się wydawać po niemiecku.

– Ojciec był ostry, ale tamto pokolenie biło swoje dzieci, moi koledzy też dostawali w skórę. Czasem nie ćwiczyłem na wuefie, bo miałem posiniaczone plecy – wspomina Marek Górski. – Ojciec nigdy nie bił pod wpływem chwili. „Zbiera ci się", powtarzał, i lał na zimno.

Wobec przeszłości

Także do 72-letniego dziś Marka Górskiego wojna wraca w snach. I w pytaniach, które wciąż sobie zadaje. Ślad tego można zobaczyć w jego rysunkach: tworzy je w formacie A4, najczęściej w tonacji czarno-białej. Powraca w nich postać mężczyzny w płaszczu i kapeluszu, są spersonifikowane drzewa, oczy wyglądające z każdego kąta.

Bożena czasem myślała, że coś z nią jest nie tak. Bo skąd u niej sny, że Niemiec odcina jej głowę, a głowa odrasta? Skąd lęki i poczucie, że jest gorsza? Może dlatego długo nie chciała pojechać do Auschwitz. Wybrała się dopiero na prośbę mamy, razem z nią: była rocznica, przyszło oficjalne zaproszenie.

– Te stosy butów, włosy, zapach... Nigdy więcej. Matka chodziła po obozie jak po mieszkaniu, które niedawno opuściła. Zatrzymywała się od czasu do czasu i zastygała – wspomina Bożena. – Aż doszłyśmy do jej baraku. Podczas wojny wydrapała na ścianie swoje imię. Przeciągnęła palcem po słowie „Irena" i zemdlała.

Aleksandra Kann-Bogomilska pomaga w przygotowaniu wystawy z rzeźbami matki, która odbędzie się na terenie dawnego obozu w Ravensbrück, w Niemczech. Choć wcześnie założyła rodzinę, nigdy nie odcięła z matką pępowiny, przez całe dorosłe życie mieszkały obok siebie. Matka miała wpływ na wiele jej decyzji. Zostawiła jej też w spadku strach.

Aleksandra wspomina dziś w rozmowie: – W moim pokoleniu nie było mowy o leczeniu traum. Najbardziej pomogła mi możliwość wypowiadania się przez sztukę: tak jak matka, zostałam rzeźbiarką. W twórczości przełamywałam granice wstydu, nieśmiałość. Mogłam przepracować przynajmniej w części negatywne przeżycia.

Bez końca

Bohaterowie tego tekstu latami dźwigali niewidzialny bagaż. Podobne historie można usłyszeć, rozmawiając też z innymi ludźmi z „drugiego pokolenia", potomkami innych grup ofiar (straszne słowo, ale chyba adekwatne).

Czasem ten bagaż był ponad ich siły. Nieśli go w poczuciu, że skoro sami nie przeżyli wojny, to nie należy im się współczucie. Żyli w cieniu pokolenia wojennego. Obraz rodziców rozmywał im się, trudno było go scalić. Byli bohaterami, walczyli o Polskę i cierpieli z tego powodu. A z drugiej strony w domu nie umieli być mamą i tatą. Nie umieli kochać tak, jak by oczekiwało tego dziecko. Ich odwaga topniała w konfrontacji z sytuacjami, gdy trzeba było przytulić, pocieszyć, okazać czułość.

„Bohaterka tej historii chciałaby, żeby wojna i dla niej wreszcie się skończyła. Ale wojna, jeśli się już zacznie, nie ma końca" – czytamy w książce Magdaleny Tulli. Echa tych słów pobrzmiewają w wypowiedziach moich rozmówców.

– Myślałam, że jak wyjadę do USA, to zacznę nowe życie, szczęśliwe. Zapomnę o przeszłości – Lucyna zawiesza głos. – Ale widzi pani, wojna przyjechała ze mną. Musiałam niechcący spakować ją do walizki.

© ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK

ANDRZEJ

Stasiuk: *O pogodzie*

Spadł na zieleniejącą już trawę, na żabie gody, na kwitnącą leszczynę. Miejscami jest go po kolana. I wciąż pada, i ma padać jeszcze przez parę dni. Unieważniona wiosna. No tak, czasem spadał nawet w maju, ale leżał tylko chwilę. Kiedyś w kwietniu spadł marznący deszcz. Przyszli już górale ze stadami. Owce były świeżo ostrzyżone. Kilka nie przeżyło. Po prostu zamarzły.

A teraz te wszystkie ptaki, które już przyleciały. Podfruwają wśród ośnieżonych gałęzi świerków. Całe to kolorowe towarzystwo. Żółte trznadle, podbite jasnym brązem zięby w szarobłękitnych czapeczkach, rozkiwane pliszki, rudopłomienne pleszki i co tam jeszcze, bo ciągle w ruchu i trudno drobiazg wzrokiem przyszpilić. Rano ich zwielokrotniony trel wśród ponurej bieli brzmi absurdalnie i zarazem zwycięsko. Chyba dają radę. Pogrzebują i podziobują tuż przy pniach świerków i modrzewi, gdzie śniegu najmniej. Widać lekko zrytą ściółkę. Zatrzymuję kota w domu i rozsypuję ziarno pod okapem dachu. Trochę wydziobują, ale raczej preferują głodną i chłodną wolność. W każdym razie śpiew o poranku nie milknie, a nawet mam wrażenie, że się wzmaga na przekór okrucieństwu natury, które jest chyba obojętnością. Potężną i wszechogarniającą.

Trochę zeszło. Wyłazi trawa i prześwieca ziemia. Złotodzioby kos szuka wczesnych robaków. Obok chyba kwiczoł. Prawie go nie widać, bo bury jak cała ta śnieżnobłotna pora. O, i zięba dryga na kretowisku. I cały czas schodzi, bo dziś słońce, wprawdzie zza chmur, ale ciepło.

Ach to obsesyjne wyczekiwanie pogody w naszej szarej strefie klimatycznej. Wyczekiwanie słońca, wyczekiwanie deszczu, wyczekiwanie śniegu. Zawsze wyczekiwanie odmiany, która nieodmiennie nadchodzi, ale nigdy taka, jakiej byśmy pragnęli. Nieustanny zawód. Permanentne rozczarowanie. Wieczny wystrych na dudka. Biedni Polacy patrzący w niebo. Opętańczy kult przyrody. Jakie tam chrześcijaństwo...

Tak. Zeszedł. Tylko za domem od północnej strony leży jeszcze reszta tego, co zjechało z dachu. W lesie, w cienistych żlebach. A czasem nadciągają ciemne chmury i sypie białą, szelestliwą kaszą. Sąsiad pociesza, że w pięćdziesiątym roku, minionego wieku oczywiście, spadło w maju do kolan i leżało przez tydzień. I było minus dziesięć. Owce głodowały na resztkach siana. Pociesza, ale też ma dosyć wiosennych chłodów, błota i niskiego nieba. Błękitna źrenica wychynie na chwilę i zaraz ginie pod powieką ołowianych obłoków. Okrutne perskie oko. Woda na młyn klimatycznych antyociepleniowców. I, co za tym idzie, płaskoziemców i przeciwszczepionkowców. Niebo z nas drwi. Natura szydzi. Robi jedno, a każe wierzyć w drugie.

I tylko od owiec pocieszenie. Niestraszna im żadna aura. Leżą sobie jak posągi. Tylko czarne pyszczki im się poruszają, pobłyskują białe zęby. Żują. Teraz to już nawet wybór mają, bo skubną trochę siana i trochę tej nieśmiałej runi. Dobrze, że jeszcze ich nie ostrzygłem, bo co one by w tym wczorajszym śniegu na golasa robiły. No więc leżą, a pomiędzy nimi pożywiają się trznadle i zięby. Jak między szarymi głazami. Spokój. Czasami któryś ptaszek wskakuje na owczy grzbiet i wydziobuje z runa suche nasiona traw. Piękny i spokojny widok pod zmiennym niebem, którego widok wtrąca ludzi w smutek albo i desperację.

Pod wieczór się uspokoiło. Powietrze znieruchomiało. Zastygły międzykontynentalne wiry aury. Prześwieca dymny błękit. Czyli jest nadzieja. ©

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących!

Rejestracja w internetowym kiosku **Stowarzyszenia „De Facto"** umożliwia bezpłatną lekturę „Tygodnika Powszechnego" osobom z orzeczeniem niepełnosprawności z tytułu wzroku.

Serdecznie prosimy Państwa o przekazanie tej informacji bliskim, przyjaciołom lub sąsiadom, którzy mogą być zainteresowani czytaniem naszego pisma w takiej formie.

Więcej informacji na
powszech.net/dostepny

DE FACTO STOWARZYSZENIE

TYGODNIK POWSZECHNY

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

NAUKA

KOSZTY SKRUPUŁÓW

Być może wojna zawsze wygląda tak samo. Okazuje się jednak, że osoby pochodzące z różnych kultur mogą inaczej reagować na stres walki zbrojnej i towarzyszącą mu traumę.

KATARZYNA DZIADOWICZ

Turkana to półkoczownicze plemię mieszkające w Kenii. Jego przedstawicielom zdarza się kraść bydło od plemienia Toposa w Sudanie Południowym. Czasem role się odwracają. Organizowane przez te plemiona zbrojne napady mogą być bardzo krwawe: śmierć w walce jest przyczyną około połowy zgonów wszystkich dorosłych mężczyzn Turkana.

Po powrocie z najazdu wojownicy Turkana mogą wziąć udział w trzech rytuałach. *Akipur* jest rytuałem oczyszczającym postrzeganym jako obowiązkowy dla tych, którzy kogoś zabili. Tym samym wojownikom zaleca się też uczestniczenie w *akiger*, podczas którego naznacza się bliznami ich skórę. „Naznaczenie" nie ma jednak na celu wykluczenia, lecz celebrację – tacy wojownicy są cenieni w społeczności. *Ngitebus* z kolei ma chronić żołnierza przed duchami zabitych. Badacze tych rytuałów Matthew Zefferman i Sarah Mathew twierdzą, że mogą być one jednym z czynników chroniących wojowników z plemienia Turkana przed niektórymi objawami zespołu stresu pourazowego (PTSD).

Nie da się zapomnieć

PTSD jest zaburzeniem lękowym, które często uniemożliwia normalne funkcjonowanie. Dotyka od kilku do nawet kilkudziesięciu procent osób będących świadkami lub uczestnikami wydarzeń takich jak wojny, katastrofy naturalne, napady terrorystyczne, wypadki komunikacyjne, nadużycia seksualne, pandemie, a także innych silnie stresujących sytuacji, którym towarzyszy poczucie zagrożenia – nawet jeśli obiektywnie dana osoba nie znajduje się w niebezpieczeństwie.

Bywa też, choć rzadziej, że zespół ten dotyka odbiorców relacji z takich wydarzeń. Upraszczając, PTSD objawia się niezdolnością do oderwania się od traumatycznych wydarzeń, a w konsekwencji występowaniem długotrwałego lęku i stresu. Często dochodzi do przeżywania traumatycznych chwil na nowo pod postacią tzw. flashbacków, czyli pojawiających się mimowolnie wspomnień, jakby migawek utrwalonych na filmie w naszej głowie.

Cierpiący na PTSD mają skłonność do unikania miejsc, czynności, a nawet osób przypominających o danym wydarzeniu. Kontakt z nimi może powodować bardzo silne, negatywne emocje. PTSD nie dotyczy jednak wyłącznie domeny myśli i odczuć, ale też odruchowych reakcji – utrzymujący się długo stan nadmiernej czujności może prowadzić do wyolbrzymiania bieżących zagrożeń i trwania w ciągłym przestrachu. Jeden z członków plemienia Turkana opowiadał o tym, jak nagle przebudzony ze snu charakterystycznym dźwiękiem biegnących osłów, zdążył postrzelić jedno ze zwierząt, zanim zorientował się, że nic mu nie zagraża.

Symptomy PTSD przyporządkować można do kilku kategorii: pierwsza dotyczy „uczenia się" (obejmuje np. koszmary albo nieprzyjemne odczucie w reakcji na jakiś przedmiot), inna – reagowania (to np. nadmierna czujność). Spekuluje się, że symptomy z obu grup mogą pełnić pewną funkcję przystosowawczą – już po jednej ekspozycji ułatwiają unikanie niebezpiecznego bodźca w przyszłości.

W tym kontekście psycholodzy David Diamond i Phillip Zoladz porównują aktywność układu nerwowego (w szczególności ciała migdałowatego) osób cierpiących na PTSD do byka w składzie chińskiej porcelany – próbując się wydostać (uratować), powoduje wiele strat, ale taka strategia wydaje się optymalna pod wzglę-

ALAMY / BEW

Spotkanie plemienne Turkana

dem przetrwania. Nadaktywność systemu nerwowego w PTSD może być więc postrzegana jako adekwatny środek do zapewnienia organizmowi przetrwania w niebezpiecznych warunkach, a nie jako dysfunkcja. Nie sposób jednak pominąć faktu, że jej występowanie zwykle łączy się z pogorszeniem kondycji psychicznej.

PTSD może wywoływać także symptomy określane jako depresyjne – u osoby badanej dominują negatywne emocje, występują problemy z koncentracją, poirytowanie czy nawet agresja. Towarzyszące im wycofanie emocjonalne często prowadzi do osłabienia relacji z bliskimi i pogłębienia poczucia wyobcowania. Zobojętnienie dotyczy też dotychczasowych zainteresowań.

Łatwo zrozumieć, że przeżywanie pozytywnych emocji albo znajdowanie uspokojenia w rozmowie z bliskimi i hobby są znacząco utrudnione, gdy znajdujemy się w stanie ciągłego napięcia. Jeśli weźmiemy pod uwagę hipotezę o „przystosowawczych" aspektach PTSD, to trudno wskazać, jaką funkcję w reakcji na fizyczne zagrożenie miałby spełniać permanentnie obniżony nastrój. Dlatego spekuluje się, że nie wszystkie objawy PTSD wynikają bezpośrednio z sytuacji stresowej. Opisywano już obserwacje, które pozwalają interpretować objawy depresyjne PTSD nie jako reakcje na silny stres i zagrożenie, lecz na złamanie norm moralnych – czy to przez nas samych, czy przez innych. Taka interpretacja pozwala zrozumieć m.in., dlaczego PTSD dotyka także pilotów dronów, którzy wykonują zadania bojowe z bezpiecznego pomieszczenia. Co istotne, normy moralne nie są uniwersalne kulturowo: jeśli więc ta interpretacja jest poprawna, to możemy obserwować różnice w nasileniu poszczególnych grup symptomów PTSD u osób pochodzących z różnych kultur. Tego zjawiska dotyczyło badanie Zeffermana i Mathew, opisane w połowie kwietnia w „PNAS" – autorzy porównali reakcje na podobny bodziec stresowy u Amerykanów i Turkana.

Objawy warunkowe

Światy społeczne, w jakich żyją amerykańscy żołnierze i wojownicy Turkana, różnią się nie tylko pod kątem rytuałów. Amerykanie po powrocie z wojny lądują na nowo w społeczności, w której zabijanie jest piętnowane i otoczone tabu. Żołnierze zmagający się ze wspomnieniami z frontu mogą znaleźć wsparcie w grupach terapeutycznych, ale otaczająca ich społeczność nie brała udziału w walce, a więc nie zrozumie w pełni ich doświadczeń. Sam sens prowadzenia wojny zwykle nie jest dla obywateli namacalny i nie przekłada się wprost na korzyści. Tym samym trudniej o wyrażenie poparcia dla zachowań niepożądanych wewnątrz społeczności, nawet jeśli wiązały się z wykonaniem polecenia przełożonych. Wojownicy Turkana walczą ramię w ramię ze swoimi współplemieńcami, więc po starciu otaczają ich osoby, które mają podobne przeżycia. W pewnej mierze dotyczy to także kobiet i dzieci, które co prawda nie uczestniczą w wyprawach wojennych, ale mogą zostać zaskoczone wrogim atakiem. Podczas samych najazdów wojownicy są zdani na swój osąd – zwykle nie czuwa nad nimi autorytarny dowódca.

Zefferman i Mathew przeprowadzili pogłębione wywiady z żołnierzami z obu kultur i porównali zebrane dane. Przy podobnym jak u Amerykanów nasileniu symptomów z grup „uczenia się" i „reagowania" wojownicy z plemienia Turkana wykazywali średnio niższy poziom symptomów depresyjnych. Rzadziej przyznawali się do unikania bodźców i wspomnień związanych z traumatyzującym starciem. Czynnikiem łagodzącym okazało się powodzenie wyprawy wojennej – im więcej bydła udało się przejąć, tym niższy był ogólny wskaźnik cech PTSD. Dodatkowo na podstawie stopnia narażenia na walki oraz ich przebiegu można było dość dobrze przewidzieć, jak ukształtują się wyniki w skalach „uczenia się" i „reagowania", ale słabiej, jakie będzie nasilenie innych objawów. Potwierdza to przypuszczenie, że chociaż część symptomów PTSD występuje uniwersalnie, bezpośrednio w reakcji na zagrożenie, to nasilenie tych depresyjnych może zmieniać się w zależności od przyjmowanych w grupie zasad prowadzenia walki, postrzegania ↦

↦ ich naruszenia i ewentualnych sankcji społecznych.

Natura i cierpienie

Wojownicy z plemienia Turkana nie byli oczywiście pozbawieni skrupułów – choć zabicie przeciwnika jest w ich kulturze wręcz celebrowane, to te osoby, które pozbawiły kogoś życia, opisywały swój stan jako bardziej depresyjny niż reszta biorących udział w walce. Co ciekawe, zabicie rywala wiązało się też z niższym natężeniem symptomów z grupy „reagowania" i „uczenia się" – być może dlatego, że zabicie wroga można postrzegać jako uzyskanie przewagi. Badacze zaznaczają jednak, że zabójstwo wpływało na symptomy PTSD w kenijskim plemieniu w mniejszym stopniu niż w kulturze amerykańskiej – jakby odgrywało w ich samopoczuciu mniej istotną rolę albo po prostu było łatwiej akceptowane.

Pozostaje pytanie: dlaczego u tych osób, które zgłaszają silniejsze „szkody moralne", występuje większe nasilenie objawów depresyjnych? Zwolennicy niektórych teorii ewolucyjnych powiedzieliby, że dzieje się tak ze względu na obawę przed sankcjami społecznymi. Znajdowałoby to poparcie w wynikach z plemienia Turkana, gdzie wyrządzanie szkód w czasie walki nie jest powodem ostracyzmu. Badacze nie wykluczają jednak przeciwnego kierunku zależności – być może to wystąpienie objawów depresyjnych sprzyja przypominaniu sobie negatywnie ocenianych wydarzeń. W takim przypadku przyczyna wystąpienia obniżonego nastroju wciąż pozostawałaby niezidentyfikowana. Według jeszcze innej hipotezy popadnięcie w marazm i niechęć do podejmowania jakichkolwiek czynności miałyby uchronić jednostkę przed eskalacją konsekwencji. Widoczne objawy poczucia winy miałyby być sygnałem dla społeczności, że niepożądane zachowanie więcej się nie powtórzy.

Niezależnie od ostatecznego rozstrzygnięcia, niewykluczone, że dyskusje dotyczące związku pomiędzy naruszeniem norm a zmianami w codziennym funkcjonowaniu staną się częścią debaty na temat ludzkiej natury – wiele wskazuje na to, że krzywdzenie innych po prostu sprawia nam cierpienie.

© KATARZYNA DZIADOWICZ

Migracja genów

MARIUSZ GOGÓL

Pewien uciążliwy dla rolników owad w nieznany wcześniej sposób uodpornił się na działanie toksyn: kluczowy fragment informacji genetycznej pozyskał od rośliny.

Materiał genetyczny może mieszać się w przyrodzie dzięki różnym mechanizmom. Jednym z najbardziej skutecznych jest rozmnażanie płciowe: dwie gamety, niosące różne zestawy genów, po połączeniu dają nowy, częściowo różny od rodziców organizm. Różnorodność genetyczna ułatwia osobnikom i całym populacjom radzenie sobie z zagrożeniami – dlatego płeć jest tak popularna w przyrodzie. Ale to nie jedyny sposób mieszania genów.

Wśród bakterii, których ewolucja nie wyposażyła w płeć, może dojść np. do wchłonięcia DNA współtowarzyszy, z którymi tworzą skomplikowaną, przestrzenną strukturę. Mowa o biofilmie – mikrobiologicznej twierdzy złożonej z bakterii oraz produkowanych przez nie substancji, ułatwiającej ochronę przed działaniem komórek układu odpornościowego i antybiotyków. Tego typu zachowanie obserwujemy m.in. u bakterii dwoinki zapalenia płuc.

Jednak co do zasady przepływ genów nie ma ograniczeń gatunkowych. Bakterie gronkowca złocistego żyją czasem w towarzystwie bakterii paciorkowca kałowego. Badania dowodzą, że drugi z tych mikrobów może przejąć od pierwszego plazmid – niewielką cząsteczkę DNA występującą poza jądrem komórkowym. W ten sposób paciorkowiec może uzyskać np. geny oporności na tetracyklinę, jeden z szeroko stosowanych antybiotyków. Proces przeniesienia plazmidu odbywa się poprzez specjalne wypustki.

Opisane zjawiska określane są jako poziomy transfer genów (transfer pionowy to przekaz informacji genetycznej z rodziców na potomstwo). Może on zachodzić nawet między gatunkami należącymi do różnych królestw. Np. drożdże piekarskie pozyskały od bakterii gen enzymu zwanego arylosulfatazą, który ułatwia tym grzybom przyswajanie siarki. Przepływ genów stwierdzono także na osi grzyby–owady. Mszyce grochowe uzyskały w ten sposób zdolność do wytwarzania torulenu – związku dającego im czerwony kolor – dzięki czemu łatwiej im unikać ataków pasożytniczych os (które ogłuszają swoje ofiary i składają w ich ciałach jaja).

Absolutnymi rekordzistkami gromadzenia „obcego" DNA są aseksualne wrotki – mikroskopijne organizmy zaliczane do zwierząt. Aż 8 proc. ich genomu pochodzi od bakterii. Jednak to nie one skupiają dziś na sobie największą uwagę badaczy, lecz pewien uciążliwy dla rolników owad, u którego odkryto gen pozyskany od rośliny – takiego transferu nigdy wcześniej nauka nie odnotowała.

Wyścig zbrojeń

Migrujący materiał genetyczny może odgrywać ważną rolę w wyścigu zbrojeń, jaki prowadzą między sobą, często od milionów lat, organizmy należące do różnych grup taksonomicznych. Taki wyścig obserwujemy np. między owadami i zjadanymi przez nie roślinami. Dobrym przykładem jest pozyskanie przez chrząszcza *H. hampei* genu jednego z drobnoustrojów, który zwiększył u tego owada możliwość wykorzystania składników odżywczych z trudno przyswajalnego źródła, jakim jest ściana komórkowa roślin.

Rośliny, by zabezpieczyć się przed zjedzeniem, tworzą toksyczne molekuły. Jedne z najważniejszych należą do związków fenolowych. W literaturze naukowej opisano dużo przykładów ich negatywnego wpływu na liczebność wielu grup owadów roślinożernych (m.in. motyli, chrząszczy, pluskwiaków czy muchówek) spotykanych na produkujących je roślinach. Należące

do tej grupy związków glikozydy fenolowe oddziałują negatywnie na rozwój, wzrost i zachowanie insektów. Przykładowo, te obecne w liściach wierzby mają właściwości odstraszające chrząszcze – i są niebezpieczne zwłaszcza dla poczwarek.

Substancje z grupy glikozydów fenolowych nie wpływają jednak na komfort żerowania osobników należących do gatunku *Bemisia tabaci* – mączlika ostroskrzydłego, owada spokrewnionego z mszycami. Jest to dość niepozorny organizm. Samice mają około 1 mm długości, samce są jeszcze mniejsze. Po raz pierwszy zaobserwowano go w Grecji na liściach tytoniu – do czego nawiązuje jego łacińska nazwa – ale ma on znacznie więcej żywicieli. Znamy ich ponad 600 gatunków, a wśród nich są ważne dla ludzi rośliny uprawne – np. papryka, pomidor, ogórek, sałata czy hibiskus.

Problem niewrażliwości mączlika na toksyny tak wielu roślin od dawna interesuje naukowców. W opisanych na początku kwietnia w „Cell" badaniach Jixing Xia i współpracownicy porównali materiał genetyczny mączlika oraz innych, wrażliwych na glikozydy owadów i znaleźli interesującą różnicę. Był nią gen BtPMaT1, który posiadały wyłącznie odporne na glikozydy insekty. Stwierdzono, że umożliwia on produkcję enzymu prowadzącego do specyficznej modyfikacji toksyn, zwanej malonylacją. Polega ona na dodaniu do glikozydu odpowiedniej grupy chemicznej, za sprawą czego dochodzi do jego inaktywacji.

Dzięki skomplikowanym analizom badaczom udało się wykazać, że ten gen musi pochodzić od roślin – u których znajdujemy pokrewne geny. Nie jest jasne, w jaki sposób doszło do transferu. Prawdopodobnie zdarzyło się to ok. 35 mln lat temu i – jak w wielu przypadkach – transporterem genu był jakiś wirus, który posłużył jako bezpieczna kapsuła dla DNA. Gdy wirus namnażał się w komórkach rośliny, przypadkowo „zabrał" ze sobą wspomniany gen. Do praprzodka owada mógł trafić, gdy insekt posilał się zakażoną rośliną.

Zamiana ról

B. tabaci szkodzi roślinom na kilka sposobów. Po pierwsze, żywi się ich sokami. Po drugie, produkuje lepką substancję, która staje się wylęgarnią pleśni. A ona z kolei sprawia, że rośliny tracą liście. Ponadto sam owad może przenosić ponad sto wirusów roślinnych. W dodatku szybko uzyskuje odporność na stosowane opryski, dlatego trudno z nim walczyć.

Z ekonomicznego punktu widzenia mączlik jest niebezpiecznym szkodnikiem. Jego zdolności do lotu są ograniczone, ale wiatr pomaga mu się przemieszczać na duże obszary. Obecnie spotyka się go najliczniej w Afryce, Brazylii, Indiach oraz na południu Europy. Ok. 30 lat temu dotarł także do Polski. Ale pomimo jego udanych przystosowań, wkrótce mogą zacząć się dla niego ciężkie czasy. Chińscy badacze znaleźli bowiem sposób na to, by zdobytą wiedzę wykorzystać w praktyce – i ponownie uwrażliwić mączlika na toksyny.

Naukowcom udało się zademonstrować, że zmodyfikowane genetycznie rośliny produkują cząsteczkę, która zaburza produkcję „neutralizatora" toksyny u mączlika. Do przeprowadzenia tej modyfikacji wykorzystano bakterię *Agrobacterium tumefaciens*.

W normalnych warunkach wnika ona do uszkodzonych organów rośliny i przestawia jej metabolizm tak, żeby produkowała nieprzydatne dla rośliny, a cenne dla samej bakterii substancje. Bakterii ta sztuczka się udaje, ponieważ jest w stanie wprowadzić do rośliny fragment swojego materiału genetycznego. Naukowcy nauczyli się zastępować tę informację cząsteczką wyprodukowaną w laboratorium. Swój eksperyment przeprowadzili na pomidorach. Po ich zmodyfikowaniu wpuszczono na nie mączliki – większość z nich w krótkim czasie śmiertelnie się otruła. ©

Starożytny sojusz

DO NAJWAŻNIEJSZEJ w dziejach migracji genów mogło dojść u zarania życia. Według powszechnie dziś uznawanej teorii endosymbiozy 2-3 mld lat temu przodkowie współczesnych eukariontów (organizmów posiadających materiał genetyczny w jądrze komórkowym) wchłonęli znacznie od nich mniejsze bakterie. Nie zostały one strawione, lecz zaczęły żyć ze swoimi gospodarzami w symbiozie. W nowym środowisku mogły się swobodnie rozmnażać, a za bezpieczeństwo płaciły produktami swojego metabolizmu, z których zaczęli korzystać gospodarze. Właśnie w ten sposób miało dojść do powstania organelli, takich jak mitochondria (będące komórkowymi „elektrowniami") czy występujące u roślin chloroplasty (umożliwiające fotosyntezę).

NANCY R. SCHIFF / GETTY IMAGES

Amerykańska biolożka Lynn Margulis w szklarni, ok. 1990 r.

KORZENIE TEJ TEORII sięgają przełomu XIX i XX w., ale na dobre do nauki wprowadziła ją biolożka Lynn Margulis, która w latach 60. przedstawiła przekonującą argumentację. Zwróciła uwagę m.in. na to, że wspomniane organelle swoim wyglądem przypominają specyficzne bakterie i wyposażone są we własny materiał genetyczny – podobny do bakteryjnego. Te geny dziedziczone są niezależnie od DNA jądrowego (u organizmów płciowych zdecydowana ich większość pochodzi od matki).

NIEWYKLUCZONE, że także inne organelle miały podobne początki, a w toku ewolucji przeniosły swoje geny do jądra komórkowego. Niektórzy badacze twierdzą, że samo jądro pojawiło się u eukariontów na drodze endosymbiozy.
©℗ ŁK

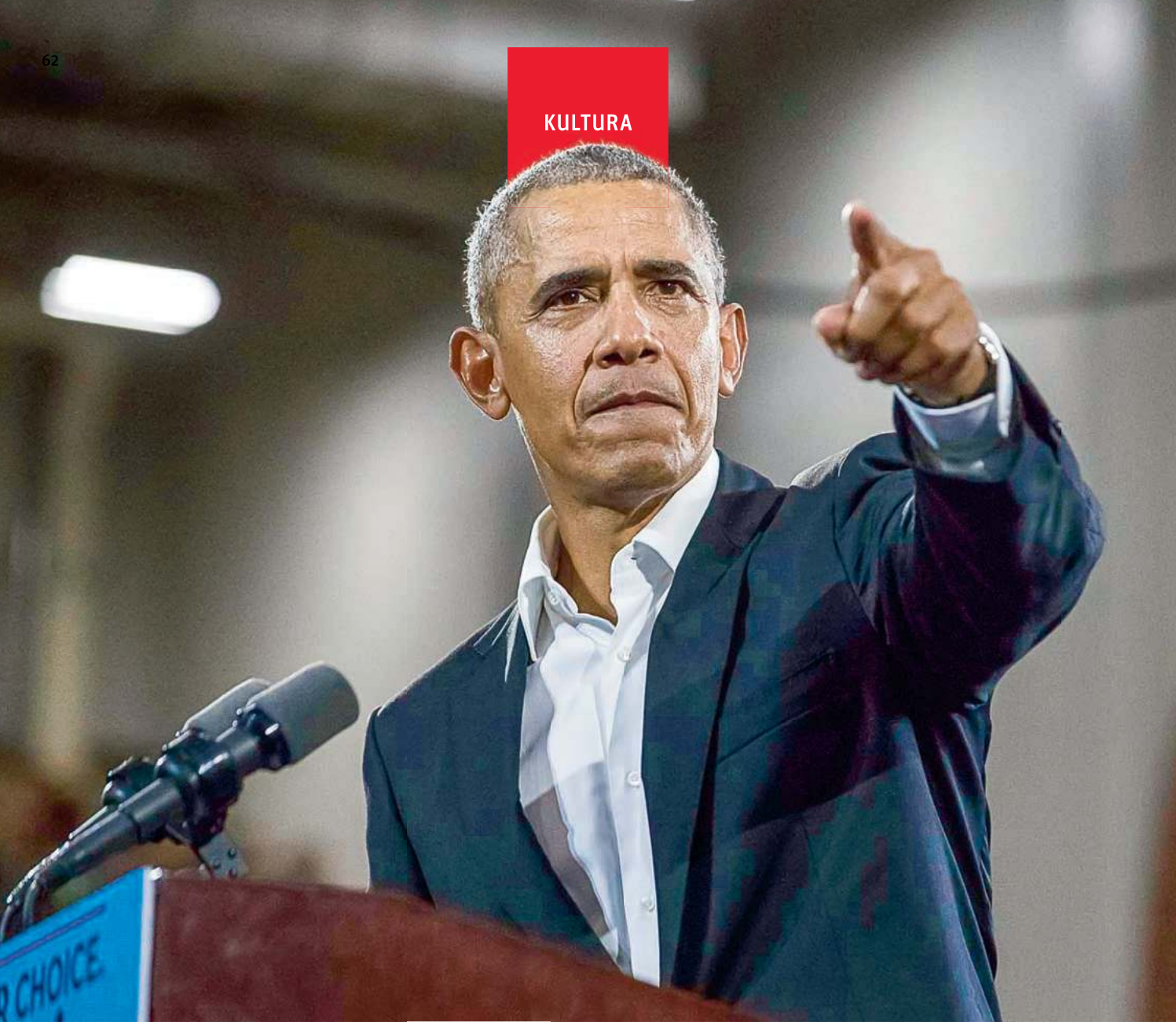

PROZA RZĄDZI

Dzięki „Ziemi obiecanej" Baracka Obamy możemy spojrzeć na świat oczami człowieka, który z jego złożonością musiał godzić się codziennie. I zajrzeć w przepaść dzielącą wielkie oczekiwania od ograniczonych rezultatów.

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

Za każdym razem, gdy wyrażam swój zachwyt stylem prozy Baracka Obamy, słyszę: „Sądzisz, że on to sam napisał?". Odpowiedź brzmi: tak i nie. Były prezydent faktycznie jest bardzo dobrym pisarzem. W sensie fizycznym to on stawiał kolejne słowa na kartce „Ziemi obiecanej" – jeżeli o to chodziło w pytaniu. Z niedawnego wywiadu, jakiego udzieliła Michiko Kakutani, wiemy nawet, na jakim papierze pisze (żółty liniowany notatnik) oraz czym (pióro kulkowe Uniball Vision Elite, do kupienia w Polsce za 8,50 zł). Należy więc do starej szkoły tworzących pierwsze szkice tekstu odręcznie. Najlepiej pisze mu się od dziesiątej wieczorem do drugiej nad ranem, a przy pracy zachowu-

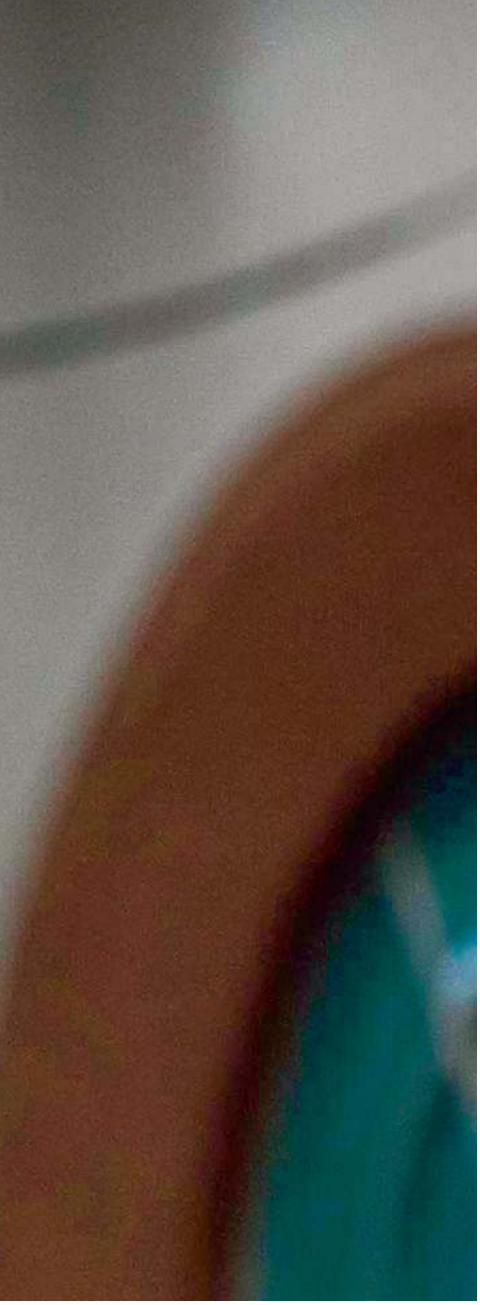

ALYSSA POINTER / ZUMA PRESS / FORUM

Barack Obama na wiecu wyborczym kandydata na gubernatora stanu Georgia, Macon, listopad 2018 r.

je dyscyplinę godną samego Stephena Kinga.

A jednak na pytanie o samodzielne autorstwo jego pamiętników można odpowiedzieć również przecząco. Obama nie napisał swojej książki sam, czego najlepszym dowodem są umieszczone na końcu podziękowania, w których prezydent wyraża swoje uznanie dla armii redaktorów, korpusu współpracowników, rady fact-checkerów oraz sztabu pracowników wydawnictwa. Współczesny superbestseller non-fiction nigdy nie bywa projektem solowym. Podobnie jak prezydentura.

Więc jego pamiętniki napisane są świetnie, ale o czym są? Gdzieś w trzech czwartych „Ziemi obiecanej" padają słowa: „FDR [Franklin D. Roosevelt] nigdy nie popełniłby takich błędów, myślałem. Rozumiał, że w wyciąganiu Ameryki z Wielkiego Kryzysu liczy się nie tyle idealne dopracowanie każdej regulacji »nowego ładu«, ile demonstrowanie wiary w to przedsięwzięcie i przekonanie opinii publicznej, że rząd panuje nad sytuacją. Wiedział także, że ludzie w kryzysie potrzebują narracji, która uzasadni ich trudy i przemówi do ich emocji. Prostej historii z morałem, w której można wyraźnie odróżnić dobrych od złych". Są one wprawdzie wyrazem frustracji prezydenta przygniecionego przez spadające sondaże i bezwład politycznych instytucji, ale doskonale oddają ducha pamiętników Obamy i przewrotny sens nadanego im tytułu.

Jest w tym cytacie szczypta historii symbolizowana przez Roosevelta – jednego z idoli Obamy, człowieka, który stawił czoło Wielkiemu Kryzysowi i machinie niemieckiego nazizmu. Jest też odważny plan polityczny i jego uproszczony obraz w zbiorowej wyobraźni. Zderzenie niezwykle skomplikowanego świata pełnego złożoności historycznej, geograficznej, ekonomicznej i społecznej z ludzkim pragnieniem prostej narracji, w której dobrzy są dobrzy, a źli – źli.

Dla cierpliwych

Opowieść Obamy zorganizowana jest wokół szeregu obrazów przepaści, przekraczania granicy czy pokonywania dystansu. Lina czy droga, której obraz nieustannie powraca w pamiętniku Obamy, łączy ze sobą dwa światy. Ten, który jest, i ten, który być powinien. Rzeczywistość i marzenia. Pytanie o to, jak pokonać tę przepaść i uczynić świat lepszym, jest kluczowym wyzwaniem progresywnej filozofii politycznej.

Postęp ma wiele wymiarów. Jest prosty postęp ekonomiczny mierzony poziomem zamożności, ale też znacznie trudniejszy do zmierzenia postęp wrażliwości, którego wyrazem jest m.in. emancypacja wykluczonych grup społecznych czy zmiana podejścia do środowiska naturalnego. Jeżeli chcemy przetrwać – wieszczy Obama – nasz rozwój moralny musi nadążać za rozwojem technologicznym.

Jest to tym trudniejsze, że dzieje postępu rozpisane są nie na pojedyncze kadencje, choćby prezydenckie, lecz na długie dziesięciolecia. Narzędziem takiego stopniowego postępu jest dla Obamy demokracja. Ze wszystkimi swoimi wadami, aż nadto oczywistymi dla człowieka, który przez osiem lat musiał mierzyć się z trybami waszyngtońskiej biurokracji: „Demokracja nie sprzyja rewolucyjnym skokom czy wielkim przewrotom kulturalnym, nie ma naprawić każdej patologii społecznej czy udzielić wiekopomnych odpowiedzi na pytania tych, którzy poszukują w życiu celu i sensu. Jej istotą jest przestrzeganie zasad pozwalających uzgadniać lub choćby tolerować różnice między nami i tworzenie polityki, dzięki której standard życia i edukacji rośnie na tyle, by pohamować nasze najbardziej prymitywne instynkty". Tylko tyle i aż tyle.

Niestety, kiedy postęp ekonomiczny zwalnia, gdy wybuchają kryzysy, gdy złożoność świata daje o sobie znać nazbyt boleśnie – owe instynkty natychmiast dochodzą do głosu. Ich wyrazicielami często stają się właśnie ci, którzy proponują świat prostych rozwiązań i kuszące niecierpliwych alternatywy dla demokracji.

„W niepewnych czasach wezwanie do jedności religijnej i etnicznej może zawrócić ludziom w głowach" – przestrzegał Obamę Manmohan Singh, sędziwy premier Indii. Od Czech, przez Rosję Putina i Miedwiediewa, aż po Indie – Obama opisuje, jak niezbywalna złożoność świata stawała się pożywką dla tych, którzy proponowali proste rozwiązania udrapowane w narodowe flagi, religijne symbole i ideologiczne totemy.

Sprawczość i niemoc

Polscy widzowie wychowani na amerykańskich serialach medycznych często wyobrażają sobie tamtejszy system opieki zdrowotnej jako raj dla pacjentów. Szybkość działania, oddanie lekarzy i dostępność najnowszych technologii... Choć kwestia ograniczonego zakresu ubezpieczeń i dodatkowych kosztów zaczyna grać coraz istotniejszą rolę w *medical dramas*, to jednak zwykle w toku akcji schodzi na dalszy plan wobec błyskotliwych diagnoz i nieoczekiwanych zwrotów akcji.

Tymczasem najskuteczniejszym zabójcą Amerykanów nie są zawały ani nowotwory, lecz brak dostępu do świadczeń zdrowotnych. W Stanach Zjednoczonych nie funkcjonuje system powszechnych ↦

↦ ubezpieczeń zdrowotnych z modelem pojedynczego płatnika, a więc odpowiednik naszego NFZ, na który tak lubimy narzekać. Każdy obywatel we własnym zakresie lub przez pośrednictwo pracodawcy wykupuje u prywatnego ubezpieczyciela pakiet najlepiej dopasowany do swoich możliwości i potrzeb. Brzmi świetnie?

W praktyce to rozwiązanie prowadzi do licznych patologii. Po pierwsze, utrata pracy lub tarapaty finansowe oznaczają brak ubezpieczenia. Po drugie, prywatni ubezpieczyciele doliczają solidną prowizję. Po trzecie, chętnie ubezpieczają pacjentów o niskim ryzyku, jak ognia unikając tych, którzy z ubezpieczenia będą korzystać często. Po czwarte, usługi świadczone w ramach ubezpieczenia mogą być w różny sposób ograniczone – standardem jest dodatkowa opłata z własnej kieszeni za każdą wizytę, limity kwotowe czy wyłączenie spod ubezpieczenia określonych zabiegów.

W rezultacie na początku pierwszej kadencji prezydenta Obamy 18 proc. dorosłych Amerykanów było pozbawionych ubezpieczenia zdrowotnego. Oczywiście w tej grupie przeważali najsłabsi: reprezentanci mniejszości rasowych, osoby o niższych dochodach, mieszkańcy ubogich regionów poprzemysłowych. Po kryzysie finansowym odsetek nieubezpieczonych wśród młodych dopiero wchodzących na rynek pracy (19-25 lat) wynosił przerażające 30 proc. Ponad czterdzieści milionów ludzi w sytuacji wypadku czy choroby musiało wybierać: czekać, aż mi przejdzie, czy narażać się na niewyobrażalne koszty? Życie ubezpieczonych też nie zawsze naśladowało serialowe szczęśliwe zakończenia. Nieekonomiczny system sprawiał, że za każdego dolara wydanego na opiekę zdrowotną w USA otrzymywało się znacznie mniej niż w innych rozwiniętych krajach.

Wydawałoby się, że wobec tych powszechnie znanych, alarmujących danych ambitny projekt reformy przedstawiony przez Obamę zyska szerokie poparcie i gładko przejdzie przez kolejne etapy procesu legislacyjnego. Tymczasem próba zmiany *status quo* zderzyła się ze zmasowaną kampanią lobbystów, ostrym sprzeciwem republikańskich oponentów oraz chciwością demokratycznych kongresmenów i senatorów proponujących dodatkowe zapisy, które zapewniłyby im przychylność lokalnych wyborców i bogatych donatorów. W rezultacie projekt rozrósł się do 1700 stron pełnych wyjątków, wyłączeń i zwolnień. Jednocześnie wielu Amerykanów, kompletnie wbrew faktom, udało się przekonać, że prezydent socjalista chce im ograniczyć wachlarz świadczeń, odebrać ulubionego rodzinnego lekarza i zabrać słynną amerykańską wolność.

I właśnie wtedy, w samym środku parlamentarnej batalii, nastąpiło kluczowe wydarzenie, które zmieniło cały bieg prezydentury Obamy. Nie była nim ani wojna, ani katastrofa naturalna, ani nawet spektakularna gafa, lecz przegrane wybory uzupełniające w niewielkim stanie Massachusetts rozpisane po śmierci senatora Teda Kennedy'ego (o ironio, patrona reformy zdrowotnej Obamy) w 2009 r. Klęska w Massachusetts sprawiła, że Demokraci stracili jednomandatową przewagę umożliwiającą przełamywanie obstrukcji senackiej i przegłosowywanie ustaw. Teraz do przeprowadzenia procesu legislacyjnego niezbędna była współpraca nie tylko wszystkich bez wyjątku Demokratów (każdy mógł szantażować prezydenta, wymuszając kolejne inwestycje w swoim stanie), ale też kogoś z przeciwnej strony politycznej barykady. Z dnia na dzień łódź kapitana Obamy niemal całkowicie straciła sterowność.

„Najpotężniejszy człowiek na Ziemi" – tak dziennikarze mówią czasem o prezydencie USA, żeby uniknąć powtórzeń. Pamiętnik Obamy również w tym kontekście dostarcza materiału do przemyśleń. Za lokatorem Białego Domu (kolejny popularny synonim) nosi się wprawdzie walizkę umożliwiającą zdalne rozpoczęcie ataku nuklearnego, a jednak możliwości zainicjowania zza biurka w Gabinecie Owalnym czegoś naprawdę dobrego bywają zaskakująco ograniczone.

„Ziemia obiecana" opowiada o sztandarowych projektach prezydenta. Wyprowadzenie amerykańskich wojsk z Iraku, uzdrowienie sektora finansowego po kryzysie, zmiana przepisów imigracyjnych, walka z globalnym ociepleniem czy opisana wyżej batalia o zmianę modelu opieki zdrowotnej. Za każdym razem niezwykle ambitne cele i kampanijne zapowiedzi – owe marzenia, których powodziowa fala wyniosła młodego senatora z Chicago na sam polityczny szczyt – rozbijały się o zaporę zastanych ograniczeń, politycznych kalkulacji i potężnych grup wpływów.

Ostatecznie dzięki skomplikowanym sztuczkom legislacyjnym udało się wprowadzić w życie mocno ograniczoną wersję ustawy Patient Protection and Affordable Care Act, znanej szerzej pod ukutą przez przeciwników politycznych nazwą Obamacare. W jej wyniku liczba nieubezpieczonych zmalała niemal o połowę, a ubezpieczyciele nie mogą już odmawiać transakcji m.in. osobom posiadającym wcześniej zdiagnozowane schorzenia.

Na pokaz i za kulisami

„Podwodna transmisja zmieniła obraz rzeczy" – pisze Obama, wspominając eksplozję platformy Deepwater Horizon. To największa katastrofa ekologiczna w historii USA, w wyniku której do Zatoki Meksykańskiej wyciekło 780 milionów litrów ropy: „Wznoszące się kolumny nafty wyglądały jak niepowstrzymane złowieszcze wyziewy z piekła. Kanały informacyjne zaczęły emitować podwodną transmisję non stop w okienku rogu ekranu, a obok niej – cyfrowy zegar z liczbą dni, minut i sekund od początku wycieku. (...) Obrazy podwodnego naftowego gejzeru wraz z gwałtownie rosnącą liczbą przebitek telewizyjnych na pokryte ropą pelikany unaoczniły ludziom rozmiar kryzysu znacznie skuteczniej niż liczby". To ważna lekcja życia, którą Obama odebrał podczas kampanii i pierwszej kadencji. Dane, liczby i merytoryczne argumenty niewiele znaczą wobec zniewalającej potęgi nasyconego emocjami obrazu.

Takim obrazem szybko został sam Obama. Jego codzienne poczynania i decyzje stały się przedmiotem spektaklu, ochoczo podchwyconego przez media. Młodego czarnoskórego polityka uczyniono symbolem, na który niezliczeni widzowie projektowali najpierw swoje własne marzenia, nadzieje i pragnienia, a wkrótce także – lęki i frustracje. Najpierw Obama był żywym dowodem na to, że wszystko jest możliwe. Jeszcze nie zaczął, a już dostał pokojowego Nobla. Później coraz częściej stawał się przykładem tego, jak niewiele może zdziałać jednostka.

W pełnej dramatycznych wydarzeń książce, na kartach której opisywani są ranni weterani, ofiary zamachów i pacjenci umierający z powodu braku ubezpieczenia, niezwykłe wrażenie zrobił na mnie opis kolejnych spotkań Obamy ze starymi znajomymi i dalszymi członkami rodziny odwiedzającymi Biały Dom na

początku drugiego roku prezydentury. Jeden po drugim bliscy mu ludzie wyrażali zaskoczenie tym, jak dobrze wygląda. „Wcale się tak nie postarzałeś!", „Wyglądasz zaskakująco dobrze!". Chwilę trwało, nim Obama uświadomił sobie, że przez ostatnie miesiące przyjaciele widzieli go głównie w telewizji. Informacje o kolejnych katastrofach, spadającym zaufaniu i politycznych niepowodzeniach nieodmiennie ilustrowane były przebitkami na prezydenta zmęczonego, smutnego, przygarbionego i niekorzystnie oświetlonego. Publiczna persona całkowicie oderwała się od rzeczywistego Obamy, utrwalając ten obraz w oczach milionów wyborców.

Obama ukazuje nam świat trwającej nieustannie kampanii wyborczej, w którym przypadkowy drobny gest może stać się telewizyjnym przebojem i źródłem bezcennych sondażowych procentów. Jednocześnie kluczowe zwycięstwo polityczne może pozostać zupełnie niezauważone, bo choć przeprowadzona z mozołem ustawa zmieni życie milionów Amerykanów, to jej przedmiot jest zbyt skomplikowany i techniczny, by zainteresował widzów-obywateli. W Białym Domu tego samego dnia możesz odnieść wielki sukces, o którym nikt nie będzie wiedzieć, i popełnić drobną gafę, która zrujnuje poparcie dla ciebie. Prezydent jest nieustannie oceniany, często na podstawie wydarzeń, na które nie ma wpływu, jak odziedziczony po poprzedniku kryzys finansowy czy katastrofa naturalna.

Jedność i podział

Wśród przepaści, o których traktuje książka Obamy, ta jest pod wieloma względami najważniejsza. To ziejąca czeluść politycznej polaryzacji dzielącej Amerykę na dwa wrogie plemiona, mające coraz mniej ze sobą wspólnego.

Od nieszczęsnej porażki w Massachusetts Republikanie postawili na drodze Obamy mur, konsekwentnie torpedując wszelkie wysiłki mające na celu reformowanie kraju. Co gorsza, demokratyczni sojusznicy bardziej interesowali się własnymi korzyściami niż długofalowymi projektami zmian. Im staranniej wyreżyserowana była polityka robiona na scenie, tym więcej prywaty, przepychanek i przypadkowości pojawiało się za kulisami. Opis każdego kolejnego wielkiego projektu Obamy szybko zmienia się w katalog przysług, jakich kongresmeni i senatorzy żądali w zamian za swój głos. Ambitne plany szybko traciły rozmach, rozmienione na drobne w senackich kuluarach: „Czasami czułem się jak rybak w Hemingwayowym opowiadaniu »Stary człowiek i morze«, który próbuje doholować do brzegu zdobycz obgryzaną przez rekiny".

> W Białym Domu tego samego dnia możesz odnieść wielki sukces, o którym nikt nie będzie wiedzieć, i popełnić drobną **gafę, która zrujnuje poparcie dla ciebie.**

Czy w tej sytuacji da się być „prezydentem wszystkich Amerykanów"? W świecie skrajnie spolaryzowanej polityki nic nie jest jednoznaczne. Ocena każdego wydarzenia zależy od tego, po której stronie barykady się znajdujemy. Żadne zwycięstwo nie jest po prostu zwycięstwem. Z wyjątkiem zabicia Osamy bin Ladena. „Czy taka jedność wysiłków i poczucie misji może nas połączyć dopiero wtedy, gdy polujemy na terrorystę? To pytanie nie dawało mi spokoju" – czytamy w ostatnim rozdziale książki poświęconym imponującej akcji służb specjalnych. Po opublikowaniu wiadomości o zabiciu terrorysty numer jeden cała Ameryka eksplodowała radością.

Z relacji Obamy wynikałoby wręcz, że był on jedyną osobą między Pacyfikiem i Atlantykiem, która się nie ucieszyła: „Zacząłem się zastanawiać, jak wyglądałaby Ameryka, gdyby nasz naród potrafił się tak samo zjednoczyć, aby wezwać rząd do równie fachowego, zdeterminowanego działania, gdy chodziło o edukację dzieci czy zapewnienie domów bezdomnym, co polowanie na bin Ladena. Gdybyśmy potrafili z jednakowym uporem, angażując równie wielkie środki, walczyć z biedą, redukować emisje gazów cieplarnianych albo zapewniać rodzinom dobre przedszkola. Wiedziałem, że nawet mój własny sztab uznałby takie wizje za utopijne. Nie potrafiliśmy już sobie wyobrazić zjednoczenia kraju wokół jakiejkolwiek innej sprawy niż udaremnianie zamachów czy zwalczanie wrogów, co odczytywałem jako miarę tego, jak dalece moja prezydentura nie odpowiadała moim wyobrażeniom na jej temat – i ile jeszcze pracy mnie czekało".

Literacki i pokojowy

„Wielkie wydarzenia historii rozpięte na wątku osobistych doświadczeń jednostki" – oto przepis na idealną biografię opracowany przez Daniela Defoe. To sformułowanie stało się słynne po tym, jak Winston Churchill przywołał je we wstępie do swoich wojennych wspomnień. Obama podąża tą samą drogą, a jego pamiętniki zachęcają do tego, by na kwestię sprawczości jednostki w historii spojrzeć z nowej perspektywy. Za pośrednictwem swoich wspomnień może nam zaproponować fotel w pierwszym rzędzie w teatrze dziejów.

Obcując z prozą Obamy miałem poczucie, że dawno nie czytałem nic równie dobrego. Po „Ziemi obiecanej" Obama stał się dla mnie poważnym kandydatem do pójścia w ślady Churchilla właśnie i zgarnięcia literackiej nagrody Nobla. Niewątpliwie byłaby bardziej zasłużona od tej pokojowej, której odbiór były prezydent w swojej autobiografii kwituje krótko: „Za co?".

Także i w tym zderzeniu dwóch Nobli dostrzec można opowieść o przekraczaniu przepaści. Od początku politycznej kariery Obama był przede wszystkim tym, który snuje piękne opowieści. Opowiadanie o świecie też jest formą jego zmieniania. Opowieści poprzedzają zmianę, kształtują horyzont oczekiwań, wyznaczają granice tego, co wydaje się możliwe. To dzięki talentowi do opowieści Obama był w stanie rozbudzić w wyborcach nadzieję, zainspirować miliony swoich rodaków i rzesze odbiorców na całym globie.

Trzeba przypomnieć naukowcom, aktywistom i politykom na całym świecie, że potrzebujemy dobrych opowieści jak nigdy dotychczas. Tylko opowieści mogą nas dziś uratować.

© MARCIN NAPIÓRKOWSKI

Barack Obama
„ZIEMIA OBIECANA"
przełożył Dariusz Żukowski, Agora, Warszawa 2021.

JAN HUBAČEK / MATERIAŁY PRASOWE

Irena i Vojtěch Havlowie, marzec 2021 r.

Kompas z ciszy

JAN BŁASZCZAK

Zarabiali grając na ulicy. Tak się spodobali jednej ze słuchaczek, że kupiła dwie ich płyty dla młodszego brata. Ten, po kilkunastu latach, już jako gwiazda rocka, zaprosił ich na tournée po USA.

Ponad trzydzieści lat temu, sięgając po muzykę dawną, minimalizm i folk, Irena i Vojtěch Havlowie zaczęli rozwijać swój muzyczny język. Od tego czasu ich kraj zmienił ustrój i granice, przemijały mody, a oni sami bywali i w centrum wydarzeń, i na bocznym torze. Nigdy jednak nie zeszli z kursu. Wydana właśnie kompilacja „Melodies In The Sand" stanowi świetną okazję, by pójść za nimi tą niezwykłą drogą.

Poznali się na studiach w Pradze. Nie zwlekali z decyzją, by wspólnie grać i wspólnie żyć. Była pierwsza połowa lat 80., kiedy ona przyjęła nazwisko młodego absolwenta konserwatorium muzycznego, godząc się tym samym na drobne nieprzyjemności.

– Kilkakrotnie zdarzało się, że ktoś chciał odwołać nasz występ, bo na plakacie napisano „Havlowie" – wspomina kompozytor Vojtěch Havel. – Nie było lepiej, gdy byliśmy podpisani „I.V. Havlowie", bo to kojarzyło się ludziom jednoznacznie z braćmi Ivanem i Václavem, wiadomo.

Czechosłowackie służby tylko traciły czas, ponieważ ci Havlowie szukali wyjścia z ponurej szarzyzny tamtej epoki w zupełnie inny sposób niż przyszły prezydent Republiki. Klasycznie wykształcony Vojtěch grywał w zespołach jazzowych i rockowych, ale najbardziej pociągała go muzyka dawna, którą zgłębiał wraz z prekursorskim w skali kraju ansamblem Musica Antiqua Praha. Zachwycony twórczością mistrzów doby renesansu czy baroku, z zapałem studiował ówczesne techniki wykonawcze. Problemem był instrument. Jako wykształcony wiolonczelista Havel marzył o violi da gamba, których w Czechosłowacji nie było.

– Jedyną możliwością było kupienie tego instrumentu w NRD i przemycenie go do kraju – wspomina muzyk. – Pamiętam dobrze naszą samochodową wyprawę do mistrza Langhammera i nocny przejazd przez granicę. Violę trzymaliśmy pod nogami.

Havel musiał się kryć także z drugim zespołem, w którym w tym czasie grywał. W repertuarze skupiającej się na muzyce współczesnej Agon Orchestry znajdowały się kompozycje twórców amerykańskich: George'a Crumba, Steve'a Reicha czy Philipa Glassa. Utwory nieobecne w bibliotekach szkół muzycznych – nie mówiąc o mediach – młodzi wykonawcy znali z przegrywanych w nieskończoność taśm. Ich praskie wykonania organizowali potajemnie, by uniknąć cenzury.

Choć kompozycje prezentowane przez te dwa zespoły dzieliły setki lat, łączyły je wymagania, jakie stawiały przed wykonawcą – nienagannego warsztatu, bezwzględnej wierności wobec tabulatury czy partytury. Havel uznał wtedy, że brakuje mu przestrzeni na osobistą ekspresję i artystyczną wolność. Chciał też pracować z żoną, która podzielała jego muzyczne fascynacje, ale nie miała klasycz-

nego wykształcenia. Wspólnie zawiązali więc ansambl Capella Antiqua e Moderna stanowiący naturalną kontynuację wcześniejszej drogi Havla. Ten zespół, przez który przewinęło się około siedemdziesięciu instrumentalistów, wykonywał przede wszystkim autorskie kompozycje, a w jego koncertowych programach inspiracje muzyką dawną mieszały się z awangardą.

– Bardzo podobało nam się takie przeskakiwanie pomiędzy epokami – wspomina Havel. – Znajdowało odzwierciedlenie w instrumentarium: my graliśmy na violach da gamba, ktoś na szałamajach czy starych fletach, a do tego pojawiał się kontrabas, pianino, ale też tabla czy gongi. Punktem wyjścia dla wielu kompozycji była dostępność instrumentalistów. Ustalaliśmy, kto będzie mógł wziąć udział w nadchodzącym koncercie, i pod taki skład pisaliśmy muzykę.

Instrumentarium rodem z południowo-wschodniej Azji współgrało z duchowymi poszukiwaniami małżeństwa; Havlowie już wtedy nawiązali bliską relację z pochodzącym z Radżastanu joginem, który odwiedził Pragę. Wówczas nie wyobrażali sobie, że za kilka lat złożą mu rewizytę.

Minimalizm ery twórczego chaosu

Zmiany ustrojowe wpłynęły na karierę Havlów na wiele sposobów. Z gruntu niekapitalistyczny twór, jakim była Capella Antiqua e Moderna, prędko przestał istnieć. Okazało się, że grupa mogła funkcjonować jedynie w realiach zamkniętych granic i braku perspektyw na indywidualny sukces. W nowym ustroju artyści szybko wzięli sprawy w swoje ręce, stawiając na indywidualny rozwój, ruszając w trasy, emigrując – realizując cele dotychczas nieosiągalne. Lata 90. naznaczyła eksplozja kreatywności, spontaniczności, przybierającej niejednokrotnie formę twórczego chaosu. Oferującego niespotykane możliwości zamętu, który trwał latami, dopóki fonograficzni giganci z Zachodu nie uporządkowali nowego rynku zgodnie z biznesowymi prawidłami.

W twórczości Havlów z tego okresu wciąż słychać echa muzyki dawnej czy minimalizmu. Rewolucja polegała więc nie na zmianie estetyki, lecz personelu.

– W latach 80. imponowało nam to potężne brzmienie Capelli i nieskończone możliwości, jakie oferował taki skład – tłumaczy Havel. – Kiedy jednak gra zespołowa zaczęła ustępować indywidualizmowi, zaczęliśmy grać we dwoje. To był naturalny zwrot, bo z Ireną zawsze świetnie się rozumieliśmy. Muzyka to część naszego wspólnego świata.

Aby nie utracić możliwości brzmieniowych, jakie dawał poprzedni zespół, Havlowie zaczęli uczyć się gry na kolejnych instrumentach. Już na wydanej w 1990 r. płycie „Háta H." duet sięgnął po kilkanaście instrumentów. Dwóm violom da gamba towarzyszyły m.in. dźwięki pianina, wiolonczeli, kotłów czy tybetańskich mis. Przede wszystkim jednak na tej płycie słyszymy głos Ireny Havlovej – najczęściej w postaci krótkich wokaliz, ale zapowiadał on rosnące zainteresowanie małżeństwa formami bliższymi piosence.

– Inspiracją była dla nas wcześniejsza współpraca z poetą i gitarzystą Oldřichem Janotą. Począwszy od albumu „Háta H." Irena zaczęła pisać coraz więcej tekstów, które zazwyczaj mają formę zbliżoną do haiku – krótkie obrazy przyrody.

Przez lata 90. Havlowie w zasadzie co roku wydają kolejne płyty. Czasem zawierają one bardziej piosenkowy repertuar („Něžně ke světlu"), innym razem stanowią świadectwo fascynacji tradycyjną muzyką Radżastanu czy jawajskim gamelanem. Duet jeździ po całym świecie, współpracując z praskim Teatrem Archa i twórcami z kręgu tańca nowoczesnego. Irena i Vojtěch podróżują też do Indii, gdzie nie tylko odwiedzają swojego dawnego mistrza, ale także kręcą filmy dokumentalne. Poza tym współpracują z radiem i telewizją. I nawiązują okazjonalne kontakty z zagranicznymi dziennikarzami i bookerami.

– Mam wrażenie, że na początku lat 90. zachodnie media były autentycznie zainteresowane twórczością z naszej części świata – tłumaczy Havel. – Ciekawiło ich, co się kryło za tą żelazną kurtyną. Poza tym Praga szybko stała się popularna wśród obcokrajowców. Wielu turystów z Ameryki czy Wielkiej Brytanii zaglądało do tutejszych sklepów z płytami w poszukiwaniu interesujących czeskich nagrań, które mogliby zabrać do domu.

Po latach jedna taka płyta zapewniła Havlom niespodziewany rozgłos.

Wdzięczność młodszego brata

Albumem, który zwrócił uwagę krytyki na twórczość Havlów, było wydane w 1991 r. „Malé modré nic". Płyta ukazała się nakładem niewielkiej wytwórni, ale była szeroko dystrybuowana za granicą. Jej największy rzecznik nie otrzymał jej jednak w wyniku działań marketingowych z prośbą o recenzję lub emisję w radio. Trudno, aby tak było, skoro miał wówczas czternaście lat.

– Zaraz na początku lat 90. mieliśmy w planach podróż do Indii, ale brakowało ↦

Irena i Vojtěch Havlowie, 1992 r.

NANCY BLACK / MATERIAŁY PRASOWE

↦ nam pieniędzy – wspomina Havel. – Pojechaliśmy więc do Holandii, aby trochę zarobić, grając na ulicy. Traf chciał, że w tym czasie starsza siostra Bryce'a Dessnera studiowała tam taniec. Nasza muzyka bardzo jej się spodobała, więc kupiła od nas dwie płyty, które po powrocie do domu sprezentowała czternastoletniemu bratu.

Dziesięć lat później ten młody chłopak rozpoczął błyskotliwą karierę muzyczną. Jako gitarzysta popularnego rockowego zespołu The National szybko zapracował na status gwiazdy. Dał się również poznać jako zdolny kompozytor muzyki współczesnej. Pomimo licznych sukcesów i kalendarza wypełnionego koncertami Dessner nie zapomniał o enigmatycznej dwójce z Czech, która – jak twierdził – zainspirowała go do obrania muzycznej ścieżki. Kilkanaście lat po otrzymaniu pamiętnego prezentu Amerykanin zaprosił Havlów na tournée po Stanach Zjednoczonych. Jego kulminacją był występ na festiwalu MusicNOW w Cincinnati, gdzie duet dzielił scenę z gwiazdą amerykańskiego folku – Sufjanem Stevensem.

Po tej trasie Dessner pomagał Havlom jeszcze kilkakrotnie. Np. wysyłając kopię płyty „Malé modré nic" swojemu przyjacielowi – francuskiemu reżyserowi Vincentowi Moonowi, specjalizującemu się w dokumentach muzycznych. Zachwycony twórczością czeskiego duetu filmowiec wybrał się do Pragi, gdzie nakręcił „Little Blue Nothing". Rok później na płycie „Aheym", napisanej z myślą o Kronos Quartet, Dessner złożył hołd Havlom kompozycją „Little Blue Something".

Możliwe, że pośrednio dzięki staraniom gitarzysty The National twórczość Czechów poznał podczas wizyty w Nowym Jorku holenderski producent muzyki elektronicznej i wydawca – Johnny Nash.

– Momentalnie wessało mnie w ich świat: wyciszony, przestrzenny, w niezwykły sposób operujący czasem – tłumaczy szef wytwórni Melody As Truth. – Usłyszałem artystów niezwykle zaawansowanych w swojej delikatnej ekspresji.

Tak jak wcześniej Moon, Nash również zarezerwował bilet do Pragi i poleciał na spotkanie z Havlami. W rezultacie otrzymał pełen dostęp do ich muzycznego katalogu i zgodę na wydanie archiwalnej kompilacji: – To był bardzo długi proces, bo samo przesłuchanie tych nagrań zajęło mi prawie rok. Początkowo myślałem, że wydam wznowienie którejś z ich płyt, ale materiału było tak dużo, że pomysł ewoluował w stronę składanki. Dzięki niej chciałbym wprowadzić słuchacza w niezwykły świat Havlów.

Płyta „Melodies In The Sand" świetnie wywiązuje się z tego zadania. Wśród dziesięciu zebranych na niej kompozycji znajdziemy utwory instrumentalne i takie, w których słyszymy śpiew Ireny Havlovej. Choć przeważają tu utwory nagrane w duecie, znalazło się też miejsce dla dwóch nagrań autorstwa Capella Antiqua e Moderna: pierwsze z nich kończy poruszająca wokaliza rodem z katalogu brytyjskiej wytwórni 4AD, drugie niski, wygrywany na fagocie drone, którego nie powstydziłby się Jóhann Jóhannsson. Ponury minimalizm rozpisany na instrumenty smyczkowe dopełniają liryczne miniaturki na pianino w duchu Harolda Budda.

Kompilacja zebrała entuzjastyczne recenzje w prasie, włączając w to najbardziej poczytne anglojęzyczne media muzyczne. Tak jak zaproszenie od Dessnera, pojawiają się one z pewnym opóźnieniem, bo Havlowie dobrych kilka lat temu porzucili nagrywanie albumów i obecnie koncentrują się na tworzeniu muzyki filmowej. W 2017 r. „Krzyżaczek" Václava Kadrnki ze ścieżką dźwiękową ich autorstwa zdobył główną nagrodę na Międzynarodowym Festiwalu w Karlowych Warach. Po takim sukcesie reżyser zaprosił muzyków do współpracy przy następnej fabule, której premiera została przesunięta ze względu na pandemię. Skomplikowało to sytuację artystów, którzy już wcześniej wyprowadzili się do małego miasteczka na Morawach – rodzinna Praga stała się dla nich zbyt droga. Havel nie ma jednak wątpliwości, że jest to niewielka cena za możliwość konsekwentnego podążania swoją drogą.

– Mamy to ogromne szczęście, że przez całe życie zajmujemy się jedynie muzyką. Owszem, bywały okresy, kiedy w ogóle nie mieliśmy pieniędzy, ale ostatecznie zawsze dawaliśmy sobie radę. Najważniejsze jest to, że działamy po swojemu. Że pozostajemy skoncentrowani na tym, co naprawdę ważne.

© JAN BŁASZCZAK

W stanie podejrzenia

MACIEJ TOPOLSKI

Autorzy w podziwu godny sposób odtworzyli funkcjonowanie aparatu władzy. Sprawowanej przy użyciu aparatu fotograficznego.

Beata Bartecka i Łukasz Ruszniica w tytule swojej książki fotograficznej stawiają pytanie „How to Look Natural in Photos", czyli „Jak wyglądać naturalnie na fotografiach". Tytuł pasuje raczej do poradnika dla osób zainteresowanych karierą w modelingu, nie zaś do archiwów wizualnych Instytutu Pamięci Narodowej, na których opiera się książka.

Okazuje się, że pytanie jest proste, a jednocześnie przepastne. Bez prostych odpowiedzi.

Zaaranżować doświadczenie

Pokój lub izba w domu, plamy światła kładą się na podłodze, oparciu krzesła. W głębi pomieszczenia stoi mężczyzna, do pasa jest nagi, zakłada koszulę przed lustrem. Obok niego, na podłodze, widać leżące nogi, stopy bez butów, nie wiem, czy należą do śpiących – światło niesie wyczuwalną intensywność i lekkość poranka – czy może jednak do martwych. Fotografia nosi ślady kleju, jakby została skądś wyrwana. Jego białe, kruszące się pozostałości zasłaniają leżących na podłodze i dużą część okna. To pierwsza fotografia.

Na kolejnej widać frezje, na następnych – chłopca z grymasem na twarzy, który siedzi na krześle przy skrzynkach po coca-coli; sejf lub zbrojoną szafę i stertę butów obok; troje ludzi na jakiejś stacji kolejowej (fotografia z numerami 1, 2 i 3 zapisanymi flama-

Album Piława Górna, 1.09.1939–31.10.1942. Izba w drewnianej wiejskiej chacie. Rozebrany do pasa mężczyzna w spodniach od munduru stoi plecami i ogląda się, prawdopodobnie w lustrze. Po lewej na podłodze widać nogi innych leżących żołnierzy.

strem); fotel zarzucony papierami, a przykryty kapą zakończoną frędzlami; wóz z łańcuchem i dwoma trupami, chyba bez głów; siwego mężczyznę stojącego przy drzwiach, tyłem do obiektywu, z palcem w uchu (na plecach ma zapisany flamastrem na fotografii numer 7). I dalej w większości czarno-białe fotografie, po których przechodzi spojrzenie, nieuprzedzone, pozbawione kontekstu, który je później wytłumaczy lub pozwoli zobaczyć inne znaczenia.

Książka wydana przez wrocławski Ośrodek Postaw Twórczych została skonstruowana w sposób niezwykle przemyślany – stanowi przykład świadomości wizualnej rzadko spotykanej wśród polskich artystów pracujących z archiwami. Świadomości projektującej – począwszy od tytułu, przez opis na stronie wydawcy, aż po wybór zdjęć i tekstów – całe doświadczenie.

Publikacja przygotowana przez Beatę Bartecką i Łukasza Rusznicę została podzielona na trzy części. Pierwsza zawiera 147 zdjęć (w niektórych przypadkach są to dwie nakładające się na siebie fotografie, w innych dziesiątki lub setki tworzących wspólny obraz), druga – „oryginalne opisy towarzyszące zdjęciom w archiwum Instytutu Pamięci Narodowej – Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, wykonane przez pracowników tej instytucji", trzecia – specjalistyczny tekst Tomasza Stempowskiego poświęcony archiwom wizualnym policji politycznej PRL w latach 1944–1989. Każda część została wydrukowana na innym papierze: pierwsza na gładkim i spulchnionym, druga na przypominającym gramaturą i przezroczystością gazetę codzienną, trzecia na papierze twardym i sztywnym jak teczka.

To jest całość niebędąca wyłącznie zbiorem obrazów i tekstów przeznaczonych do oglądania i czytania, ale przedmiotem wymagającym od odbiorcy konkretnego użycia, a nawet współpracy. Warto zatem podjąć lekturę od początku i w najdosłowniejszym sensie: od imion i nazwisk autorów przejść do pytania postawionego w tytule, a następnie do fotografii i dalej do indeksu oraz tekstu Stempowskiego. Podobny „mechanizm" użyty został zresztą przy okazji wystawy „Jak fotografować? – wystawa zdjęć z archiwum IPN" otwartej na początku 2015 r. we wrocławskiej galerii Miejsce przy Miejscu, a będącej punktem wyjścia dla wydanej w 2020 r. książki.

„To wystawa pułapka – twierdził wtedy Łukasz Rusznica, funkcjonujący wówczas jako kurator wystawy, w której przygotowaniu pomagała m.in. Beata Bartecka – ciekawe zdjęcia, może nawet ładne, odsłaniają się dopiero wtedy, gdy jasne staje się to, dlaczego zostały zrobione".

Widz otrzymywał odpowiedź dopiero po „dotarciu do ostatniej, ukrytej w osobnym pomieszczeniu fotografii", wtedy dostawał, jak pisała Anka Herbut: „faktograficzną instrukcję obsługi w postaci wysuszonego, przezroczystego stylistycznie i czysto informacyjnego opisu. Dokładnie takiego, jaki mógłby przeczytać w materiałach zgromadzonych w archiwum IPN".

Mechanizm zaprojektowany w ten sposób pozwolił odbiorcy doświadczyć na własnej skórze tego, w jaki sposób tworzone są znaczenia fotografii, jak spojrzenie nieuprzedzone przemienia się w spojrzenie władzy. ↦

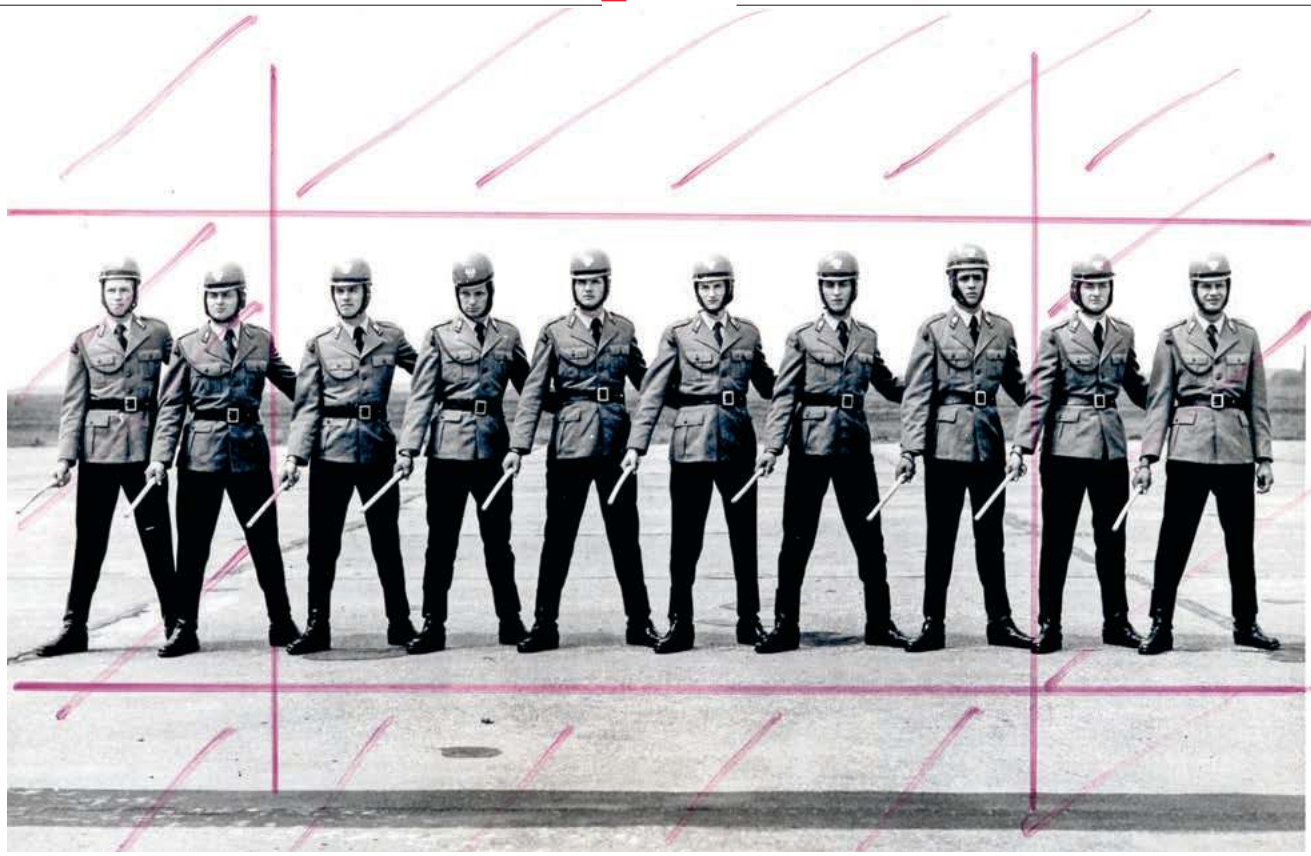

Spojrzenie władzy

↦ Fotografia mężczyzny przed lustrem okazuje się pochodzić – według indeksu – z albumu „Piława Górna 1.09.1939 – 31.10.1942", mężczyźni widoczni na zdjęciu to żołnierze. Nie są martwi, śpią. Zdjęcie frezji posiada sygnaturę archiwalną IPNKr-15-10-1-1. Chłopiec pilnuje pustych skrzynek w trakcie uroczystości pogrzebowych zmarłego prymasa Polski księdza kardynała Stefana Wyszyńskiego (koniec maja 1981).

Dalej – zdewastowana w trakcie Poznańskiego Czerwca szafa pancerna, po „prawej stronie szafy częściowo widoczny najprawdopodobniej stolik". Fotografia trzech osób z numerami wpisanymi flamastrem została wykonana z ukrycia w ramach obserwacji osób o kryptonimach „Sas" (ks. Antoni Bachowski) i „Lidia" (kobieta w jasnym płaszczu po lewej – Lidia Smaga). Fotel przykryty kapą z frędzlami – fotografia wykonana w trakcie „Przeszukania mieszkania Stanisława Śniega, zaangażowanego w kolportaż nielegalnych wydawnictw". Zdjęcie ciała na wozie pochodzi z albumu SS-Oberscharführera Hermanna Baltruschata (pracownika aparatu represji średniego szczebla na terenach podbitych w latach 1939–1943); po lewej widać zwłoki Wilhelma Czarneckiego, po prawej Piotra Sanda. Mężczyzna z palcem w uchu to Mieczysław Ślasko, członek Solidarności, zwany „elegancikiem z Bielawy". Stoi przed drzwiami kościoła w Dzierżoniowie, przy ulicy Świdnickiej 20.

I kolejne fotografie, które odsłaniają znaczenia diametralnie inne od tych uruchomionych przy pierwszym, pozbawionym kontekstu, nieuprzedzonym spojrzeniu. Domagają się również zadania odmiennych pytań, sformułowania odrębnych odpowiedzi. Na przykład: ile fotografii jest przechowywanych w Instytucie Pamięci Narodowej? Zapytana o tę kwestię Beata Bartecka odpowiedziała: „W IPN-ie jest ponad 40 milionów zdjęć, z czego 39 milionów to portrety z paszportów czy dowodów osobistych, tylko część z nich – a jest ona i tak ogromna – została zdigitalizowana".

Dlaczego – to kolejne pytanie – w archiwum Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu pojawia się fotografia bukietu frezji lub drewnianego słupa telefonicznego pośrodku lasu? Dlaczego kwiaty lub słup miały jakiekolwiek znaczenie dla polskiej policji politycznej? Czy były dowodem w sprawie? A jeżeli zostały wykonane przypadkowo, to co składa się na wizualną pamięć narodową? Czy są w niej fotografie mniej i bardziej znaczące? I w jakim sensie znaczące, i jaką rolę odgrywają w tym przypadku opisy zdjęć? Czy mówią nam to, co widzimy, czy co „powinniśmy" widzieć?

Książka „How to Look Natural in Photos" odsłania przestrzeń do refleksji nad dwoma skrajnie różnymi rodzajami spojrzenia. Pierwszy – to spojrzenie nieuprzedzone. Fotografie odsłaniają fascynacje widza, to, co sam chce widzieć, na co zwraca uwagę, jakimi kluczami interpretacyjnymi się posługuje. Fotografia przemienia się w lustro, w którym widz – zamiast rzeczywistości ze zdjęcia – widzi siebie. Drugi rodzaj to spojrzenie władzy, które narzuca konkretne znaczenia, nie uwzględniając pragnień czy potrzeb widza.

Te fotografie – jak przyznaje Łukasz Rusznica w przeprowadzonej w trakcie prac nad książką rozmowie, opublikowanej następnie w czasopiśmie „Postmedium" – „są robione w bardzo konkretnym celu, ujawniają relacje władzy i przemocy, perspektywę czy wizję świata, jaką ta władza posiadała. To zapis »rzeczywistości« widzianej oczami konkretnej struktury władzy". Lustro przestaje odbijać pragnienia i przyzwyczajenia oglądającego, zaczyna je kształtować.

Beata Bartecka i Łukasz Rusznica pracując z ogromnym archiwum wizualnym – dokonując niełatwych wyborów, tworząc nowe powiązania i narracje – odtworzyli w podziwu godny sposób w obrębie trzystustronicowej książki fotograficznej mechanizm funkcjonowania aparatu władzy, czy to należącego do III Rzeszy, czy do Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Jednocześnie uruchomiając szerszą, wykraczającą poza polityczno-historyczny kontekst, krytyczną refleksję nad państwem, które sprawuje władzę nad obywatelami przy użyciu aparatu fotograficznego.

Świat naturalny, świat podejrzany

Co jest naturalnego w zdjęciu czterech, lekko otwartych orzechów włoskich? Czy naturalnie zachowują się dwaj mężczyźni w płaszczach i kapeluszach na peronie dworca PKP w Katowicach, niedługo przed odjazdem pociągu do Gliwic o godzinie 10:25? Czy naturalnie wygląda na fotografii żołnierz, którego zwłoki podtrzymują w pozycji pionowej funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa?

Orzechy wyglądają naturalnie, to znaczy nie budzą żadnych podejrzeń co do tego, że mogą pełnić funkcję, jak podaje opis z archiwum IPN-u, schowków do „ukrywania materiałów szpiegowskich", a dokładnie zegarków. A mężczyźni w kapeluszach i płaszczach na peronie? Ci czują się swobodnie, przebywają w swoim naturalnym środowisku miejskim. To oznacza, że ich obserwacja – fotografie wykonywane są z ukrycia – przebiega bez zarzutu. Z kolei fotografia martwego żołnierza to typowa „fotografia trofeum", przedstawiająca schwytanych przez aparat represji członków oddziałów antykomunistycznej partyzantki.

Jak pisze w zamykającym książkę tekście Tomasz Stempowski: „Na wykonane przez bezpiekę zdjęcia żołnierzy wyklętych [czy partyzantów] trudno się patrzy. Nie dlatego, że przedstawiają zmarłych, ale ponieważ zdradzają, z jaką pogardą ich traktowano. (...) Ciała okradano z butów i części garderoby lub całkowicie odzierano z odzieży i w takim stanie wystawiano na widok publiczny". To właściwe, a więc naturalne dla bezpieki, działanie.

Zresztą w mojej rodzinie miała miejsce zbliżona traumatyczna historia – brat dziadka, Wincenty, działał jako partyzant w lasach na Lubelszczyźnie, w 1946 r. został złapany i zabity przez bezpiekę, jego zwłoki zostały przewiezione na furmance do miasta i wystawione na widok publiczny. Matka (moja prababka) ↦

OD LEWEJ: *Rozkazy, zarządzenia, wytyczne Ministerstwa Spraw Wewnętrznych z lat 1965–1973. Sygnatura: IPN BU 01225/647*

Obserwacja zewnętrzna osób o kryptonimie „Sas" i „Lidia", Opole, 31.03.1959. Na peronie Dworca Głównego PKP w Opolu stoją trzy obserwowane osoby. Od lewej: Lidia Smaga (kryptonim obiektu „Lidia"), ks. Antoni Bachowski (kryptonim obiektu „Sas") oraz Irena Piotrowicz (kryptonim obiektu „Ira"). Na powierzchni obrazu długopisem zaznaczone są numery odnoszące się do obserwowanych osób, od prawej: 2, 1 i 3. Fotografia wykonana z ukrycia (u dołu widoczne zaciemnienie obrazu). Sygnatura: IPNKr-11-5-22-1

Uroczystości pogrzebowe, msze i modlitwy w intencji zmarłego prymasa polski ks. kard. Stefana Wyszyńskiego, 28–31.05.1981. [Na zdjęciu] *Chłopiec siedzący na krześle i pilnujący pustych skrzynek po coca-coli. Sygnatura: IPNBU-3-16-35-147*

Reprodukcje zdjęć dzięki uprzejmości wydawcy. W podpisach zachowano oryginalne opisy źródłowe.

↦ rozpoznała go po granatowej kurtce, a dokładnie po łacie, którą sama mu naszyła, bo twarz była już w rozkładzie. Ze strachu przed konsekwencjami, które mogłyby spotkać żyjących członków rodziny, nie przyznała się, że to jej syn. Przez tydzień po tym wydarzeniu nie ruszyła się z miejsca, odmawiała jedzenia.

Beata Bartecka stwierdza, że fotografie umieszczone w książce w znacznej mierze „wyglądają jak normalne zdjęcia: portrety, zwykłe obiekty, sytuacje na ulicach, jakieś krajobrazy. Jest jednak cała świadomość konsekwencji, które doprowadziły do powstania danej fotografii. I nie chodzi tutaj o wielkie narracje czy historię przez wielkie »H«. Wiele jest tutaj mikrohistorii, czasami w obrazach bardzo niewinnych. Ot, zdjęcie z imprezy rodzinnej czy spotkania znajomych przy ognisku. Jest jednak świadomość, że ktoś to sfotografował albo zabrał z prywatnego albumu i przekazał służbom, czyli działał na szkodę swoich bliskich". W ujęciu autorów książki naturalność z zasady budzi więc podejrzenia. Naturalność okazuje się wręcz swoim przeciwieństwem.

Nic nie jest zrozumiałe samo przez się. Orzechy pełnią rolę skrytek, syn nie jest synem. To, co wynikało z natury czegoś, zaczyna ją wypaczać. Służba bezpieczeństwa nie chroni, ale zabija. A swoboda w środowisku naturalnym okazuje się czymś ściśle kontrolowanym. Wszystko to każe ostatecznie zapytać o rzeczywistość, której percepcja – podporządkowana i nadzorowana przez aparaty władzy – zaczyna budzić wątpliwości i strach. A bardziej konkretnie: czy fotografia wzorzystej sukienki z kołnierzykiem obszytym białą koronką pozostaje tylko fotografią sukienki? Czy może stanowi dowód rzeczowy w sprawie o morderstwo „Marianny Gałuszka przeciwko Stanisławowi Wójcikowi" we wrześniu 1955 r.?

© MACIEJ TOPOLSKI

Beata Bartecka, Łukasz Rusznica **„HOW TO LOOK NATURAL IN PHOTOS"** *Ośrodek Postaw Twórczych, Palm* Studios 2021.*

Bariera dźwięku

ANITA PIOTROWSKA

„Sound of Metal" jest zapisem głuchnięcia, lecz również jego psychologii, która kojarzy się z wieloetapowym i meandrycznym procesem żałoby.

Montaż i dźwięk – w tych kategoriach „Sound of Metal" otrzymał niedawno statuetki oscarowe, choć z pewnością potencjał był dużo większy. Na stół montażowy trafiła pogłębiona historia młodego perkusisty, który zaczyna tracić słuch i musi – mimo że bardzo tego nie chce, a scenariusz podpowiada rozmaite inne ścieżki – „nauczyć się bycia głuchym".

Najciekawszy film rozgrywa się oczywiście w fonosferze, czyli w głowie Rubena, człowieka uzależnionego od dźwięków, tak jak niegdyś od narkotyków. Gra go Riz Ahmed, znany brytyjski aktor, który odnosi sukcesy także w hip-hopie, ma więc brzmienie i rytm we krwi. Albowiem dla amerykańskiego reżysera i współscenarzysty Dariusa Mardera, a równocześnie dla widza, szczególnie frapujące są tutaj wszelkie przejścia między światem niesłyszących i słyszących. Wszelkie próby dostrojenia się do tych pierwszych, ale i pewne koncesje na rzecz tych drugich.

Im bardziej Ruben głuchnie, tym mocniej „wali po garach", jakby chciał zagłuszyć w sobie ciszę albo dobić się do tego, co gwałtownie od niego się oddala. Zanim zostanie całkowicie odcięty od doznań słuchowych, ścieżka dźwiękowa zaczyna ulegać zakłóceniom, staje się coraz bardziej „podwodna", ujawnia też coraz większy kryzys komunikacyjny. Film jest zapisem głuchnięcia, lecz również jego psychologii, która wielu kojarzy się z wieloetapowym i meandrycznym procesem żałoby. Wiadomo, że najpierw pojawia się szok, potem bunt, po drodze depresja... Bo na pierwszy plan wysuwa się zrazu doświadczenie utraty czegoś albo kogoś. W tej historii chodzi o dotychczasowego siebie.

A jest nim wytatuowany „metalowiec" po przejściach, który wreszcie, od czterech lat, wiedzie zdrowe, wolne i spełnione muzycznie życie w komfortowym kamperze, u boku ukochanej dziewczyny (Olivia Cooke). Dlatego gdy niepogodzony ze swą nową kondycją Ruben przyjeżdża do ośrodka psychoterapeutycznego dla głuchych, wygląda to niczym wjazd do nieznanej i wrogiej krainy. Kierujący placówką Joe (Paul Raci) stracił słuch na wojnie w Wietnamie, pozostaje niepijącym alkoholikiem i ma w sobie tyleż z charyzmatycznego guru, co bezwzględnego tresera. Jego program terapii wyklucza bowiem jakikolwiek kontakt ze światem zewnętrznym i odstępstwa od surowego regulaminu. Tymczasem bohater „Sound of Metal" bardziej niż o uzdrowieniu swojej psyche, podupadłej na długo przed oglądanymi na ekranie wydarzeniami, marzy o naprawieniu swego słuchu. Żeby było tak, jak kiedyś.

Tytuł filmu tylko częściowo odsyła do gatunku muzycznego, jaki Ruben uprawiał. Może również kojarzyć się z implantem słuchowym, o którym bohater marzy – pozwala on usłyszeć rzeczywistość, aczkolwiek dla zawodowego muzyka musi być tym, czym proteza kończyny dla tancerza. Najsilniej przemawia ów film właśnie na poziomie identyfikacji z bohaterem. Dzięki niej można doświadczać obłędnego bogactwa brzmień ze świata natury czy dźwiękowego śmietnika, jaki otacza nas w wielkim mieście, lecz i błogosławieństwa ciszy.

Uściślijmy jednak: obraz Mardera nie stosuje radykalnej perspektywy człowieka głuchego, byłby wówczas dziełem mało czytelnym dla większości widzów. Stosuje natomiast rozliczne wyciszenia czy zniekształcenia głosów, które pozwalają przynajmniej na chwilę wejść w buty kogoś, kto przeprowadził się do obcego kraju i jeszcze nie nauczył się nowego języka. W kluczowej scenie były

MATERIAŁY PRASOWE

Riz Ahmed jako Ruben w filmie „Sound of Metal”

perkusista na metalowej (*nomen omen*) zjeżdżalni wybija dłońmi rytm, a głuchy chłopiec towarzyszący mu w tej zabawie natychmiast go podłapuje. W końcu dźwięki mają w sobie nie tylko komponent słyszalny – to także drgania akustyczne, o czym najlepiej wiedzą ci, którzy uczestniczyli w specjalnych koncertach nastawionych na odbiór wibracji. Podobnie zresztą działa „Sound of Metal”, oparty na emocjonalnych drganiach, niedopowiedzeniach i fabularnych elipsach, coraz bardziej zdystansowany wobec dźwięcznej mowy.

Głusi widzowie i krytycy na ogół przyjmują ten film z życzliwością, widząc w nim próbę rozprawienia się ze stereotypami – np. takim, że brak słuchu oznacza życie w kompletnej ciszy i że w ogóle jest brakiem. Zamiast niepełnosprawności twórcy zdołali dostrzec w głuchocie odrębną tożsamość. Nie starają się też jej na siłę romantyzować, jak „Dzieci gorszego Boga” (1986) Randy Haines, ani demonizować, jak ukraińskie „Plemię” (2014) Myrosława Słaboszpyckiego – bycie niesłyszącym u Mardera stanowi raczej istotny punkt dojścia aniżeli wyjścia.

Pojawiają się również kontrowersje. Docenia się siedmiomiesięczną pracę Riza Ahmeda nad opanowaniem amerykańskiego języka migowego (w filmie ukazaną trochę zbyt pobieżnie) oraz fakt, iż w scenach z ośrodka grają autentyczni głusi, trudno jednak niektórym zrozumieć, dlaczego w roli Joego została obsadzona osoba słysząca. Choć przecież Raci jest aktorem wybitnym (podobnie jak Ahmed otrzymał nominację do Oscara), a do tego wychował się z głuchymi rodzicami i od lat zajmuje się tłumaczeniem języka migowego. „»Sound of Metal« to dobry film o nas, ale nie dla nas” – tak można by streścić głosy sportretowanej na ekranie społeczności. Istnieje już zresztą osobny nurt filmów, tworzonych i obsadzanych przez osoby głuche, z dialogami czy monologami wypowiadanymi wyłącznie za pomocą migania.

Niezależnie od tego powstał kawał wyśmienitego kina, które w warstwie audialnej łamie rozmaite „bariery dźwięku”, a na poziomie samej opowieści pozwala wniknąć do zamkniętego świata, gdzie właściwie tylko język okazuje się być obcy. Poza tym mamy wszystko, co doskonale znamy: problem przynależności, poczucie straty, skłonność do uzależnień, pytania o tzw. normalność i oczywiście potrzebę zdefiniowania tego, czym tak naprawdę jest wolność i czym jest prawdziwy dom. Alternatywna rzeczywistość, którą od zawsze mami nas kino, rzadko kiedy staje się tak bardzo bliska. ©

SOUND OF METAL/DŹWIĘK METALU
– reż. Darius Marder. Prod. USA 2019. Dystryb. M2 Films. Dostępny na Prime Video, CHILI, Rakuten, iTunes Store, PLAY NOW, Premiery CANAL+, Player. Ma ponownie trafić do kin zaraz po ich otwarciu.

WARTO ZOBACZYĆ

1. Moja młodsza siostra

Dramat, reż. Stéphanie Chuat, Véronique Reymond, Szwajcaria 2020, Cinemax2, 8 V, 20.30, 9 V, 9.15

Na czym polega tajemnicza więź, która łączy bliźniacze rodzeństwo nawet w dorosłym wieku? Kiedy Lisa (Nina Hoss) dowiaduje się o ciężkiej chorobie brata – znanego aktora teatralnego (Lars Eidinger), powraca z zagranicy do rodzinnego Berlina. Próbuje zachęcić Svena, by nie rezygnował z grania, nawet za cenę jej życia osobistego.

2. Time

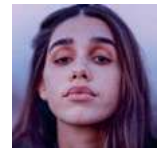

Dokumentalny, reż. Garrett Bradley, USA 2020, Prime Video

Nominowany do Oscara dokument to inne, bardziej intymne spojrzenie na przestępczość Afroamerykanów. Opowiada o heroicznej walce, jaką podejmuje żona skazanego na 60 lat kryminalisty, żeby zmniejszono mu wyrok. Fox Rich pragnie także uchronić synów przed powieleniem rodzicielskich błędów, a swą historią dać wsparcie kobietom w podobnej sytuacji.

3. Mare z Easttown

Serial, reż. Craig Zobel, USA 2021, HBO GO, odc. 1-3, kolejne co poniedziałek

Niby same zgrane żetony: małe miasteczko i jego patologie, zaginiona dziewczyna, brudne sekrety lokalnej społeczności, a do tego uparta i szorstka w obyciu policjantka. Twórcom serialu udaje się jednak pokazać tę prawdziwszą twarz amerykańskiej prowincji i jej mieszkańców, przede wszystkim za sprawą wspaniałej roli Kate Winslet.

4. Złapani w sieci

Dokumentalny, reż. Vít Klusák, Barbora Chalupová, Czechy/ /Słowacja 2020, CDA Premium

W studiu zaaranżowanym na podobieństwo dziewczyńskich sypialni wyszkolone, dziecinnie wyglądające aktorki nawiązują kontakt z internetowymi pedofilami. Film przedstawia kulisy prowokacji, związane z nią kontrowersje i ryzyko, ale też gigantyczną skalę problemu. Razem z uczestniczkami eksperymentu widz poznaje świat, o którego istnieniu wolałby nie wiedzieć.

JAN

Klata:
Samo-lot

Kulisy prezydenckiego kampanijnego lotu z lipca wychodzą na jaw teraz, kiedy już o niczym nie zadecydują, kiedy po prostu można siąść na rozstajach powietrznych dróg, jak zadumany świątek, i zapłakać nad przeszłością, przyszłością i teraźniejszością, co to się nam, Polakom, katastroficznie zlewa. Na szczęście komisja Pana Antoniego nie dostała nowego impulsu do działania, nie musi się zajmować kolejnym feralnym lotem z prezydentem z PiS na pokładzie, ale była, jest i będzie taka możliwość, o ile się nasze państwowe struktury solidnie nie uszczypną.

Jak to jest, że ratujące życie i sens zbiorowości słowo „procedura" nie wchodzi nam, Polakom, do słownika codzienności? Dlaczego jest marzeniem ściętej głowy? Dlaczego współpracownicy Głowy Państwa nie wytatuowali sobie w widocznym miejscu napisu: „Wieża kontroli lotów w Babimoście pracuje tylko do 22.00"? Za długi? Zbyt przyziemny? Oddajmy głos samemu najwyższemu czynnikowi, który wspomina: „Siedzieliśmy, czekaliśmy, aż samolot poleci, i odleciał". No właśnie, a nie miał prawa. W prezydenckiej głowie same zmyślają się historie, sam się rozgryza orzech. Eksperci mówią o „branżowym samobójstwie". Brzmi naprawdę adekwatnie, zwłaszcza że teraz się okazuje, że hmm, jednak były udokumentowane naciski najważniejszych pasażerów, żeby się wzbić, mimo wszystko. Przede wszystkim: nie było zgody kontrolera. Ale przecież nie będzie kontroler pluł nam w twarz, jak się spieszymy w pielesze, nieprawdaż? Sprawę usiłowano zatuszować, ale wypłynęła, mocno poniewczasie.

Przeszłość się ponoć nie powtarza, jeno się rymuje. Tyle lądowań, ile startów życzę Polsce, we własnym interesie, ale pozwalam sobie powątpiewać, czy się da. Kołujemy w zaklętym kręgu niemożności, kontroler lotów zakończył pracę, kimkolwiek był, podchodzimy na zmianę to do startu, to do lądowania, a prawdziwe burze dopiero przed nami, i czarno widzieć jest wielce realistycznym podejściem.

Co dalej będzie? Niczego nie będzie. ©

Lektor:
Mały język, świetne wiersze

▪ *Nuala Ní Dhomhnaill*
CIERŃ GŁOGU
Wybrała i przełożyła z angielskiego Krystyna Dąbrowska. Wydawnictwo a5, Kraków 2021, Biblioteka Poetycka tom 113, ss. 152.

Zacznę od najważniejszego – to są wspaniałe wiersze, żywiołowe i pisane na swobodnym oddechu, w których wrażliwość na naturę łączy się ze zmysłową erotyką, a wątki czerpane z irlandzkiego folkloru (syreny!) nie są ozdobnikiem, tylko niosą współczesne – na przykład feministyczne – przesłanie. Piszę to świadom, że między mną jako czytelnikiem a oryginałem znajduje się filtr podwójny, bo Nuala Ní Dhomhnaill, urodzona w 1952 r. w rodzinie dwujęzycznej, pisze po irlandzku, a polska tłumaczka opiera się na angielskich przekładach. Tyle że owe przekłady są dziełem wybitnych współczesnych poetów irlandzkich języka angielskiego, na czele z Paulem Muldoonem, autorka zaś może je skontrolować. Jako nastolatka próbowała zresztą pisać wiersze po angielsku, ale dopiero w celtyckim gaelic odnalazła swój własny głos. „Moje uczucia, obrazy i dźwięki pojawiają się po irlandzku" – mówiła Justynie Czechowskiej w „Kulturze Liberalnej".

Nuala Ní Dhomhnaill podkreśla też wielowiekowe tradycje tego języka, który uważa za instrument „głębokiej i pełnej rozmachu wyobraźni". Fakt, że utracił on dominującą pozycję na wyspie i stał się w XIX wieku „mową obdartych wieśniaków", którzy akurat nie umarli podczas wielkiej klęski głodu i nie wyemigrowali za ocean, to jeden z dramatów Irlandii. Dziś, choć irlandzki jest formalnie jednym z języków urzędowych republiki, posługuje się nim na co dzień tylko kilkadziesiąt tysięcy osób. Wspaniale, że znalazł taką ambasadorkę. Najdalszą od narodowo-konserwatywnych ciągot, choćby dlatego, że w młodości sama stała się ofiarą opresyjnego wobec kobiet systemu społecznego – rodzice próbowali uniemożliwić 20-letniej (!) Nuali związek z Doğanem Leflefem, tureckim geologiem. Do małżeństwa jednak doszło i przetrwało ono 40 lat, do śmierci Leflefa, a poetka na wiele lat wyjechała z ojczyzny, poznając przy okazji kolejne języki, między innymi turecki i niderlandzki.

W 2012 r. Jerzy Jarniewicz umieścił wiersze Nuali Ní Dhomhnaill w antologii „Sześć poetek irlandzkich". W 2018 r. została laureatką Międzynarodowej Nagrody Poetyckiej im. Zbigniewa Herberta (przed nią nagrodę otrzymali W.S. Merwin, Charles Simic, Ryszard Krynicki, Lars Gustafsson i Breyten Breytenbach, po niej – Agi Miszol i Durs Grünbein).

A teraz – pierwsza książka po polsku! ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Nowinki i starowinki

Jeden Ce. Co znaczy ten adres? Za młody jestem na kabalistę – choć skłonność do traktowania życia jako opowieści zapisanej z góry w księdze datuje się u mnie od wieku, gdy przedwcześnie wprowadzono mnie w świat liter. W każdym razie nowy adres pozostaje zagadką, za to dwunastka w starym była w te dni dla nas szyfrem, kombinacją otwierającą (czy może zamykającą, skorośmy się żegnali?) różne tęsknoty, wdzięczność oraz zadziwienie, że tyle się dobrego może osadzić w ścianach i na skrzypiącej klepce, chociaż to tylko trochę wapna, gliny, farby, drewna i kurzu.

Jeśli śledzicie uważnie „Tygodnik" i jego ludzi w mediach społecznościowych, to widzieliście zresztą zdjęcia i sceny uwiecznione w pustych ścianach Wiślnej. Jako że mam trudność z przeżywaniem tzw. znaczących chwil, któregoś z tych końcowych dni – zamiast znów iść piłować sentymentalną pępowinę – uznałem, że lepiej niech już sobie usycha, więcej się tam nie zjawię, za to urwałem się z miasta na pół dnia, by nadmiar myśli skompensować cielesnym trudem. Tak się akurat złożyło, że znajomy tego dnia szukał rąk do pracy przy zakładaniu nowej winnicy i powiózł mnie między łagodne, otwarte wzgórza na północ od Krakowa. Takie właśnie, jakie według Wergiliusza najbardziej upodobał sobie Bachus. Gdyby mu oznajmić, że zostanie zaproszony z wesołym korowodem na północ od Karpat, toby z szoku natychmiast wytrzeźwiał.

Nie minęło pół godziny, a zorientowałem się, wysiadając z samochodu, że wywieziono mnie w miejsce, z którego widać w oddali goszycki dwór, rodzinne gniazdo żony Pana Jerzego Turowicza. Tam, wówczas jeszcze nie jako redaktor „Tygodnika", ściągał on w czasie wojny ludzi, którzy nie przeczuwali chyba, ile będą znaczyć przez następne pół wieku dla polskiego ducha i mowy. Robota gnała, wetknąć prawidłowo w glebę sadzonkę winorośli to nie jest byle co, a wiadra z wodą same nie chciały się turlać od beczkowozu, nie było więc czasu na swawole historycznej wyobraźni ani patetyczne konkluzje o klamrach spinających stare z nowym i tak dalej na tę modłę. Kolejną jednak kartę księgi uznałem za bardzo zgrabnie zapisaną do ostatniej linijki.

Po czym wróciłem na Wiślną: już nie jako redaktor „Tygodnika", ale wiecznie głodny klient pizzerii na rogu z Gołębią. Czytaliście już o niej w tej rubryczce, ale mam znów solidny powód, żeby o niej wspomnieć, bynajmniej nie w tonie pożegnalnym: od paru dni bowiem oferuje osobny zupełnie rodzaj placka, starszy tradycjami od tego, co dziś zwiemy pizzą. Zwie się on *pinsa*, od łacińskiego *pinsere*, czyli roztłukiwać (czarodziej Brückner twierdzi, że jego korzeń to prasłowo związane z tłuczeniem zboża, „jedno z arcyrzadkich wspólnych wszystkim Ariom", i w naszej mowie słyszalne w „pchać"). We współczesnej, udoskonalonej w Rzymie wersji jest robiona z mąki ryżowej, sojowej i pszennej, a ciasto jest poddane morderczo długiej i złożonej procedurze wyrabiania i wyrastania. Tam, gdzie mój podstawowy poradnik włoski zwykle podaje procedurę na ciasto w 6-7 krokach, pinsa wymaga tych kroków 25...

Z samego wyglądu to taki niepozorny owalny placek, uprzednio podpieczony, na który nakłada się na zimno dowolne składniki warzywne i ser, po czym przez chwilę ponownie zapieka. Ale efekt skomplikowanego wyrabiania i połączenia trzech mąk natychmiast czuć w ustach, ciasto ma niesamowitą lekkość i kruchość przy jednoczesnej treściwości. Serdecznie wam radzę – jeśli gdzieś w waszym mieście jest solidny *pizzaiolo* z ambicjami, to żądajcie od niego pinsy. Moment wprowadzenia tej nowinki (może z racji starożytnego ponoć rodowodu powinienem powiedzieć: starowinki?) odczytuję jako znak, że warto tu będzie wracać.

Ale zazdroszczę też sobie czekających mnie eksploracji. Nie byłbym sobą, gdybym, powziąwszy wiedzę o nowej siedzibie, nie spenetrował starannie jej okolic w promieniu co najmniej kilometra. Lockdown to kiepski czas, żeby rozpoznawać bojem knajpy, ale to wszystko, co działa na wynos, już mam wstępnie obwąchane i niech mi mieszkańcy Ludwinowa oraz Dębnik wybaczą stres, jaki mógł wywołać u nich widok łysiejącego gościa w różowych spodniach kręcącego się bez celu z notesikiem w pobliżu placówek gastronomicznych.

W kwestii pizzy na razie widzę problem – pobliska placówka oferuje standard szalonych najntisów, czyli dodatkowy sos pomidorowy lub czosnkowy oraz hawajską. Ale cóż, każdy z nas był młody, jadł pizzę z ananasem i popijał Sofią, i było w tym przecież szczęście. A kartę życia z cyfrą 1C na pewno zapiszą inne dobre niespodzianki. ©℗

Kuchnia dla mnie to strefa odpoczynku od znaków i liczb, ale i tu się zdarza, że połączenia starego z nowym są bardzo udane. Opowiem wam o wariancie liguryjskiego dania, w którym możemy zużyć ostatni słoiczek zeszłorocznego pesto (już nie macie? niech będzie ze sklepu) i pierwsze młode ziemniaki, te z Cypru czy Maroka. Najpierw musimy przetestować na małym kawałku ziemniaka, jak długo się gotuje do miękkości. Wrzucamy na osolony wrzątek po 75 g krótkiego makaronu na osobę, po czym dodajemy tyle samo ziemniaka pokrojonego w krótkie słupki w miarę zbliżone kalibrem do klusek – moment musi być tak wyliczony, by jedno z drugim było gotowe w tej samej chwili. Na kilka minut przed końcem wrzucamy też garść zielonej pociętej fasolki szparagowej (w maju niestety jeszcze mrożonej). Kiedy wszystko się ugotuje, szybko odcedzamy, przekładamy do miski, gdzie dodajemy po 1 kopiastej łyżce pesto na osobę. Mieszamy, ewentualnie dodajemy trochę oliwy i na wydaniu dajemy sporo parmezanu.

LIV FRIIS LARSEN / ADOBE STOCK

MIŁOSNE SAMOGŁOSKI

JOANNA BRAUN, SCENOGRAFKA:

Nie miałam pojęcia, jak się piecze, smaży, gotuje, ale próbowałam. I patrzyłam, jak Olo grzecznie przełykał. Ale od czasu do czasu widziałam, że mu smakuje. W tym sensie czułam erotykę.

GRAŻYNA MAKARA

Joanna Braun w swoim mieszkaniu. Kraków, kwiecień 2021 r.

JOANNA BRAUN ma w dorobku ponad 150 realizacji scenograficznych w teatrach dramatycznych, lalkowych, teatrach tańca, wiele z nich było nagradzanych na przeglądach i festiwalach. Od 2004 r. prowadzi zajęcia w PWST (obecnie AST) w Krakowie na Wydziale Reżyserii Dramatu. W 2020 r. wystawiała fragmenty opery Mozarta „Apollo i Hiacynt" w ramach cyklu „operaOk" – wideoinstalacji oper barokowych i klasycznych Warszawskiej Opery Kameralnej.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Policzyłaś te zwierzątka?
JOANNA BRAUN: No co ty! Nieskończoność?

Jak je robił?
Kompulsywnie. Myślał swoje, to jest pewne, a ręce z dłutkiem mu same chodziły. Siadał przy biurku od strony okna, bo palił. I strugał.

Pierwsze zwierzątka od Ola Siemaszki?
Dostałam w naszym długim narzeczeństwie. Kiedyś przyszedł po świętach, które jeszcze spędziliśmy osobno, i przyniósł tego drewnianego ptaka na długich czerwonych nóżkach. Olo potem zrobił mu nowe nogi, bo stare ułamały się i zaginęły. Ale w końcu znalazłam te stare łapki, teraz ma dwie pary.

Figurki są, Ola nie ma.
Po jego śmierci miałam trudne pięć lat. A teraz nastąpił rok szósty, w którym znalazłam sobie miejsce, bez Ola.

A te pięć lat?
Szukałam kontaktu. Spadło piórko – to Olo posłał, myślałam. W ostrej żałobie trafiłam na książkę, którą polecił mi ktoś, kto wiedział, że odbijam się od ściany do ściany i od ziemi do nieba. To był „Rok magicznego myślenia" Joan Didion, amerykańskiej dziennikarki, której mąż zmarł nagle w trakcie kolacji – głowa upadła mu na talerz, a ona myślała, że to żart. W tym samym roku zmarła córka Didion.

Potem zachorowała sama Didion.
Czytając tę książkę zdałam sobie sprawę, że nasz rozum, który funkcjonuje w rozmaitych sytuacjach, może odlecieć w dowolne rejony, które niezbędne są mu w danej chwili. A nuż tam właśnie znajdę odpowiedź, dlaczego to się zatrzasnęło i czy na pewno na zawsze, a jeżeli na zawsze – to może jest jakaś inna, nieznana mi forma współbycia, jakiś metajęzyk duchowego porozumienia? Taki odlot. Minął.

A Didion, ta wykształcona i mądra kobieta, zgodziła się na sekcję zwłok męża, bo mogła ona wykazać, gdzie jest błąd powodujący, że ukochany żył, a nie żyje. Jednak nie zgodziła się na to, by oddać jego organy na ratowanie innego życia. Powód: bo jak on będzie żył bez tych organów?

A te piórka od Ola?
Maleńkie i prawdziwe. Zdarzało się, że spadały tu w pokoju z zamkniętym oknem. Ja ich nie robiłam, a ptaki nie latały przez pokój. Niehigienicznie zamykam okno w październiku, otwieram w marcu, dopiero jak jest właściwa pogoda.

Można to nazwać myśleniem magicznym, ale ja widzę w tym uporczywe szukanie kontaktu. Taki przykład: latami z Olem jeździliśmy do Wdzydz Tucholskich, to było nasze centrum wszechświata. Robiliśmy sobie miesiąc wakacji bez żadnych dodatkowych obowiązków – chodziliśmy po okolicach po 10, 20 kilometrów. Ostatnie zdjęcie Ola zrobiłam na tle wyspy Trzepcyn, zwanej potocznie Trupczynem. Symboliczne, prawda? Kilka godzin później Olo miał zawał, umarł po sześciu dniach w pobliskim szpitalu w Kościerzynie. W niedzielę, urodził się też w niedzielę.

↦

Co było potem?

Jeździłam po śmierci Ola do Wdzydz, bo tam go było najwięcej. I pisałam haiku – w ten sposób szukałam z nim kontaktu. W ubiegłym roku byłam we Wdzydzach – przeszłam nasze wspólne szlaki, najczęściej był to czarny szlak, ale już haiku nie pisałam. Czyli pewien etap żałoby zamknęłam. A teraz skupiam się na tym, jak cudownie, że to nasze uczucie zdarzyło się, że mieliśmy siebie. Niektórym nigdy nie udaje się przeżyć miłości. Wiesz, że Olo się nie spóźniał?

Posiadam kilka teczek z papierem, których nie wykorzystam, nawet gdybym żyła trzysta lat. Gdy widziałam piękny papier, kupowałam od razu, **bo daje przyjemność zmysłową i wyobrażeniową.**

To ważne?

Bardzo. Jak ktoś się spóźnia, to ja tego kompletnie nie rozumiem, myślę, że wpadł pod tramwaj i umarł. Olo zawsze był na czas, nigdy nie musiałam myśleć, że coś mu się stało.

Olo młodszy był ode mnie o 11 lat. Ale mimo chłopięcej aparycji był starcem zapatrzonym w swoje Bizancjum po upadku Bizancjum – tym zajmował się naukowo. W gościach prawie się nie odzywał, oczywiście jak trochę wypił, to robił się bardziej rozmowny, jak wszyscy – po to jest wino i inne pyszności. Znajomy o Olu powiedział: niby udaje, że go nie ma, a reaguje na każdą sytuację uśmiechem lub kiwnięciem głowy. Małomówność Ola ogromnie mi odpowiadała. Myśmy siedzieli przy tych biurkach, każdy zajmował się swoim. Olo od czasu do czasu wyczuwał moją potrzebę, rzucał: „A może kawy byś się napiła?". Akurat wtedy, kiedy było trzeba. Poza tym żył jak mnich. Przebierał się za Mikołaja dla dzieci Andrzeja Witkowskiego i uczestniczył w jego życiu rodzinnym. Potem wracał do swoich książek.

I zwierzątek?

A zauważyłaś, że one są wszystkie ustawione w jednym kierunku? Do światła. Tylko w tym miejscu, na makietniku z Teatru Ludowego. Tuż po dyplomie robiłam z Ireną Babel sztukę „Filip z prawdą w oczach" Janusza Krasińskiego. I rozszalałam się wtedy, a potem coraz bardziej i bardziej – pracy w zespole trzeba się długo i czujnie uczyć, relacje bywają trudne, bo namiętne zazwyczaj, a jeśli nie – to nie warte zachodu. Aż pewnego dnia roku 1997 okazało się, że minęło 30 lat od dyplomu, więc wypada okrągła rocznica. Z tej okazji do tego makietnika dorobiłam scenografię, czyli czerwone schody, a w środku z Olem postawiliśmy zwierzątka: soliści, chór, balet... Kilku znajomych zaprosiłam, odsłoniła się kurtyna. Ten makietnik jest ze światłem, którego normalnie nie włączam, ale wtedy dałam zaćmę kolorową. Szła muzyka – „Nabucco" Verdiego. Było uroczyście.

A Wasza codzienność?

Olo szedł do swojej biblioteki do Instytutu Historii Sztuki UJ, gdzie pracował. Jak coś zapomniał i zostawił w domu, to ja mu przynosiłam, ale czułam, że woli, żebym się nie zagnieżdżała za często, tam był jego rewir. A o czternastej przychodził regularnie na obiady. Traktowałam je jak randki.

Obiady?

Obiady. Moja mama nie była w stanie jajecznicy usmażyć – odziedziczyłam to po niej. W czasach sukcesów zawodowych mamy była pani, która prowadziła dom, gotowała itd. Potem to już było tylko zbiorowe żywienie, pierogi u Kapusty w Krakowie, a bywały też gorsze adresy. Ja nie miałam w ogóle pojęcia, jak się piecze, smaży, gotuje, ale ambitnie próbowałam. I tylko patrzyłam, jak Olo grzecznie przełykał. Ale od czasu do czasu widziałam, że mu smakuje. W tym sensie czułam erotykę – bo karmiąc raczy się dobrem zmysłowym, tu przecież spotyka się wzrok, węch, smak, dotyk. I tak krok po kroku przez te nasze wspólne ćwierć wieku gotowałam obiady. Ale do końca był niepokój: dogodzę mu czy nie dogodzę.

A jak dogodziłaś?

W jego oczach było to widać. Do tego lekko się uśmiechał, a ja wtedy to już całą gębą. Wyspecjalizowałam się w zupie dyniowej. Mam mnóstwo książek kucharskich, nawet z lat czterdziestych. Mama po przejściu na emeryturę też miała ambicje. Ale gdzie tam, nie osiągnęła większych sukcesów.

Gdzie je w takim razie osiągnęła?

Była lekarzem – w powojennej Polsce planowała logistykę walki z gruźlicą. Pamiętam, jak w wieku czterech lat wjechałam na nocniku w trakcie szwedzko-polskiej narady gruźliczej, która odbywała się w naszym domu w Sopocie.

Choć mama miała inne plany na przyszłość: starała się na Akademię Sztuk Pięknych – nie dostała się; do Szkoły Teatralnej – nie dostała się; poszła na medycynę – dostała się. Jej narzeczony chorował na gruźlicę, więc wybrała jako specjalizację ftyzjatrię. Nie pomogło, zmarł na jej rękach. Wśród zdjęć rodzinnych jest jego zdjęcie, był bardzo przystojny.

Karmiła się moimi teatralnymi spełnieniami; celebrowała premiery, zbierała recenzje – i tak na co dzień była ze mnie dumna.

A Sopot skąd się wziął?

Przyjechaliśmy tam z Warszawy, gdzie się urodziłam. Potem była Szklarska Poręba, dalej Olsztyn i Kraków od mojego szesnastego roku życia. Mamę coś gnało, może jakieś konflikty, o których nic nie wiem? Tata mnie zmajstrował, jak miał 65 lat, więc między nami kontakt był praktycznie żaden. Tym bardziej że jako geodeta mieszkał „w terenie" – z rodzinnego domu nie wyniosłam modelowego wzorca małżeństwa. Wręcz przeciwnie. Gdy mama pracowała w Gdańsku, to tata w Człuchowie.

A na Politechnice Gdańskiej studiował jego syn z poprzedniego małżeństwa. W czasach, kiedy nie było domofonów, nagle dzwonek do drzwi i staje przede mną jakby odmłodzony ojciec. A to przyrodni brat, szesnaście lat ode mnie starszy. Coś załatwiał w Krakowie, skądś miał mój adres i przyszedł. Powiedział, że bardzo jestem podobna do mamy. To mnie podnieciło, że mam brata, że kogoś mam, bo to już zdarzyło się po śmierci rodziców. I później, gdzieś jadąc, zatrzymałam się

GRAŻYNA MAKARA

W mieszkaniu Joanny Braun: obraz „Pokolenia" autorstwa Weruszki Szmuc i zdjęcie, na którym jest Olo Siemaszko. Kwiecień 2021 r.

u niego w Warszawie, ale było obco. Z ojcem było podobnie – przyjeżdżał do domu na sobotę i niedzielę, brał mnie na lody, potem dostawałam anginę, kłócili się z mamą i wyjeżdżał do tego swojego Człuchowa. W Olsztynie ojciec był już z nami. Każdy miał osobny pokój, każdy miał swoje sprawy. Rodzice żyli bez więzi, ale poprawnie, bez napięć.

To wcale rzadkie.

Zawsze mieszkałyśmy w poniemieckich domach. Stamtąd są te rzeczy – stół, przy którym siedzisz, te dwa połączone biurka, a w tej szafie była encyklopedia niemiecka, którą podarowałam koledze, czego teraz żałuję bardzo. Ale wtedy nie żałowałam, książek zawsze było u nas mnóstwo. A potem, jak już zajęłam się scenografią i potrzebowałam rozmaitych źródeł, to kupowałam dziwaczne książki – o guzikach, o lampach naftowych, o wnętrzach mieszczańskich. Zbyszek Mich, reżyser, z którym latami pracowałam, znalazł kiedyś w mojej bibliotece książkę o teatrze papierowym. On się zachwycił i ja się zachwyciłam.

Najpierw powiedz, co Cię zachwyca w samym papierze.

Cielesność. Posiadam kilka teczek z papierem, których nie wykorzystałabym, nawet gdybym żyła trzysta lat. Gdy widziałam piękny papier, kupowałam od razu.

Piękny papier to jaki?

Dający przyjemność i zmysłową, i wyobrażeniową. Kiedyś zrobiłam cykl o Pinie Bausch na papierze smołowanym. Moment, wyciągnę „Pinę" z szafy – dotknij. Niby sztywny, a giętki – czujesz? W środku jest smoła i opakowywano w taki papier tłuste narzędzia. Ja pomyślałam, że jak jest smoła, to musi reagować na ciepło, w związku z tym żelazkiem przejechałam i natychmiast wyszedł kontur. Kupiłam lutownicę. Całą Pinę narysowałam lutownicą.

A ten pognieciony papier?

Zgniecenie zaburza porządek – linii, druku. Gnieciuchy robię sama – one pomagają przezwyciężyć znany pisarzom i malarzom lęk przed czystą kartką. Jak mam zapełnić coś zniszczonego, to lęk maleje – wszystko jedno, czy działam piórem, lutownicą, pędzlem. Bo niby mniej błędów robię. To oczywiście nieprawda, ale tak sobie tłumaczę.

Co zachwyca w teatrze papierowym, który swoje pięć minut miał dwa wieki temu?

Wiedeńczycy, londyńczycy, berlińczycy nie mogli wtedy żyć bez opery. I ja też nie mogę żyć bez opery i każdej innej formy wyrażania emocji muzyką. I to nie byle jakich emocji: gdy już nie można mówić, tylko śpiewać. A ci wiedeńczycy, londyńczycy, berlińczycy po spektaklu, na następny dzień, kupowali kartony litograficzne do produkcji własnej. Najpierw traktowano je jako ozdobę salonów, potem – towarzyską rozrywkę. To była muzyka, wdzięk i czułość – fascynacja maleńkim i kruchym, wspólnotowość i intymność, kameralna odświętność – ta dramaturgia paradoksów, na którą jestem czuła.

„Fanny i Aleksander" Bergmana zaczyna się od napisu „nie tylko dla przyjemności", który oryginalnie znajduje się nad widownią Duńskiego Teatru Królewskiego w Kopenhadze. Gdy kamera odjeżdża, okazuje się, że napis ten widnieje nad sceną papierowego teatru w domu Ekdahlów.

Kiedy odkryłam papierowy teatr, to chciałam do końca życia wyłącznie nim się zajmować. Właśnie dzięki zmysłowej ↦

miłości do papieru. Spójrz, za tobą stoi tułów manekina oblepiony kolorowymi papierkami, podobny widziałam kiedyś na wystawie w Toskanii. A ten oblepiałam z Sasią, moją wnuczką, swoją drogą nieszczególnie ją ta praca pociągała. Ale samo oblepienie ścinkami daje mnóstwo życia, łamie martwotę.

Tu jest teczka z dokumentacją do „Dziadka do orzechów". Wszystko własnoręcznie robione w różnych fakturach, noc w papierze flow, niby aksamitnym, takim, co się nim wykłada pudełka ze sztućcami. I na tym malowałam temperą. Wieczór wigilijny to była akwarela – najtrudniejsza technika malarska – wykonana na papierze japońskim.

Najpierw wystawiliśmy „Dziadka..." w Düsseldorfie, gdzie w 1989 roku Zbyszek założył Teatr für Mich, z siedzibą w tamtejszym Muzeum Teatralnym. A potem w Warszawie w Teatrze Guliwer. To jest „Apollo i Hiacynt", opera napisana przez 11-letniego Mozarta. Apollo to był Piotrek Skiba, Kuba Ostaszewski był Zefirem, Hiacyntem – syn Iwony Zuziak, który zmarł młodo. Przez Zbyszka Bielawkę fotografowani byli w majtkach, z których ich potem „rozbierałam" i zdobiłam czarno-białymi szarfami.

W ubiegłym roku dla Opery Kameralnej wyreżyserowałaś ponownie „Apolla i Hiacynta". Sama się tam pojawiasz jako narratorka – Ty i śpiewacy swoje sceny nagrywaliście we własnych mieszkaniach.

Realizacja była cudowna: trzy lampy z Ikei. Do mojego śpiewającego portretu sylwetowego potrzebowałam prześcieradła – okazało się, że tony pościeli zalegające moje szafy są bezużyteczne, bo nie mam białego prześcieradła. Niby do wyboru, do koloru... a biały to kolor?

Kolor?

Oczywiście: jak czarny – graniczny. Bo przecież cała tęcza i jej mutacje, odmiany, półtony mieszczą się pomiędzy. Biały – jeszcze się nie zaczęło; czarny – już się skończyło: wszystkie kolory pożarte. Przy „Hiacyncie..." pracowała też bardzo kreacyjna Monika Stolarska, odpowiedzialna za zdjęcia i montaż. Nagraniami zajęli się fachowcy z Warszawskiej Opery Kameralnej i dyrygent Kuba Wilk. A ja kontrolowałam to, co widziane.

Każdemu po kolei śpiewakowi przekazywałam, co ma być widoczne w profilu, który już sami w swoich domach nagrywali. Przesłałam wszystkim wzorzec-nagranie: zza rozwieszonego, odpowiednio podświetlonego prześcieradła sama śpiewam sto lat.

W tej operze co jest Ci najbliższe?

Zmartwychwstanie, przemiana zmarłego Hiacynta w kwiat. Kwiat wielokwietny – wszelkie odmiany obecności emocjonalnej – czyli smutek, radość, tęsknota, zdziwienie, zamyślenie.

A „Serena", którą chcesz wystawić na podstawie „Małej syrenki" Andersena?

To traktat o samogłoskach.

Dlaczego samogłoskach?

Bo tylko samogłoski mogą wyrażać żałobę.

Żałobę po Olu?

„Serena" mówi o tym, że ukochany paskudnie zdradził mnie ze śmiercią, skurwysyn.

Kiedy zaczęłaś pisać „Serenę"?

Pół roku po śmierci Ola. I zaczęłam od końca. Najpierw napisałam monolog Sereny, który zaczyna się koloraturą szlochu, to kaskada samogłosek. A w nich dwa nurty: przyjazne, toczące się a, o, u – oraz niespokojne, podejrzliwe e i y. Jak dwa żywioły, które wciąż przekracza Serena: przyjazną wodę i niespokojną ziemię.

Rezultat – ani tu, ani tam: niespełnienie, brak, szukanie.

Skąd to szukanie?

Od dziecka chciałam popełnić samobójstwo. I to trwało dekadami. Za mąż wyszłam jeszcze na studiach. Tyle że natychmiast po ślubie mój mąż wylądował w zakładzie psychiatrycznym. Mój cykl dnia wyznaczało malowanie i odwiedziny w klinice, malowanie i klinika, malowanie i klinika. Dopiero po iluś tam miesiącach zaczęli męża wypuszczać na weekend, spuchniętego od leków i nieprzytomnego po elektrowstrząsach. Gdy mąż na dobre wrócił do domu, kompletnie się nie znaliśmy. Obcy, bez prawdziwej relacji.

Potem było drugie małżeństwo, z Jackiem – z zawodu fotografem. Byliśmy nawzajem zaangażowani w swoje projekty. Jak nie mogłam wybrnąć z jakimiś kostiumami, to Jacek zaczynał rysować dla mnie postać. Tutaj, pod piecem, stała beczka prawdziwa z kostiumami do jego zdjęć, też mu czasami coś podpowiadałam. Wszystko się zmieniło, gdy urodziła się nasza córka Weruszka. Jacek dalej zajmował się swoimi artystycznymi sprawami, a całe rodzicielstwo zostawił mnie. Radziłam sobie, lecz z trudem – a miałam wielką potrzebę pracy, realizacji pomysłów. W końcu się rozeszliśmy.

I co z tym samobójstwem?

Przestałam o nim myśleć, gdy na świecie pojawiła się Weruszka. Poczułam, że teraz jestem potrzebna. Bo jako dziewczynkę nikt mnie nie przytulał, nie uczestniczył w moich emocjach. W związku z tym nauczyłam się, że póki umiem, to przeżywam sama... A to „póki" to było: póki sobie nie wymyślę, że teraz wejdę do wody i utopię się. Ale wychodziłam z tej wody, wracałam. Tak jak wyciągałam głowę z piekarnika, gdy pierwszy mąż był w psychiatryku, a ja sobie z tym kompletnie nie radziłam.

Więc moim prezentem od losu była Weruszka, którą urodziłam, gdy miałam 30 lat, i Olo, którego spotkałam, gdy miałam lat 50. W przyszłym roku kończę lat 80, to mogę różne sprawy podsumowywać. Z moją przyjaciółką, Majką Maj, często gadamy, w czym czujemy się spełnione. Jak przeszukuję szafę i znajduję stare projekty, to myślę, że fajne były, aż się dziwię. Nie pamiętam większości z nich. Rozbudzają – przygasłe już – wspomnienia. Więc zawodowo czuję się spełniona – przeszłość karmi teraźniejszość i moja aktywność nie ustaje. A prywatność? Troskliwa Weruszka, dojrzewające wnuki i mieszkanie-pracownia pełne zwierzątek. I wszystkie takie ku jasności. No to ja też.

© Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA

REKLAMA

Kraków

PROJEKT JEST WSPÓŁFINANSOWANY ZE ŚRODKÓW MIASTA KRAKOWA

COPERNICUS FESTIVAL

COPERNICUS FESTIVAL:

WYOBRAŹNIA

18–23.05.2021

BĄDŹ Z NAMI ONLINE NA:

COPERNICUSFESTIVAL.COM

Copernicus Center

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

TYGODNIK POWSZECHNY

UNIWERSYTET JAGIELLOŃSKI W KRAKOWIE

STANISŁAW

Mancewicz:
Zerkając w kosmos

Każdemu, komu się wydaje, że leżąc na kanapie bądź to w wannie, pijąc koniaczek bądź to czystą, nie można z sukcesem przypatrywać się polskiemu kosmosowi, temu należy tu rzec, że się bardzo głęboko myli. Właśnie z kanapy, machając nieobutą nóżką, przyglądamy się kolejnej sytuacji na tutejszym niebie i – rzec trzeba – coraz to mniej ową nóżką machamy, a coraz więcej sobie nalewamy. Te szalone zmiany wywołane są zaskoczeniem. Polska polityka, co wiemy, jest od lat dramatycznie nudna, ale kosmiczna sytuacja p. Banasia z Naczelnej Izby Kontroli wymaga nie byle jakiego okularu, powiększenia, uwagi i – nie bądźmy dziećmi – nie byle czego do picia.

Jest to człowiek – p. Banaś – zważmy, żelazny. Ba, powiedzmy wprost: p. Banaś zwany „Pancernym Marianem" jest tak od dawien dawna nazywany nie bez kozery. Nie możemy skupiać się dziś nad pochodzeniem tych twardości, bo są one historycznie udowodnione i spisane, rzec tu jednak trzeba, że straszliwa pancerność Mariana Banasia została na jakiś czas zgąbczona afektem, który ów zaczął – jak się okazuje, lekkomyślnie – odczuwać wobec Gospodarza i jego pomysłów na Polskę. To wtręt, ale każda pancerność mięknie wobec niekiełznanej miłości i wszyscy wiemy, że miłość czyni z każdego z nas miękiszona. No więc p. Banaś popierał Gospodarza w każdej kwestii, a było to poparcie pancerne, czego efektem – popatrzmy – jest posada, którą dziś p. Banaś piastuje. Wiadomo, że szefem NIK-u, czy to ongiś, czy to dziś, nie może być ktoś Gospodarzowi się niepodobający. Ale oto minęło stosunkowo niewiele czasu i p. Banaś – użyjmy tu naszego ulubionego eufemizmu – poczuł się rozczarowany. Symetrycznie rozczarowany p. Banasiem poczuł się też Gospodarz. To wzajemne rozczarowanie widać na ich niemłodych, zmęczonych twarzach i słychać w tym, co mówią do najszerszej polskojęzycznej publiczności.

A więc najpierw mieliśmy afekt, wzajemność i zaufanie – i równo te piękne zmiękczenia stwardniały i się zbyły. Normą w życiu decyzyjnym Gospodarza jest w takiej sytuacji odstrzał. Chodzi nam oczywiście o odsunięcie od cyca. Słyszymy wtedy w telewizji monotonne sylabizowania jego najbliższych partyjniaków o tzw. sprzeniewierzeniu się wartościom, utracie zaufania komitetu centralnego i tak dalej. Po czym osobnik taki jest bądź to delikatnie odklejany od pisowskiego ciała i kierowany na posadę posterunkowego gdzieś w lesie, bądź zrzucany ze skały do rwącego ścieku wydarzeń relacjonowanych w telewizji. Sto takich historii żeśmy widzieli i doprawdy na samą myśl o kolejnej ziewamy, jak krokodyl w Wiśle, jest to bowiem, jak wiadomo, rzeka dla krokodyli szalenie nudna. Tu jednak – popatrzmy – w przypadku p. Banasia nic podobnego nie jest możliwe. Oczy nam się robią jak spodki, bo trudność w usunięciu Pancernego Mariana z posady jest tak wielka, że niemożliwa. Że nawet Gospodarz nie jest w stanie wymyślić nic bardziej finezyjnego niż arcypolskie nasyłanie Pancernemu tajniaków na rodzinę. Jest to – jak by rzekł jakiś zdolny scenarzysta filmów *science fiction* – cicha tragedia w dalekim kosmosie. Mamy tu na myśli najciemniejsze zaułki polskiego, partyjnego kosmosu, w głębi którego naprawdę nic nie widać, choć oko wykol.

A więc p. Banaś, będąc dziś najbardziej zdumiewającym człowiekiem w polskim kosmosie, znajduje się w jego nieodgadnionym miejscu i pozycji. Jego współrzędne są nie do obliczenia. Nie wiadomo, czy Pancerny Marian się przemieszcza, czy stoi, nie można też powiedzieć, że p. Banaś jest na orbicie. Oczywiście, że nie jest. On już nie orbituje. Przypomnijmy nieukom, że orbitowanie uprawiają satelity. Słowo to pochodzi z łaciny i oznacza towarzysza bądź sługę. Pancerny odleciał ku granicom kosmosu, nadaje krótkie bardzo komunikaty, ale nikt nie wie, gdzie leci ani jakie gwiazdy mija. Nie wiadomo, na jak długo starczy mu baterii i czy nada kiedyś dłuższy komunikat, prawdziwie kosmiczny. Na razie robi tylko pipipi. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

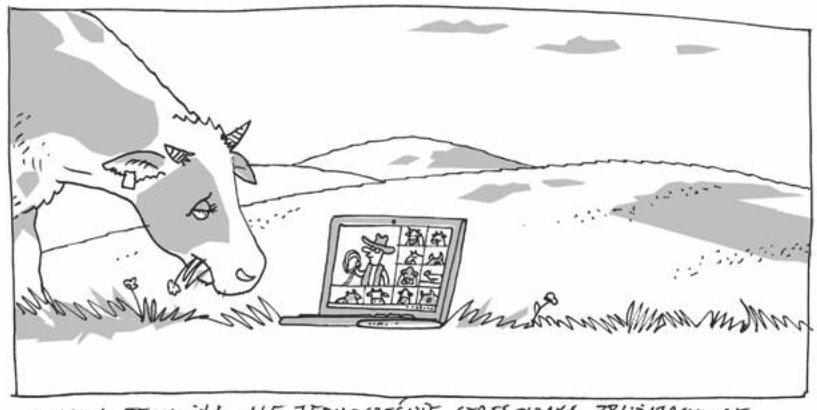

MARTA TĘSKNIŁA, ALE JEDNOCZEŚNIE STRESOWAŁA ZBLIŻAJĄCYM SIĘ POWROTEM DO TRADYCYJNEGO WYPASANIA.

weź, czytaj!

zanim zabraknie

Zamów nasze *the best of* – tematyczne numery „Tygodnika Powszechnego. Wydania Specjalnego", zanim ich nakłady się wyczerpią. Napisz na adres: **zamowienia@TygodnikPowszechny.pl**, my zajmiemy się resztą.

Do kompletu 4 wybranych wydań piąte dodajemy GRATIS*!

W ofercie dostępne są wydania: „Polska Żydowska", „Smak wolności", „Zwierzenia zwierząt", „Halo tu Ziemia", „Dobre życie", „Moc kobiet", „Święto spotkania", „Kryzys w Kościele".

* Cena pojedynczego wydania archiwalnego – 15 zł.

i w prenumeracie:

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO"

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym:
  Tygodnik Powszechny z siedzibą w Krakowie
  Bank Pekao SA
  nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 660 692 101 (w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	420 zł	540 zł
Półroczna (26 numerów)	240 zł	300 zł
Kwartalna (13 numerów)	130 zł	160 zł
Pokolenia*	365 zł	
Karta Dużej Rodziny**	365 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY. WYDANIE SPECJALNE" W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM"

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	490 zł	610 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	430 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	430 zł	
4 wydania specjalne	**75 zł**	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

PARTNER MARKETINGOWY

SALESmanago marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

w głowie się nie mieści!

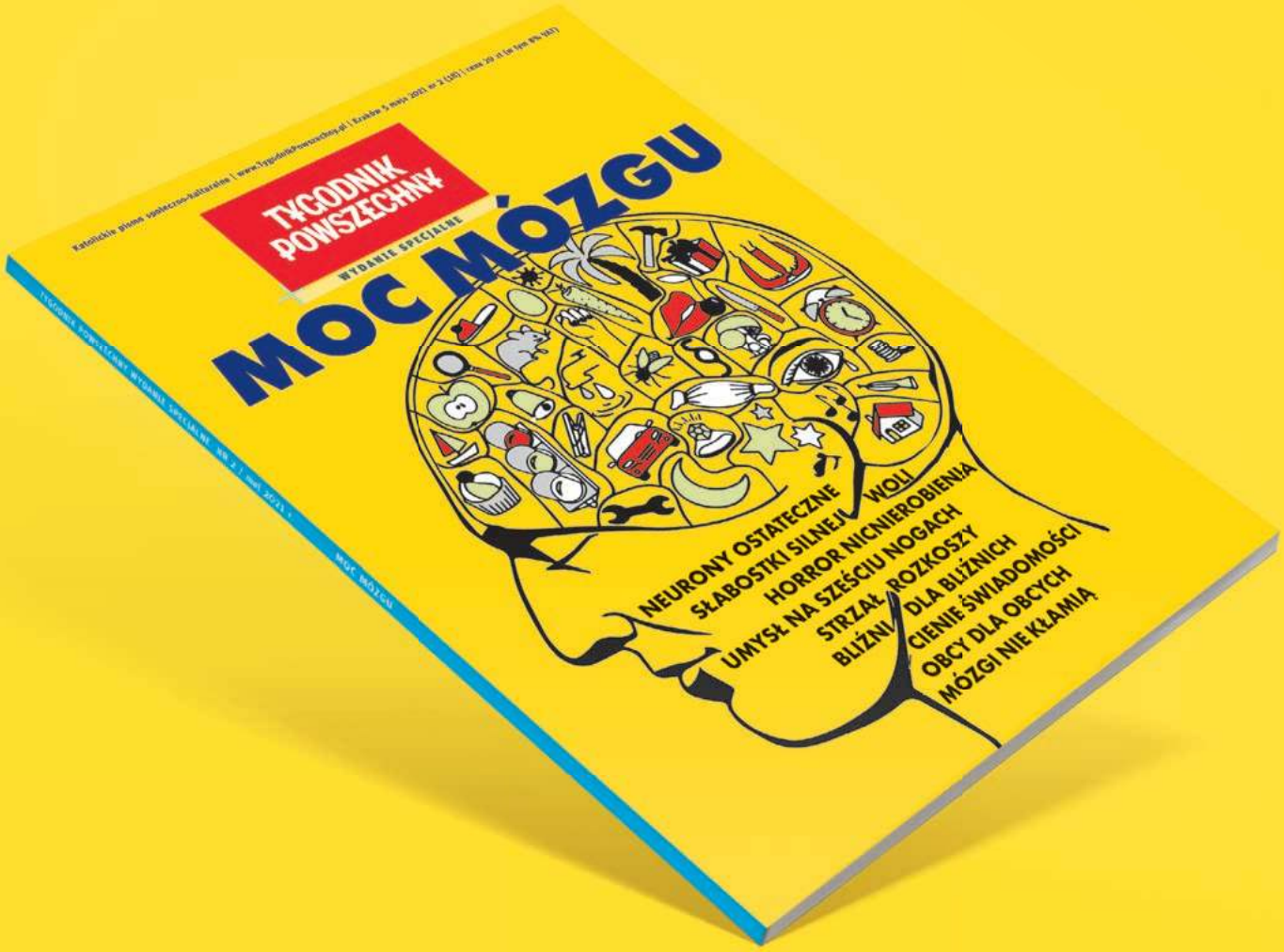

TYGODNIK POWSZECHNY

Wydanie specjalne „Tygodnika Powszechnego" MOC MÓZGU
już w sprzedaży – szukaj w kioskach i salonach prasowych

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // GRAFIKA NA OKŁADCE: DOLASU